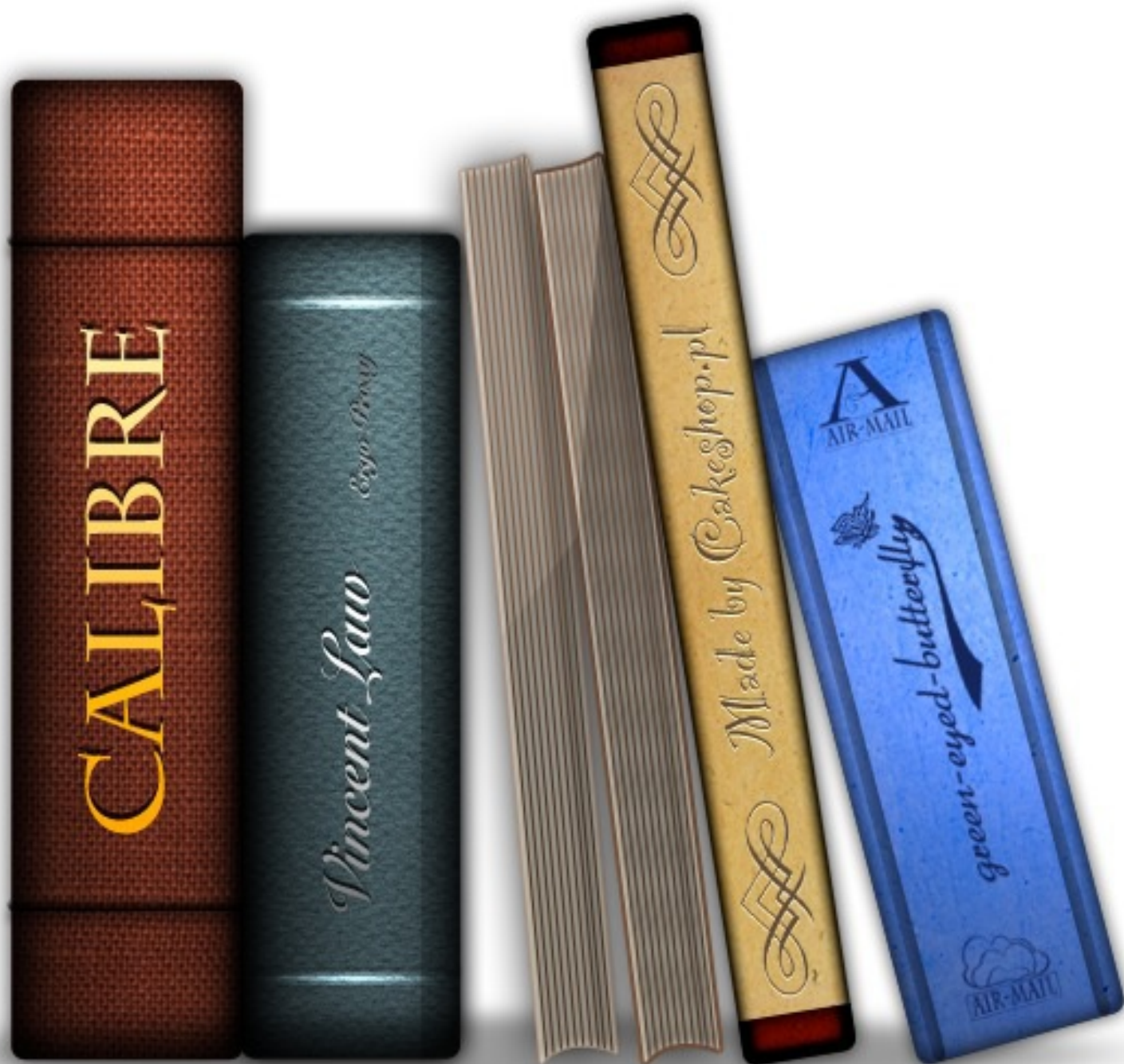


PAN MIDSZYPMEN HORNBLOWER

C.S. FORESTER



calibre 0.7.3

POWIEŚCI „HORNBLOWEROWSKIE”:

1. PAN MIDSZYPMEN HORNBLOWER

2. Porucznik Hornblower

3. Hornblower i jego okręt „Hotspur”

4. Hornblower i kryzys

5. Hornblower i jego okręt „Atropos”

6. Szczęśliwy powrót

7. Okręt liniowy

8. Z podniesioną banderą

9. Komodor

10. Lord Hornblower

11. Hornblower w Indiach Zachodnich

12. Vademecum Hornblowerowskie

C. S. FORESTER

Pan midszypmen Hornblower

PAN MIDSZYPMEN HORNBLOWER

„WYDAWNICTWO MORSKIE” GDAŃSK 1991

„TEKOP” GLIWICE 1991

Korektor: Teresa Kubica

Mapki: Erwin Pawłusiński

Tytuł oryginału angielskiego: Mr Midshipman Hornblower

Tłumaczyła z j. angielskiego: Henryka Stępień

Opracowanie graficzne: Ryszard Bartnik

Redaktor: Alina Walczak

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Morskie 1974

ISBN 83-215-5784-8 (WM)

ISBN 83-85297-00-6 (Tekop)

Wydawca: „Tekop” Spółka z o.o. — Gliwice

Druk: Bielskie Zakłady Graficzne

zam. 1716/K

Równe szanse

Styczniowy sztorm przewalał się z łoskotem po Kanale niosąc w swym łonie szkwały; grube krople bębniły głośno o nieprzemakalne okrycia oficerów i marynarzy, których obowiązki służbowe trzymały na pokładzie. Wichura dęła już od jakiegoś czasu tak, że nawet na osłoniętych wodach Spithead[1] okręt wojenny jeździł niespokojnie na kotwicach, trochę kołysząc się wzdłużnie na zbitej fali i szarpiąc nagłymi ruchami napięte liny. Od brzegu szła ku niemu łódź z dwiema mocnej budowy niewiastami u wiosła, tańcząc jak szalona na stromych drobnych falach i od czasu do czasu ryjąc w któregoś dziobem, aż bryzgi wody leciały na rufę. Wioślarka na dziobie znalazła się na swojej robocie. Rzucając krótkie spojrzenia przez ramię nie tylko utrzymywała łódkę na kursie, ale kierowała ją dziobem pod najgorsze fale, aby zapobiec wywróceniu. Łódź przeszła powoli wzdłuż prawej burty "Justiniana", a gdy podchodziła do ławy wantowej grotmasztu, obwołał ją służbowy midszypmen[2].

— Aye, aye[3] — dobiegła odpowiedź wyrzucona z silnych płuc drugiej wioślarki. Nie wiadomo czemu w języku marynarskim ten okrzyk od wieków oznaczał, że w łodzi jest oficer — pewnie to była ta skurczona postać na ławce rufowej, przypominająca kupę zużytych lin, na którą narzucono plandekę.

Tyle tylko potrafił dojrzeć pan Masters, oficer służbowy, ukryty po zawietrznej za pacholami stermasztu, zanim łódka, posłuszna nakazowi pełniącego służbę midszypmena, podeszła do ławy wantowej i znikła mu z oczu. Nastąpiła długa przerwa — widocznie oficer miał pewne trudności z wchodzeniem po burcie. Wreszcie łódka znowu pojawiła się w polu widzenia Mastersa; niewiasty odbiły i postawiły mały żagielek lugrowy, pod którym łódź, teraz już bez pasażera, sunęła z powrotem ku Portsmouth, skacząc po falach jak sportowiec w biegu z przeszkodami. Gdy już się oddaliła, pan Masters uświadomił sobie, że ktoś zbliża się ku niemu pokładem rufowym w asyście służbowego midszypmena, który, wskazawszy gestem Mastersa, cofnął się ku ławie wantowej. Mastersowi włosy zdążyły posiwieć w służbie na morzu; miał szczęście dochrapać się rangi porucznika, a od dawna zdawał sobie sprawę, że nigdy nie awansuje na kapitana, lecz nie martwił się za bardzo tą myślą i znajdował rozrywkę w zgłębianiu charakterów swoich współtowarzyszy.

Patrzył zatem uważnie na zbliżającą się postać. Był to kościsty młodzian, ledwie wychodzący z wieku chłopięcego, nieco ponad średniego wzrostu, o stopach, których młodzieńczą długość w stosunku do całej postaci podkreślały przy szczupłości łydek wielkich rozmiarów półkamaszki. Widać było, że przybysz nie bardzo wie, co robić z rękami. Ubrany był w źle dopasowany mundur na wskroś przemoczony bryzgami fal; nad wysokim kołnierzem sterczała chuda szyja, a nad nią blada twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi. Błada twarz była rzadkością na okręcie wojennym, gdzie załoga szybko opalała się na ciemny mahoń; zapadłe policzki chłopca miały w dodatku odcień zielonkawy — niewątpliwie doznał on choroby morskiej płynąc tu na łodzi z lądu. W bladej twarzy tkwiła para ciemnych oczu, które przez kontrast wyglądały jak otwory wycięte w kartce papieru. Masters stwierdził z pewnym zainteresowaniem, że chociaż ich właściciel przebył chorobę morską, oczy te rozglądały się czujnie, chłonąc wyraźnie nowe dla niego widoki. Ani choroba morska, ani onieśmienie nie przytłumiły ciekawości i zainteresowania, i pan Masters wybiegając swoim zwyczajem myślami w przód pomyślał, że tego chłopca cechuje przezorność i rozwaga i że już w tej chwili bada on swe nowe otoczenie, jak gdyby przygotowując się do tego, co go tu może spotkać.

Tak mógł Daniel patrzeć na lwy, gdy wszedł po raz pierwszy do ich jaskini.

Ciemne oczy napotkały wzrok Mastersa i niezgrabna postać zatrzymała się. Przybysz podniósł nieśmiało dłoń do róna ociekającego wodą kapelusza i otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć, lecz zażenowany zamknął je bez słowa, by następnie zebrać się w sobie i zmusić do wyrzeczenia wyuczonej formułki.

— Stawiłem się na okręt, sir.

— Nazwisko? — zapytał Masters, daremnie czekając, by przybyły sam je podał.

— H-Horatio Hornblower, sir. Midszypmen — wyjąkał chłopiec.

— Doskonale, panie Hornblower — odrzekł Masters tak samo ceremonialnie. — Czy zabrał pan ze sobą swoje klamoty?

Hornblower nigdy dotąd nie słyszał tego określenia, lecz był na tyle przytomny, by sobie wydedukować jego znaczenie.

— Moja skrzynka z rzeczami, sir. Jest... jest na dziobie, przy furcie wejściowej.

Hornblower wyrzekł to wszystko z ledwie dostrzegalnym wahaniem; wiedział, że marynarze mówią na „dziobie”, zamiast „przodzie”, i że przybył na okręt przez „furtę wejściową”, lecz zastosowanie tych słów samemu wymagało odrobiny wysiłku.

— Dopilnuję, żeby ją zniesiono na dół — powiedział Masters — a i pan niech tam lepiej zejdzie. Kapitan jest na lądzie, a jego zastępca przykazał, żeby pod żadnym pozorem nie wzywać go przed ósmym dzwonem, radziłbym więc, panie Hornblower, skorzystać z tego i zrzucić z siebie mokre odzienie.

— Dobrze, sir — odparł Hornblower; w tej samej chwili spostrzegł, że użył niewłaściwego wyrażenia, wyczytał to z twarzy Mastersa, poprawił się więc (nie wierząc właściwie, że ludzie naprawdę mówią w ten sposób gdziekolwiek poza sceną), zanim Masters zdążył go skorygować. — Tak jest, sir — rzekł i przyłożył znowu dłoń do róna kapelusza.

Masters odwzajemnił pozdrowienie i zwracając się do jednego z chłopców pokładowych dygocących za skąpą osłoną nadburcia rozkazał: — Chłopcze, zaprowadź pana Hornblowera do mesy midszypmenów.

— Tak jest, sir.

Hornblower poszedł za chłopcem ku dziobowi, w stronę głównego luku. Wystarczyłoby samej choroby morskiej, by chwiał się na nogach, lecz na tym krótkim odcinku potknął się dwukrotnie, w momencie gdy ostry poryw wiatru szarpnął „Justinianem”, naprężając liny kotwiczne. U wejścia do luku chłopiec ześliznął się w dół po trapie jak węgorz po skale; Hornblower zaczął schodzić bardzo ostrożnie i niepewnie w przymglone rejony dolnego pokładu działowego, a potem w półmrok międzypokładów. W nozdrzach czuł zapachy równie dziwne i pomieszane jak dźwięki atakujące

jego uszy. U stóp każdego trupu chłopiec czekał na niego ze słabo maskowaną niecierpliwością. Zeszli z ostatniego — Hornblower stracił już orientację i nie wiedział, czy był na dziobie, czy na rufie — i uczyniwszy kilka kroków znaleźli się w ciemnej wnęce, której mrok bardziej podkreślał, niż rozjaśniał, stoczek łojowy osadzony na kawałku blachy miedzianej na stole, wokół którego siedziało sześciu ludzi w koszulach z zawiniętymi rękawami. Chłopiec znikł, zostawiając Hornblowera, i upłynęła chwila, zanim mężczyzna z bokobrodami, zajmujący miejsce u szczytu stołu, spojrzął w jego stronę.

— Odezwij się, ty zjawo — rzekł.

Hornblower poczuł, że ogarniają go mdłości — skutki podróży w łodzi nasiliły się w niewiarygodnym zaduchu i smrodzie międzypokładów. Było mu trudno mówić, a fakt, że nie wie, w jakie słowa ubrać to, co chce powiedzieć, jeszcze bardziej sprawę pogarszał.

— Nazywam się Hornblower, sir — wydusił wreszcie z siebie drżącym głosem.

— Cóż to za diabelny pech dla ciebie — odezwał się drugi przy stole, z absolutnym brakiem sympatii.

W tym momencie wiatr wyjący wokół okrętu zmienił nagle kierunek, przechylając „Justiniana” lekko na bok i obracając go, tak że znów naprężyły się liny. Hornblower miał wrażenie, że to świat zerwał się z uwięzi. Zatoczył się i chociaż drżał z zimna, pot ciekł mu po twarzy.

— Coś mi się zdaje — odezwał się ten z bokobrodami u szczytu stołu — że przybyłeś, żeby wsadzać nos w sprawy swoich zwierzchników. Jeszcze jeden głupawy nieuk zwała się na głowę, żeby zanudzać tych, co go będą musieli uczyć jego obowiązków. Spójrzcie tylko na niego — mówca gestem przywołał uwagę wszystkich przy stole — patrzcie na niego, powiadam wam. Oto najnowszy nędzny nabytek królewski. Ile ty masz lat?

— S-siedemnaście, sir — wyjąkał Hornblower.

— Siedemnaście! — niechęć w głosie mówiącego była aż za wyraźna. — Trzeba zaczynać w dwunastym roku życia, jeśli się chce w ogóle zostać marynarzem. Siedemnaście! A znasz ty różnicę między flagą a flaglinką?

Słowa te wzbudziły śmiech zebranych, a z tego, jak on brzmiał, Hornblower zorientował się, że czy powie „tak” czy „nie”, jednakowo zostanie wyśmiany. Spróbował odpowiedzieć wymijająco.

— To jest pierwsza rzecz, jakiej szukałbym w „Wiedzy okrętowej” Noriego — powiedział.

Okręt zatoczył się znowu i Hornblower chwycił się stołu.

— Panowie — zaczął patetycznie, zastanawiając się, jak wyrazić to, co chciał powiedzieć.

— Na Boga — zawołał ktoś od stołu — on ma chorobę morską!

— Chorobę morską w Spithead! — dorzucił ktoś inny tonem równie rozbawionym co

pogardliwym.

Ale Hornblowerowi było już wszystko jedno; przez jakiś czas potem nie zdawał sobie sprawy, co się działo wokół niego. Było to spowodowane w równym chyba stopniu napięciem nerwowym ostatnich dni i jazdą w łodzi z ładu, co obłądnym miotaniem się „Justiniana” na kotwicy, lecz dla niego oznaczało, że od razu zyskał etykietkę midszypmena wymiotującego w Spithead, i nie było w tym nic dziwnego, że wzmożła ona jeszcze tak naturalne uczucie samotności i tęsknoty za domem trawiące go w ciągu tych dni, gdy ta część floty Kanału, której nie udało się skompletować załóg, stała na kotwicach po zawietrznej wyspy Wight. Godzina w hamaku, do którego wciągnął go mesowy, pozwoliła mu wrócić do siebie na tyle, by mógł zameldować się u pierwszego oficera. Po kilku dniach potrafił już poruszać się po okręcie, nie tracąc (jak mu się to zdarzało na początku) orientacji pod pokładami, kiedy to nie wiedział, czy stoi twarzą do dziobu, czy rufy. W tym okresie oblicza kolegów oficerów przestały być dla niego zamazanymi plamami i zaczął je rozróżniać. Sporo go kosztowało, by nauczyć się, jakie stanowiska są pod jego pieczęcią, gdy na okręcie jest zarządzony alarm bojowy, kiedy on sam ma wachty i kiedy załoga jest wzywana do stawiania czy zwijania żagli. Na tyle już się orientował w swojej nowej egzystencji, by sobie uświadomić, że mogła być gorsza — że los mógł rzucić go na pokład okrętu z rozkazem natychmiastowego wyjścia w morze, zamiast stania na kotwicy. Ale marne to było zadośćuczynienie; czuł się samotny i nieszczęśliwy. Już sama jego nieśmiałość wystarczała, aby znacznie opóźnić nawiązanie przyjaźni, a na domiar tego wszyscy z mesy midszypmenów na „Justinianie” byli znacznie starsi od niego; podstarzali oficerowie niższych rang, rekrutujący się z floty handlowej, i midszypmeni dobrze po dwudziestce, którym czy to z braku poparcia, czy niezdania koniecznego egzaminu nie udało się uzyskać stopnia porucznika. Po pierwszym okresie, kiedy ich trochę śmieszył, a trochę zaciekawiał, zaczęli go ignorować, a on był zadowolony z takiego obrotu rzeczy, rad, że może skryć się w swej skorupie i nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Co się tyczy „Justiniana”, nie był to przyjemny okręt w czasie tych ponurych dni styczniowych. Kapitan Keene — to właśnie wtedy, gdy przybył on na pokład, Hornblower po raz pierwszy ujrzał pompę i ceremoniał otaczający dowódcę liniowca — był chorym człowiekiem, o naturze melancholika. Nie cieszył się sławą, jaka niektórym dowódcom pozwalała ściągać na swe okręty tłumy zapalonych ochotników, był też pozbawiony tego rodzaju osobowości, która czyniłaby entuzjastów z tych ponurych, znękanych ludzi, dzień po dniu przywożonych dla skompletowania załogi przez oddziały werbujące siłą do marynarki. Oficerowie widywali go rzadko i bez entuzjazmu. Wezwany do kajuty kapitana na pierwszą rozmowę Hornblower nie odniósł zbyt silnego wrażenia — przy stole zarzuconym papierami siedział mężczyzna w średnim wieku, z policzkami zapadłymi i pożółkłymi od długotrwałej choroby.

— Panie Hornblower — przemówił urzędowym tonem — miło mi powitać pana na pokładzie mego okrętu.

— Tak, sir — odrzekł Hornblower — odpowiedź ta wydała mu się właściwsza na tę okoliczność niż „tak jest, sir”, a od oficerów najniższej rangi we wszelkich okolicznościach oczekiwano, że wypowiedzą albo jedną formułkę, albo drugą.

— Pan ma — chwileczkę, niech zobaczę — siedemnaście lat? — Kapitan Keene wziął do rąk papier, który najprawdopodobniej opisywał przebieg krótkiej kariery służbowej Hornblowera.

— Tak, sir.

— 4 lipiec 1776 — zadumał się Keene, odczytując datę urodzenia Hornblowera. — Pięć lat przed dniem, w którym otrzymałem stanowisko dowódcy okrętu. Byłem od sześciu lat porucznikiem, gdy pan przyszedł na świat.

— Tak, sir — powtórzył Hornblower; moment nie wydawał się stosowny do jakichkolwiek uwag.

— Syn lekarza — trzeba było wybrać sobie lorda na ojca, jeśli pan chce zrobić karierę.

— Tak, sir.

— A jak z pańskim wykształceniem?

— Byłem w liceum klasycznym, sir.

— A więc potrafi pan rozbierać zarówno Ksenofonta, jak i Cyncerona?

— Tak, sir. Ale niezbyt dobrze, sir.

— Lepiej byłoby, gdyby pan miał jakie takie pojęcie o sinusach i cosinusach. I umiał przewidzieć szkwał na tyle wcześniej, aby zdążyć zwinąć bramsle. W marynarce wojennej nie mamy zastosowania dla ablatiwów absolutów.

— Tak, sir — odrzekł Hornblower.

Dopiero niedawno dowiedział się, co to bramsel, ale mógł powiedzieć kapitanowi, że w matematyce jest dosyć zaawansowany. Poniechał tego; instynkt i ostatnie doświadczenia zalecały mu się nie spieszyć z informacjami, których się od niego nie żąda.

— No cóż, proszę słuchać rozkazów i uczyć się swoich obowiązków, a nic złego się panu nie stanie. To wszystko.

— Dziękuję, sir — powiedział Hornblower i wyszedł.

Wyglądało jednak, że z miejsca wszystko zaczęło iść inaczej, niż mu kapitan życzył. Już od następnego dnia źle się zaczęło dla Hornblowerowi, mimo posłuszeństwa rozkazom i pilnej nauki obowiązków, a powodem stało się przybycie na okręt Johna Simpsona i objęcie przez niego stanowiska starszego mesy midszypmenów. Hornblower siedział w mesie z kolegami, gdy ujrzał go pierwszy raz. Krzepki, przystojny mężczyzna około trzydziestki wszedł i stanął, objawszy ich spojrzeniem, jak Hornblower przed paru dniami.

— Halo! — odezwał się któryś niezbyt serdecznie.

— Cleveland, mój stary przyjacielu — powiedział przybysz — rusz no się z tego siedzenia. Mam zamiar znów zająć swoje miejsce u szczytu stołu.

— Ale...

— Powiedziałem, ruszaj się — powtórzył ostro Simpson.

Cleveland ustąpił z ociąganiem, a Simpson usiadł na jego miejscu i w odpowiedzi na zaciekawione spojrzenia zebranych potoczył groźnym wzrokiem wokół stołu.

— Tak, moi mili bracia oficerowie — mówił. — Jestem z powrotem na łonie rodziny. I wcale mnie nie dziwi, że nikt się nie cieszy. Będziecie wszyscy jeszcze mniej zadowoleni, kiedy się do was zabiorę.

— A pański awans?... — zapytał ktoś odważniejszy.

— Mój awans? — Simpson pochylił się do przodu i bębniąc palcami w stół obrzucił spojrzeniem ciekawskich siedzących z obu stron stołu.

— Odpowiem na to pytanie ten jeden raz, a kto zapyta o to znowu, zapragnie, żeby się był wcale nie narodził. Komisja jajogłowych kapitanów nie raczyła mnie awansować. Uznała, że moje wiadomości z matematyki nie wystarczają, aby można było polegać na mnie jako na nawigatorze. I tak p.o. porucznik Simpson jest znowu panem midszypmenem Simpsonem, do waszych usług. I niech Pan ma litość nad waszymi duszyczkami.

W miarę jak czas upływał nie wyglądało na to, że Pan zna w ogóle takie uczucie jak litość, gdyż wraz z powrotem Simpsona życie w mesie midszypmenów zmieniło się w istny koszmar. Simpson musiał być zawsze pomysłowym tyranem, a teraz, rozgoryczony i poniżony niezdaniem egzaminu na samodzielne stanowisko, stał się jeszcze gorszy, w swoich pomysłach przechodząc samego siebie. Mógł być słaby w matematyce, ale był szatańsko przemyślny w zamienianiu życia innych w piekło. Jako starszy w mesie miał z urzędu szeroki zakres władzy; jako człowiek o kąśliwym języku i chorobliwej żądzy, szkodzenia rządziłby się tam, nawet gdyby „Justinian” miał rozsądnego i stanowczego zastępcę dowódcy, który by przywoływał go do porządku, a pan Clay nie posiadał żadnej z tych cech. Dwukrotnie midszypmeni zbuntowali się przeciwko arbitralnej władzy Simpsona i za każdym razem Simpson stłukł buntownika, okładając go do nieprzytomności swymi ogromnymi pięściami, z którymi miałby doskonałe wyniki na ringu. Ani razu Simpson nie miał na sobie śladów walki, natomiast widząc podbite oko i spuchnięte wargi jego przeciwnika, oburzony pierwszy oficer za karę posyłał biedaka na wierzchołek masztu czy narzucał mu jakiś nadprogramowy obowiązek. Mesa wrzała od bezsilnej wściekłości. Nawet lizusy i pochlebcy — naturalnie było kilku takich wśród midszypmenów — nienawidzili tyrana.

Rzecz ciekawa, największe oburzenie budziły nie jego zwykłe poczynania — nakładanie haraczu na skrzynki z dobytkiem marynarskim w formie dostarczania mu czystych koszul, wybieranie sobie przy posiłkach najlepszych kawałków mięsa czy nawet zabieranie tak pożądanego przydziału alkoholu. To wszystko mogliby mu jeszcze wybaczyć jako rzecz zrozumiałą, gdyż sami robiliby tak samo, gdyby mieli władzę. Okazywał on jednak kapryśną arbitralność, przypominając Hornblowerowi, który miał klasyczne wykształcenie, kaprysy cesarzy rzymskich. Zmusił Clevelanda do zgolenia bokobrodów, z których chłopiec był niezwykle dumny; nakazał Hetherowi budzić Mackenziego co pół godziny, w nocy i w dzień, tak że żaden z nich nie mógł spać, a zawsze znalazł

się lizus gotowy donieść, że Hether nie wykonał swego obowiązku. Podobnie jak u wszystkich innych rychło odkrył on słabe punkty i u Hornblowera. Wiedział, że jest nieśmiały. Początkowo bawiło go zmuszanie Hornblowera do recytowania przed całą mesą urywków z „Elegii na wiejskim cmentarzu” Graya. Lizusy potrafiły zmusić Hornblowera do tego; Simpson kładł przed sobą pochwę od swego sztyletu, a lizusy otaczały ciasnym kołem Hornblowera, który zdawał sobie sprawę, że najmniejsze wahanie z jego strony spowoduje, iż zostanie rozciągnięty na stole i obity pochwą; uderzenia jej płaskimi bokami były bolesne, a kanty zadawały ból nie do wytrzymania, ale ból był niczym w porównaniu z głębokim poniżeniem.

Udręka stała się jeszcze gorsza, gdy Simpson wymyślił coś, co trafnie nazwał „postępowaniem śledczym”, w czasie którego Hornblower był poddawany powolnemu i systematycznemu przesłuchiowaniu na temat jego życia w domu rodzinnym i przeżyć okresu chłopięcego. Na każde pytanie trzeba było dać odpowiedź, pod groźbą użycia pochwy sztyletu; Hornblower mógł odpowiadać wymijająco, lecz jakąś odpowiedź dać musiał i wcześniej czy później bezlitosne badanie wydobywało z niego zwykle przyznanie się, kwitowane wybuchem śmiechu słuchaczy. Bóg świadkiem, że w samotnym dzieciństwie Hornblowera nie było nic, czego mógłby się wstydzić, lecz chłopcy to dziwne stworzenia, szczególnie ci nieśmiali, jak Hornblower, co wstydzą się rzeczy, którymi nikt inny nie zaprzętałby sobie w ogóle głowy. Z tej ciężkiej próby wychodził zgnębiony i pełen obrzydzenia. Ktoś mniej serio znalazłby wyjście z trudnego położenia, robiąc błazna z siebie i zdobywając poklask wszystkich w ten sposób, lecz siedemnastoletni Hornblower zbyt poważnie traktował własną osobę, by robić z siebie błazna. Musiał znosić przesładowania, doświadczając całej głębi niedoli, jaką można odczuwać tylko w tak młodym wieku. Nie zapłakał nigdy w czyjejś obecności, lecz nocą nieraz ronił gorzkie łzy siedemnastolatka. Myślał często o śmierci; przychodziło mu nawet do głowy, by zdezerterować lecz zdawał sobie sprawę, że dezercja miałaby dla niego skutki znacznie gorsze niż śmierć. A wówczas myślami znów zwracał się do śmierci, napawając się wyobrażeniami o samobójstwie. Pozbawiony przyjaciół traktowany z okrutną brutalnością i samotny, jak tylko chłopiec — szczególnie bardzo skryty chłopiec — może być między mężczyznami — zaczął pragnąć śmierci. Coraz częściej myślał, by położyć temu kres w sposób możliwie najłatwiejszy, lecz taił ten zamiar w głębi swej samotnej duszy.

Gdyby tylko okręt znalazł się na morzu, nawał roboty wybiłby im wszystkim figle z głowy, a nawet i w czasie postoju na kotwicy energiczny dowódca i jego zastępca mogliby znaleźć dość zajęć dla całej załogi, by nie dopuszczać do głupstw, lecz pech Hornblowera sprawi, że "Justinian" stał na kotwicy przez cały fatalny styczeń 1794 roku pod dowództwem chorego kapitana i niedołęznego pierwszego oficera. Nawet jeśli czasem któryś z nich zmuszony był zadziałać, ich reakcja często obracała się przeciwko Hornblowerowi. Pewnego razu, gdy oficer nawigacyjny, pan Bowles, miał wykład z nawigacji dla swoich zastępców i midszypmenów, nieszczęsnym trafem nadszedł przypadkowo dowódca okrętu i rzucił okiem na zadania, które słuchacze mieli rozwiązać. Choroba uczyniła Keene'a złośliwym, a ponadto nie lubił Simpsona. Spojrzał na jego kartkę i zachichotał sarkastycznie.

— Cieszymy się wszyscy pospołu — powiedział — albowiem odkryte zostały wreszcie źródła Nilu.

— Przepraszam, sir? — rzekł Simpson.

— O ile mogę się zorientować z tych bazgrołów — mówił Keene — okręt pański, panie Simpson, znajduje się w Afryce Środkowej. Zobaczmy więc, jakie jeszcze terrae incognitae zostały udostępnione przez innych nieustraszonych badaczy z tej grupy.

To musiał być Los — przypadek tak dramatyczny, że wyglądał raczej na grę wyobraźni niż na zdarzenie z życia realnego; Hornblower wiedział, co się stanie już w chwili, gdy wśród kartek zebranych przez Keene'a znalazła się i jego praca. Jego wynik był jedynym wynikiem prawidłowym: wszyscy inni dodali poprawkę na refrakcję, zamiast ją odjąć, lub wykonali źle mnożenie czy też, jak Simpson, sknócili całe zadanie.

— Gratulacje, panie Hornblower — przemówił Keene. — Powinien pan być dumny z tego, że wśród tej gromady intelektualnych gigantów jest pan jedynym, któremu się udało dać prawidłową odpowiedź. Ma pan chyba połowę lat Simpsona. Jeśli dochodząc do jego obecnego wieku podwoi pan swoje osiągnięcia, zostawi pan nas wszystkich daleko za sobą. Panie Bowles, proszę łaskawie dopilnować, by pan Simpson bardziej się przyłożył do matematyki.

Rzekłszy te słowa kapitan odszedł międzypokładem potykającym się krokiem człowieka śmiertelnie chorego, a Hornblower siedział ze spuszczonej oczyma, niezdolny napotkać wlepionych w niego spojrzeń, wiedząc aż za dobrze, co one wróżą. Zapragnął śmierci w owej chwili, tej nocy modlił się nawet o nią.

Po dwóch dniach Hornblower znalazł się na brzegu jako podkomendny Simpsona. Obaj midszypmeni mieli ze sobą oddział marynarzy wysadzony na ląd dla wzięcia udziału, wraz z podobnymi grupami z innych okrętów eskadry, w łapaniu mężczyzn do służby na morzu. Wkrótce miał przybyć konwój zachodnioindyjski i większość załóg zostanie wzięta siłą na okręty marynarki wojennej już w momencie wpłynięcia konwoju do Kanału, a reszta, pozostawiona dla doprowadzenia statków do kotwiczowiska, ucieknie potem na ląd, używając wszelkich sposobów, by zatrzeć ślady za sobą i znaleźć bezpieczną kryjówkę. Zadaniem oddziałów było odciąć im wszystkim drogę ucieczki, stwarzając kordon wzdłuż całej długości nabrzeży. Lecz nie było jeszcze sygnału o nadpływności konwoju, a przygotowania zostały już zakończone.

— Wszystko w porządeczku — rzekł Simpson.

Niezwykłe to było dla niego odezwanie, ale też znajdował się w niecodziennych warunkach. Siedział w fotelu w tylnym pokoju „Gospody pod Jagniątkiem”, nogi miał oparte na drugim, a przed sobą ogień buzujący w kominku i kufel piwa z dzynem w zasięgu ręki.

— Na zdrowie konwoju zachodnioindyjskiego — mówiąc te słowa Simpson pociągnął łyk piwa. — Niech się spóźnia jak najbardziej.

Simpson był naprawdę w wesołym nastroju, dokonana praca, piwo i ciepło kominka wprawiły go w dobry humor; za wcześnie było jeszcze na mocniejsze trunki, które by mogły uczynić go kłótliwym. Hornblower siedzący z drugiej strony kominka popijał piwo bez dzynu i przyglądał się z uwagą towarzyszowi, zdziwiony, że po raz pierwszy od wejścia na pokład „Justiniana” pech przestał go prześladować i udręka przycichła, jak rwący ból w zębie.

— Wnieś nam toast, chłopcze — rzekł Simpson.

— Na pohybel Robezpierrowi — powiedział potulnie Hornblower.

Drzwi otwały się i weszło dwóch nowych oficerów, midszypmen i drugi, z emblematami porucznika — był to Chalk z „Goliatha”, oficer mający ogólny nadzór nad wysłanymi na ląd oddziałami werbunkowymi. Nawet Simpson posunął się, by zrobić wyższemu rangą miejsce przy kominku.

— Nie ma jeszcze wiadomości od konwoju — oznajmił Chalk. A potem zwrócił badawcze spojrzenie na Hornblowera. — Zdaje się, że nie miałem jeszcze przyjemności poznać pana.

— Pan Hornblower — porucznik Chalk — Simpson przedstawił ich sobie i dodał: — Pan Hornblower wyróżnił się jako midszypmen, który przeżył chorobę morską w Spithead.

Hornblower usiłował zachować spokój, gdy Simpson przyklejał mu tę etykietkę. To tylko zwykła uprzejmość ze strony Chalka — pomyślał, gdy tamten zmienił temat.

— Hej, kelner! Wypijecie, panowie, ze mną szklaneczkę? Obawiam się, że mamy przed sobą długie czekanie. Panie Simpson, czy wszyscy pańscy ludzie są rozstawieni jak należy?

— Tak, sir.

Chalk był człowiekiem aktywnym. Chodził po izbie, wyglądał przez okno na padający deszcz, a gdy podano trunki, przedstawił swego midszypmena, Caldwell, i dalej miotał się w przymusowej bezczynności.

— Może zagramy partyjkę dla zabicia czasu? — zaproponował. — Świetnie! Hej, kelner! Karty, stolik i jeszcze jedno światło.

Ustawiono stolik i krzesła przed kominkiem, przyniesiono karty.

— W co gramy? — zapytał Chalk, przesuwając wzrokiem po towarzyszach.

Był porucznikiem, gdy pozostali trzej midszypmenami i każda jego propozycja liczyła się poważnie, czekali więc oczywiście, co on powie.

— Oczko? To gra dla półgłówków. Loteryjka? To znowu zabawa dla zamożniejszych półgłówków. Ale może wista? Da nam wszystkim możliwość potrenowania naszych skromnych talentów. Wiem, że Caldwell zna z grubsza zasady gry. A pan Simpson?

Człowiek tak tępy w matematyce jak Simpson nie mógł być dobrym graczem w wista, ale wyglądało, że nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Jak pan sobie życzy, sir — odpowiedział Simpson. Lubił hazard, a każda gra w jego wyobrażeniu spełniała tę rolę.

— Pan Hornblower?

— Z przyjemnością, sir.

Było w tym więcej prawdy niż w zwykłej grzecznościowej odpowiedzi. Hornblower przeszedł dobrą szkołę wista; po śmierci matki grywa) jako czwarty z ojcem, pastorem i jego żoną. Gra ta stała się już niemal jego pasją. Znajdował satysfakcję w prawidłowym obliczaniu szans, w nieustannej zmienności przebiegu gry to wymagającego ryzyka, to znów przezorności. W jego odpowiedzi był nawet jakiś ciepły ton, który sprawił, że Chalk obdarzył go jeszcze jednym spojrzeniem; będąc dobrym graczem, od razu wyczuł bratnią duszę.

— Świetnie! — powtórzył. — Możemy więc od razu ciągnąć o miejsca i partnerów. Jaka stawka, panowie? Szyling za wziętkę i gwinea za roberka, a może to za wysoko? Nie? A więc uzgodnione.

Przez jakiś czas gra toczyła się spokojnie. Hornblower najpierw wylosował Simpsona za partnera, a potem Caldwell. Już po paru rozdaniach stało się rzeczą jasną, że Simpson jest beznadziejnym graczem w wista, z gatunku tych, którzy zawsze wyjdą w asa, jeśli mają go na ręku, albo w singla, gdy mają cztery karty atutowe. Mimo to dzięki mocnej karcie Hornblower i on wygrali pierwszego robra. Grając następny z Chalkiem, Simpson przegrał, znów otrzymał Chalka za partnera i znowu przegrał. Triumfował, gdy dostawała mu się dobra karta, a wzdychał smutno, otrzymując słabą; należał niewątpliwie do tych prostaków, co to uważają wista za imprezę towarzyską czy raczej za pospolity sposób, taki jak rzucanie monety, na przechodzenie pieniędzy z kieszeni do kieszeni. Nigdy nie myślał o grze jako o uświęconym rytuale czy gimnastyce umysłu. Ponadto w miarę jak przegrywał coraz więcej, a chłopak od karczmarza podawał wciąż nowe kielichy, stawał się niespokojny i twarz płonęła mu nie tylko od żaru z kominka. Nie umiał ani ładnie przegrywać, ani dobrze pić, tak że nawet nienaganne maniere Chalka zostały wystawione na próbę i widać było, że odetchnął z ulgą, gdy przy następnym ciągnięciu kart dostał Hornblowera za partnera. Wygrali robra bez trudu i jeszcze jedna gwinea wraz z paroma szylingami przeszła do chudej kieski Hornblowera; był teraz jedynym wygrywającym, a Simpson tym, co przegrał najwięcej, Hornblower rozplątywał się z zadowolenia, mogąc znowu grać w wista. Miny Simpsona i obelgi mrużane pod nosem przyjmował jako rozpraszającą uwagę niedogodność, zapomniał traktować je jako sygnały ostrzegawcze. Grał, niepomny tego, że za obecny sukces może później zapłacić udręką.

Pociągnęli jeszcze raz i znowu Chalk przypadł mu jako partner. Po dwóch dobrych rozdaniach wygrali partię. Potem, ku nieukrywanemu triumfowi Simpsona, mały zapis uzyskał on i Caldwell i byli bliscy zrobienia partii, kiedy ryzykowny impas Hornblowera przyniósł jemu i Chalkowi wygrywającą lewę, gdy im brakowało jeszcze dwóch. Simpson położył waleta na dziesiątkę Hornblowera z uśmiechem satysfakcji, który zmienił się w konsternację, gdy okazało się, że obaj z Caldwellem zrobili zaledwie sześć lew. Zmartwiony, przeliczył je ponownie. Hornblower rozdał karty i odkrył atu, a Simpson wyszedł jak zwykle z asa, zapewniając Hornblowerowi dojście. Miał kilka kart atutowych i dobre trefle, do których jedna zagrywka mogła dać dojście. Mruczając coś do siebie, Simpson patrzył w swoje karty; przedziwna rzecz, ale wciąż nie rozumiał tego prostego faktu, że wychodząc w asa, musi wyjść jeszcze raz, nie wyjaśnwszy przy tym ani trochę sytuacji. Wreszcie zdecydował się i rzucił kartę na stół. Hornblower wziął królem i od razu wyszedł w waleta atu. Ku jego radości, walet wziął. Wyszędł jeszcze raz i Chalk zabrał następną lewę swoją damą. Chalk wyszedł w asa atutowego i Simpson z przekleństwem położył króla. Chalk zagrał w trefle, których

Hornblower miał pięć z mariażem — to coś znaczyło, że Chalk wyszedł w ten kolor, gdyż nie mogło to być wyjście z singla, gdy Hornblower miał pozostałe karty atutowe. Hornblower wziął damę; asa musiał trzymać Caldwell, chyba że miał go Chalk. Hornblower wyszedł blotką, pozostali dorzucili do koloru, Chalk waleta, a Caldwell asa. Zeszło osiem trefli, a Hornblower miał jeszcze trzy z królem i dziesiątką — trzy pewne lewy, bo pozostałe w ręku atuty zapewniały dojście. Caldwell zagrał damą karo, Hornblower położył swego singla, a Chalk pobił asem.

— Reszta moja — oznajmił Hornblower — wykładając karty.

— Jak to? — zawołał Simpson, z królem karo na ręku.

— Pięć lew — stwierdził krótko Chalk. — Partia i rober.

— Czy ja na pewno już nic nie biorę? — upierał się Simpson.

— Przebijam atutem karo lub kiery i biorę na trzy pozostałe trefle — wyjaśnił Hornblower. Dla niego sytuacja była jasna jak słońce, banalne zakończenie rozgrywki; trudno mu było wyobrazić sobie, że nierozgarnięci gracze, tacy jak Simpson, mają trudności w zliczaniu pięćdziesięciu dwóch kart. Simpson opuścił z hałasem dłoń na stół.

— Pan za dużo wie w tej grze — rzekł. — Zna pan karty z wierzchu i od spodu.

Hornblower przełknął ślinę. Czuł, że może to być moment rozstrzygający. Przed chwilą jeszcze grał po prostu w karty i świetnie się bawił. Teraz stał przed nim problem życia lub śmierci. W głowie kłębiły mu się myśli. Mimo wygod obecnego życia miał wyraźnie w pamięci straszliwą udrękę bytowania na „Justinianie”, na który musi wracać. Oto nadarzała się okazja położenia kresu tej udręce w taki czy inny sposób. Wspomnił, jak rozmyślał o samobójstwie i gdzieś w głębi mózgu wykluwał się już plan działania. Decyzja skryształizowała się.

— To obraźliwa uwaga, panie Simpson — rzekł. Popatrzył wokoło i napotkał wzrok Chalka i Caldwell, którzy nagle spowaźnieli. Simpson siedział, jeszcze nic z tego, co się działo, nie rozumiejąc. — Będę musiał prosić o satysfakcję.

— Satysfakcję? — odezwał się spiesznie Chalk. — Niech pan da spokój. Pan Simpson stracił na chwilę panowanie nad sobą. Jestem pewny, że się wytłumaczy.

— Oskarżono mnie o oszukiwanie w kartach — upierał się Hornblower. — Trudno się z tego wytłumaczyć.

Starął się zachowywać jak człowiek dorosły; co więcej, usiłował działać jak ktoś ogarnięty oburzeniem, gdy w gruncie rzeczy nie czuł w sobie gniewu, gdyż rozumiał aż nazbyt dobrze zamęt w głowie Simpsona, który doprowadził go do wypowiedzenia tych słów. Lecz nadarzyła się okazja, postanowił z niej skorzystać i teraz pozostawało już tylko grać przekonująco rolę śmiertelnie znieważonego.

— Wino zamroczyło umysły — ciągnął Chalk, wciąż jeszcze chcąc zażegnać spór. — Pan Simpson żartował, jestem tego pewien. Zamówmy następną butelkę i wypijmy za przyjaźń.

— Z przyjemnością — odpowiedział Hornblower, szukając słów, które by uniemożliwiły pojednanie — jeśli pan Simpson poprosi mnie o przebaczenie teraz, w obecności obu panów, i przyzna, że odezwanie jego było bezpodstawne i niegodne dżentelmena.

Mówiąc to odwrócił się, napotkał wzrok Simpsona i popatrzył mu w oczy wyzywająco, jak gdyby powiewając czerwoną płachtą przed bykiem, w którym wzbierała upragniona przez niego furia.

— Przepraszam **ciebie**, ty beczelny smarkaczu! — wybuchnął Simpson, dając się ponieść alkoholowi i urażonej godności. — Nigdy, pókim żyw.

— Panowie to słyszeli? — zwrócił się do obecnych Hornblower. — Zostałem obrażony, a pan Simpson nie tylko odmawia przeprosin, ale znieważa mnie jeszcze bardziej. W tej sytuacji jest tylko jeden sposób dania satysfakcji.

Przez następne dni dzielące ich od przybycia konwoju zachodnioindyjskiego Hornblower i Simpson, pozostając pod rozkazami Chalka, wiodli osobliwe życie dwóch ludzi, którzy oczekując na pojedynkę zmuszeni są przestawać ze sobą. Hornblower — jak by to czynił w każdym innym wypadku — starał się spełniać wszystkie otrzymywane rozkazy, a Simpson wydawał je z pewnym zakłopotaniem i skrepowaniem. W ciągu tych dwóch dni Hornblower dopracowywał szczegóły swego pierwotnego pomysłu. Obchodząc stocznie z patrolem marynarzy, depcącym mu po piętach, miał wiele czasu na przemyślenie sprawy. Oceniana na zimno — a siedemnastoletni młodzieniec w nastroju czarnej rozpaczki może od czasu do czasu zdobyć się na pewien obiektywizm — była tak prosta jak obliczanie szans w rozgrywce wistowej. Nic nie może być gorszego od życia na „Justinianie”, nawet śmierć (do tego wniosku doszedł już wcześniej). I oto nadarza się okazja łatwej śmierci tym bardziej pociągająca, że zamiast niego może zginąć Simpson. W tej to właśnie chwili Hornblower posunął się w swym zamyśle o krok dalej — ujrzał go w nowym aspekcie, zaskakującym nawet dla niego samego do tego stopnia, że przystanął i patrol wpadł na niego, zanim marynarze zdążyli się zatrzymać.

— Przepraszam, sir — powiedział podoficer.

— Nie szkodzi — odrzekł Hornblower, głęboko zatopiony w myślach.

Najpierw napomknął o tym w rozmowie z oficerami nawigacyjnymi, Prestonem i Danversem, których natychmiast po powrocie na „Justiniana” poprosił na swoich sekundantów.

— Oczywiście, będziemy działać w pańskim imieniu — powiedział Preston, patrząc powątpiewająco na chuderlawego młodzieńca wyłuszczającego swoją prośbę. — Jakiej, broni pan sobie życzy użyć? Jako strona obrażona ma pan prawo wyboru.

— Zastanawiam się nad tym od momentu, gdy mnie znieważył — zaczął Hornblower, odwołując się do odpowiedzi. Niełatwo było w końcu podać swój zamiar w suchych słowach.

— Ma pan wprawę w posługiwaniu się szpadą? — spytał Danvers.

— Nie — odparł Hornblower. Prawdę mówiąc, nigdy jej dotąd nie miał w użyciu.

— Więc chyba lepiej pistolety — wtrącił Preston.

— Simpson jest pewnie dobrym strzelcem — zauważył Danvers. — Ja sam nie miałbym odwagi zmierzyć się z nim.

— Daj spokój — pośpieszył Preston. — Nie odbieraj człowiekowi odwagi.

— Nie boję się — powiedział Hornblower, — Sam o tym myślałem.

— Jak widać, nie traci pan zimnej krwi — dziwił się Danvers.

Hornblower wzruszył ramionami.

— Może. Ale to nieważne. Przyszło mi jednak do głowy, że moglibyśmy jeszcze bardziej wyrównać szansę.

— W jaki sposób?

— Moglibyśmy zrównać je zupełnie — ciągnął Hornblower, porzuciwszy wahanie. — Niech będą dwa pistolety, jeden naładowany, a drugi nie. Simpson i ja dokonamy wyboru nie wiedząc, który jest nabity. Potem staniemy w odległości jarda od siebie i na komendę wystrzelimy.

— Boże mój! — osłupiał Danvers.

— Myślę, że to nie byłoby w zgodzie z przepisami — rzekł Preston. — Znaczyłoby, że jeden z was zginie na pewno.

— Celem pojedynków jest zabijanie — odparował Hornblower. — Jeśli warunki będą fair, nie sędzę, aby można było mieć jakieś zastrzeżenia.

— Ale czy pan wytrwa do końca? — powiedział Danvers z powątpiewaniem w głosie.

— Panie Danvers... — zaczął Hornblower, lecz Preston przerwał mówiąc:

— Nie chcemy jeszcze jednego pojedynku między członkami naszej załogi. Danvers chciał tylko powiedzieć, że on sam nie byłby zdolny do czegoś takiego. Omówimy sprawę z Clevelandem i Hetherem i zobaczymy, co oni powiedzą.

Nie minęła godzina, a cały okręt znał proponowane warunki pojedynku. Na niekorzyść Simpsona podziałał być może fakt, iż nie miał on na pokładzie żadnego prawdziwego przyjaciela, tak że jego sekundanci, Cleveland i Hether nie upierali się zbytnio co do sposobu przeprowadzenia pojedynku i ledwie markując opór zgodzili się na proponowane warunki. Tyran mesy midszypmenów płacił za swe wyczyny. Część oficerów zareagowała cynicznym rozbawieniem, inni, a także niektórzy marynarze, patrzyli na Hornblowera i Simpsona z zaciekawieniem, jakie czyjaś zbliżająca się śmierć budzi w niektórych ludziach.

W południe porucznik Masters posłał po Hornblowera.

— Panie Hornblower, dowódca rozkazał mi zbadać sprawę tego pojedynku — oznajmił. — Polecono mi zrobić co się da, aby zażegnać spór.

— Tak, sir.

— Panie Hornblower, po cóż nalegać na satysfakcję? O ile wiem, padło kilka nie przemyślanych słów przy winie i kartach.

— Sir, pan Simpson oskarżył mnie, że oszukuję, w obecności dwóch świadków, oficerów nie z naszego okrętu.

W tym był cały kłopot. Świadkowie nie należeli do załogi „Justiniana”. Gdyby Hornblower zdecydował się puścić płazem słowa Simpsona jako brednie rozszoszczonego pijaka, mogłyby przejść nie zauważone. Skoro jednak zareagował na nie tak, jak to uczynił, nie można było już sprawy zatuszować i Hornblower wiedział o tym.

— Mimo to, panie Hornblower, można otrzymać satysfakcję bez pojedynku.

— Sir, jeśli pan Simpson przeprosi mnie oficjalnie w obecności tych samych świadków, będę usatysfakcjonowany.

Simpson nie był tchórzem. Będzie wolał śmierć niż narażenie się na publiczne poniżenie.

— Rozumiem. Obstaje pan, jak słyszałem, przy niecodziennych raczej warunkach pojedynku?

— Sir, istnieją w tej mierze precedensy. Jako strona obrażona mam prawo wybrać dowolne warunki, byle były fair.

— Panie Hornblower, słuchając pana odnoszę wrażenie, że mówię z prawnikiem, specjalistą od spraw morskich.

Ta uwaga wystarczyła Hornblowerowi, by się zorientował, iż przemawiał w sposób zbyt pewny siebie i na przyszłość postanowił powściągać język. Stał, milcząc, i czekał, aby Masters podjął rozmowę.

— A zatem, panie Hornblower, jest pan zdecydowany trwać w tym morderczym zamiarze?

— Tak, sir.

— Dowódca polecił mi w takim razie osobiście asystować przy pojedynku z powodu niezwykłych warunków, przy których pan się upiera. Zwrócę się do sekundantów, aby mi to umożliwili.

— Tak, sir.

— To wszystko, panie Hornblower.

Masters patrzył za odchodzącym Hornblowerem jeszcze uważniej niż wówczas, gdy chłopiec przybył po raz pierwszy na okręt. Szukał objawów słabości i niezdecydowania — jakichś oznak uczuć ludzkich — ale nic takiego nie zauważył. Hornblower powziął decyzję, rozważywszy wszystkie pro i contra, i rozumując logicznie uznał, że obmyśliwszy na zimno tok postępowania byłoby głupotą poddać się potem wpływow zmiennych emocji. Warunki pojedynku, jakich żądał, z matematycznego punktu widzenia były korzystne, jeśli już kiedyś myślał o tym, aby ująć prześladowaniom Simpsona popełniając samobójstwo, to szansa położenia im kresu pozostając przy życiu była na pewno wyjściem korzystniejszym. Jeśli nawet Simpson jest (a to prawie pewne) lepszym szermierzem i lepszym strzelcem od niego, to i wówczas, matematycznie rzecz biorąc, równe szansę są korzystne. Nie było powodu żałować swojej decyzji.

Wszystko pięknie; z matematycznego punktu widzenia wnioski te były nie do podważenia, lecz Hornblower stwierdził ze zdziwieniem, że matematyka to nie wszystko. Parokrotnie w czasie tego ponurego popołudnia i wieczoru poczuł, że ściska go coś w gardle na myśl, iż następnego ranka orzeł lub reszka zdecydują o jego życiu. Jeśli przypadnie mu gorsza z dwóch możliwych szans, jutro będzie martwy, dusza z niego uleci, ciało ostygnie, a świat — w co trudno uwierzyć — będzie istniał dalej, bez niego. Mimo woli przeleciał go dreszcz na tę myśl. A miał dużo czasu na refleksje, gdyż zwyczaj zabraniający przeciwnikom spotykania się ze sobą do chwili pojedynku zmuszał go do przebywania o tyle w izolacji, o ile była ona możliwa na zatłoczonym pokładzie „Justiniana”. Tej nocy rozwieszając swój hamak czuł się przybity i zmęczony bez powodu; rozbierał się w dusznym, wilgotnym zmroku międzypokładzia trzęsąc się z zimna bardziej niż zwykle. Owinął się kocami, daremnie szukając odprężenia w ich ciepłe. Ledwo zaczynał zasypiać, już budził się, pełen napięcia i obaw, myślami wybiegając w dzień jutrzejszy. Znużony, przewracał się w hamaku, słysząc co pół godziny uderzenia dzwonu okrętowego, czując coraz silniejszą pogardę dla swego tchórzostwa. W końcu powiedział sobie, że to nawet dobrze, iż jutro życie jego zależeć będzie od czystego przypadku, bo gdyby musiał polegać na pewności ręki i oka, po takiej nocy na pewno by zginął.

Chyba ta myśl pomogła mu przespać ostatnią godzinę nocy czy może dwie, gdyż obudził się nagle, potrząsany przez Danversa.

Pięć dzwonów — oznajmił Danvers. — Za godzinę świt. Wstawaj i do dzieła!

Hornblower ześliznął się z hamaka i stał w samej koszuli; na międzypokładziu było prawie ciemno i Danversa ledwie było widać w tym mroku.

— Kapitan każe nam jechać drugą łodzią — ciągnął Danvers. — Masters, Simpson i jego sekundanci jadą pierwsi szalupą. A oto i Preston.

W ciemności zamajaczyła druga niewyraźna postać.

— Piekielnie zimno — narzekał Preston. — Parszywy ranek na wstawanie. Nelson, gdzież herbata?

Mesowy wszedł w chwili, gdy Hornblower naciągał spodnie. Hornblower był wściekły, że tak

drży z zimna, iż kubek zadzwonił o podstawkę, gdy brał go do ręki. Herbata robiła mu dobrze, więc pił ją chciwie.

— Proszę jeszcze kubek — powiedział, dumny, że w takiej chwili jest w stanie myśleć o herbacie.

Było jeszcze ciemno, gdy schodzili do łodzi.

— Odbijać — rozkazał sternik i łódź oderwała się od burty okrętu. Wiał przejmujący, zimny wiatr, który wypełniał żagiel lugrowy łodzi kierującej się na dwa światelka na końcu falochronu.

— Zamówilem dorożkę u George'a — powiedział Danvers. — Miejmy nadzieję, że czeka na nas.

Czekała, a woźnica mimo całonocnego picia był na tyle trzeźwy, że panował nad koniem. Usiedli, z nogami w słomie, i Danvers wydobył z kieszeni flaszkę.

— Pociągniesz, Hornblower? — zapytał, podając mu ją. — Dziś rano twoja ręka nie musi być specjalnie pewna.

— Nie, dziękuję — odparł Hornblower. Pusty żołądek buntował się przeciwko samej myśli wlewania w niego wódki.

— Tamci będą przed nami — mówił Preston. — Widziałem, jak ich łódź wracała, gdy dopływaliśmy do falochronu.

Etykieta pojedynkowa wymagała, aby przeciwnicy przybywali na pole walki oddzielnie; na powrót będzie potrzebna już tylko jedna łódź.

— Jest z nimi konował — dorzucił Danvers. — Chociaż Bóg jeden wie, co z niego może być dziś za pożytek.

Parsknął śmiechem i stropiony usiłował stłumić swój chichot.

— Hornblower, jak się czujesz? — spytał Preston.

— Nie najgorzej — odparł Hornblower, powstrzymując się od dodania, że tego rodzaju uwagi nie wpływają za dobrze na jego nastrój.

Dorożka, przejechawszy szczyt wzgórza, nie trzęsła tak bardzo. Wreszcie zatrzymała się przy błoni. Cekał tam już drugi powóz z latarnią na jedną świecę palącą się żółtym płomykiem w rozjaśniającym się brzasku.

— To oni — powiedział Preston; w słabym świetle świtu dojrzeli grupkę stojących na zamrzniętym torfie pośród krzaków janowca. Ruszyli w ich stronę.

Hornblowerowi mignęła twarz Simpsona stojącego nieco na uboczu. Była blada, a Hornblower zauważył, że i Simpson przełykał nerwowo ślinę.

Masters podszedł do nich i powiódł swoim zwykłym uważnym spojrzeniem po twarzy Hornblowera.

— To jest moment — rzekł — na załagodzenie sporu. Kraj nasz znajduje się w stanie wojny. Mam nadzieję, panie Hornblower, że da się pan nakłonić do zachowania życia ludzkiego dla króla i nie będzie uparty w tej sprawie.

Hornblower spojrział wprost na Simpsona, a Danvers odpowiedział za niego.

— Czy pan Simpson zaproponował należyte zadośćuczynienie? — zapytał.

— Pan Simpson jest skłonny przyznać, że pragnąłby, aby incydent ten nie miał w ogóle miejsca.

— To nie jest forma zadowalająca — odparł Danvers. — Nie ma w niej przeprosin, a zgodzi się pan, sir, że przeprosiny są konieczne.

— Co na to wasz przeciwnik? — nalegał Masters.

— Nie do przeciwników należy uzgadnianie tych kwestii — stwierdził Danvers, rzucając okiem na Hornblowera, który skinął głową potakująco. Wszystko to było równie nieuniknione, jak przejazd w wozie katowskim i tak samo straszne. Teraz już nie było powrotu; Hornblower ani przez moment nie przypuszczał, że Simpson zgodzi się na przeproszenie, a bez tego sprawa musiała się toczyć dalej, aż do krwawego zakończenia. Miał taką samą jak on szansę, że nie pożyje dłużej niż pięć minut.

— A zatem jesteście panowie zdecydowani — stwierdził Masters. — Będę musiał zanotować ten fakt w moim sprawozdaniu.

— Jesteśmy zdecydowani — potwierdził Preston.

— Nie pozostaje więc nic innego, jak pozwolić na kontynuowanie tej pożałowania godnej sprawy. Zostawiłem pistolety pod opieką doktora Hepplewhite'a.

Odwrócił się i powiódł ich do drugiej grupki — stał tam Simpson z Hetherem i Clevelandem oraz doktor Hepplewhite trzymający za lufę pistolety. Był to tęgi mężczyzna z czerwoną twarzą zatwardziałego pijaka, i teraz miał na obliczu pijacki uśmiech i chwiał się lekko na nogach.

— Czy młodzi durnie obstają przy swym szaleństwie? — zapytał, lecz wszyscy bardzo taktownie zignorowali to odezwanie się osoby nie upoważnionej do zadawania pytań w takiej chwili.

— A więc — zaczął Masters — oto pistolety, oba, jak widzicie, są załadowane prochem, lecz zgodnie z warunkami pojedynku jeden jest nabity, a drugi nie. Mam tu gwineę i proponuję rzucić ją dla ustalenia, komu przypadnie który. Panowie, czy rzut monetą ma zdecydować nieodwołalnie, który pistolet przypadnie któremu przeciwnikowi — na przykład ten panu Simpsonowi, jeśli wyjdzie reszka, czy też wygrywający będzie mógł wybrać pistolet? Moim zadaniem jest wyeliminować wszelką możliwość zmywy.

Hether z Clevelandem i Danvers z Prestonem wymienili niezdecydowane spojrzenia.

— Niech wybiera ten, który odgadnie trafnie — powiedział w końcu Preston.

— Doskonale, panowie. Proszę wołać, panie Hornblower.

— Orzeł — krzyknął Hornblower, gdy złota moneta zawirowała w powietrzu.

Masters podstawił dłoń i przykrył monetę drugą ręką.

— Orzeł — stwierdził. Odkrył gwineę na dłoni i pokazał ją sekundantom. — Niech pan wybiera.

Hepplewhite wyciągnął ku niemu oba pistolety, w jednej ręce dzierżąc życie, w drugiej śmierć. Była to straszna chwila. Mógł zdać się tylko na czysty przypadek; potrzeba było pewnego wysiłku, by wyciągnąć rękę.

— Wezmę ten — rzekł; broń przy dotknięciu wydała mu się lodowato zimna.

— W ten sposób uczyniłem to, o co byłem proszony — oświadczył Masters. — Reszta, panowie, należy do was.

— Bierz pan swój, Simpson — powiedział Hepplewhite. — A pan, panie Hornblower, niech uważa, manipulując swoim. Stanowicie publiczne zagrożenie.

Doktor wciąż szczyrzył zęby, zadowolony, że to nie on, a ktoś inny jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Simpson ujął pistolet podany mu przez Hepplewhite'a i zważył go w dłoni; raz jeszcze oczy jego napotkały wzrok Hornblowera, ale patrzyły bez wyrazu i wydawało się, że go nie poznaje.

— Nie ma potrzeby rozchodzić się na jakąś specjalną odległość — mówił Danvers. — Każde miejsce jest równie dobre. I grunt tu dosyć równy.

— Doskonale — zgodził się Hether. — Panie Simpson, zechce pan stanąć tutaj.

Preston skinął na Hornblowera, który ruszył we wskazanym kierunku. Nie było mu łatwo kroczyć energicznie, a przy tym spokojnie. Preston wziął go pod ramię i ustawił naprzeciwko Simpsona, prawie pierś w pierś — tak blisko, że poczuł odór alkoholu.

— Po raz ostatni, panowie — przemówił głośno Masters. — Czy nie możecie się pogodzić?

Odpowiedzią było głębokie milczenie i Hornblowerowi zdawało się, że w tej ciszy słyszczyć wyraźnie szalone bicie jego serca. Ciszę przerwał Hether wołając:

— Nie ustaliliśmy, kto da komendę! Kto to zrobi?

— Może pan Masters — zaproponował Danvers.

Hornblower nie rozglądał się. Utkwił wzrok w szare niebo nad prawym uchem Simpsona — nie mógł czemuś patrzeć mu w twarz i nie miał pojęcia, na co spogląda Simpson. Wiedział, że dla niego

koniec świata jest bliski — za chwilę kula może przesyć mu serce.

— Uczynię to, skoro panowie tak postanowili — usłyszał głos Mastersa.

W szarości nieba nie było nic zajmującego dla oka; równie dobrze mógł się żegnać z tym światem z zawiązanymi oczyma. Masters przemówił donośnym głosem.

— Powiem: raz... dwa... trzy... ognia! — oznajmił — z takimi przerwami. Po ostatnim słowie możecie panowie strzelać, jak chcecie. Jesteście gotowi?

— Tak — dobiegł głos Simpsona, Hornblowerowi wydało się, że tuż nad jego uchem.

— Tak — zawtórował Hornblower. Słyszał napięcie w swoim głosie.

— Raz... — zaczął Masters, a w tym momencie Hornblower poczuł na lewej piersi dotknięcie lufy pistoletu Simpsona, uniósł więc swój.

I właśnie w tej sekundzie zdecydował, że nie potrafi zabić Simpsona, nawet gdyby to było w jego mocy. Uniósł pistolet nieco wyżej i zmusił się, aby sprawdzić wzrokiem, że jest wycelowany w ramię Simpsona. Wystarczy nieznaczne draśnięcie.

— Dwa... — ciągnął Masters. — Trzy... Ognia!

Hornblower pociągnął za spust. Usłyszał szczęknięcie pistoletu. Proch się zapalił, ale nic ponadto — to on miał broń nie naładowaną i pojął, co znaczy umierać. Ułamek sekundy później rozległ się drugi szczęk pistoletu Simpsona i obłoczek dymu pojawił się w okolicy jego serca. Obaj stali skamieniali i milczący, powoli uświadamiając sobie, co właściwie zaszło.

— Na Boga, spudłował! — krzyknął Danvers.

Otoczyli ich sekundanci.

— Proszę mi dać pistolety! — rozkazał Masters, wyjmując je z osłabłych dłoni przeciwników. — Ten załadowany mógł się tylko zaciąć, a nie chcemy, żeby teraz wypalił.

— Który był załadowany? — spytał Hether, pożerany ciekawością.

— Lepiej tego nie wiedzieć — odrzekł Masters, przekładając szybko pistolety z ręki do ręki, aby zmylić wszystkich.

— Może jeszcze jeden strzał? — zapytał Danvers, ale Masters popatrzył mu w oczy prosto i nieustępliwie.

— Nie będzie drugiego strzału — powiedział. — Honor został całkowicie usatysfakcjonowany. Obaj panowie przeszli doskonale przez próbę. Teraz nikt nie będzie mógł źle myśleć o panu Simpsonie, jeśli wyrazi żal z powodu zajścia, ani o panu Hornblowerze, jeżeli zgodzi się na taką satysfakcję.

Hepplewhite wybuchnął śmiechem.

— Wasze twarze! — ryczał waląc się po biodrach. — Żebyście mogli siebie zobaczyć! Ponurzy jak na pogrzebie!

— Panie Hepplewhite — odezwał się Masters — pańskie zachowanie jest niestosowne. Panowie, dorożki czekają na drodze, a szalupa stoi przy falochronie. Myślę, że śniadanie zrobi dobrze nam wszystkim, nawet panu, Hepplewhite.

Na tym incydent powinien być się zakończyć. Z czasem pełne podniecenia komentarze na temat niezwykłego pojedynku, krążące wśród zakotwiczonych okrętów eskadry, ucichły zupełnie, chociaż teraz nazwisko Hornblowera stało się znane wszystkim, i to nie jako midszypmena, który przechodził chorobę morską w Spithead, lecz mężczyzny, który potrafił z zimną krwią postawić życie na kartę. Lecz na samym „Justinianie” zaczęto mówić o czymś innym; szeptano o tym na dziobie i rufie.

— Sir, pan Hornblower prosi o posłuchanie — rzekł pewnego ranka pan Clay, pierwszy oficer, składając raport dowódcy okrętu. Keene westchnął ciężko.

— Proszę go przysłać, jak pan stąd wyjdzie.

W dziesięć minut później do kabiny zapukał i wszedł młodzieniec w stanie wielkiego wzburzenia.

— Sir... — zaczął Hornblower.

— Domyślam się, z czym pan przychodzi — powiedział Keene.

— Te pistolety, których użyliśmy w pojedynku z Simpsonem, nie były nabite!

— Pewnie Hepplewhite wypaplał — mruknął Keene.

— I, jak rozumiem, to się stało na pański rozkaz, sir.

— Tak, to prawda, wydałem taki rozkaz panu Mastersowi.

— To była niedopuszczalna samowola, sir!

Hornblower chciał przemówić ostrym tonem, lecz wybąkał te słowa nieśmiało.

— Być może — odparł Keene cierpliwie, jak zwykle przekładając papiery na biurku.

Spokój towarzyszący temu stwierdzeniu zdeorientował Hornblowera, tak że przez następną chwilę coś tylko mruczał pod nosem.

— Ocaliłem jedno życie dla króla — ciągnął Keene, gdy Hornblower umilkł. — Młode życie. Nikt przy tym nie ucierpiał. Przeciwnie, odwaga, zarówno pańska, jak i Simpsona, została w pełni wykazana. Obaj wiecie teraz, że potraficie stanąć w obliczu ognia, i wszyscy inni wiedzą też o tym.

— Sir, pan naraził mój honor na szwank — kontynuował Hornblower jedną z przeciwicznych wcześniej mów — a z tego jest tylko jedno wyjście.

— Panie Hornblower, proszę się opanować — Keene przygotowując się do przemowy poprawił się w fotelu z grymasem bólu. — Muszę panu przypomnieć o pewnym zbawiennym przepisie obowiązującym w marynarce wojennej, a mianowicie, że młodszy rangą oficer nie może wyzwąć na pojedynek starszego. Przyczyny są jasne — w przeciwnym wypadku awansowanie byłoby zbyt łatwe. Nawet samo wyzwanie starszego oficera przez młodszego grozi sądem wojennym, panie Hornblower.

— Och! — jęknął cicho Hornblower.

— A teraz proszę posłuchać bezinteresownej rady — ciągnął Keene. — Odbył pan jeden pojedynek, wychodząc z niego z honorem. To dobrze. A jeszcze lepiej — żeby pan nigdy nie miał drugiego. Dziwna rzecz, ale niektórzy ludzie potrafią zasmakować w pojedynkowaniu się, jak tygrys we krwi. Ludzie ci nigdy nie są dobrymi ani lubianymi oficerami.

W tym właśnie momencie Hornblower uświadomił sobie, że silne podniecenie, z jakim przekraczał próg kajuty kapitańskiej, wywołała głównie perspektywa, że ma rzucić wyzwanie. Mogło to być niezdrowe pragnienie niebezpieczeństwa i piekielna żądza zajęcia choć na chwilę centralnego miejsca na scenie. Keene czekał na jego reakcję, ale jemu trudno było znaleźć jakąś odpowiedź.

— Rozumiem, sir — powiedział w końcu.

Keene znowu poruszył się w fotelu.

— Panie Hornblower, jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałem z panem omówić. Kapitan Pellew z „Indefatigable” ma u siebie wolne miejsce dla midszypmena. Kapitan Pellew lubi zagrać partyjkę wista, a nie ma dobrego czwartego na pokładzie. Uzgodniliśmy między sobą, że załatwimy pozytywnie pańską prośbę o przeniesienie, jeśli pan ją złoży. Nie muszę dodawać, że każdy ambitny młody oficer podskoczyłby do góry, gdyby się przed nim otworzyła możliwość służby na fregacie.

— Na fregacie! — wykrzyknął Hornblower.

Wszyscy znali reputację i szczęście Pellewa. Odznaczenie się, awans, przyzwołe — oficer pod rozkazami Pellewa mógł liczyć na to wszystko. Nominacja na „Indefatigable” jest na pewno przedmiotem nie lada zabiegów, a dla niego była to szansa, jaka zdarza się raz w życiu. Hornblower już miał ją przyjąć z zadowoleniem, gdy pewne względy powstrzymały go.

— Pan jest bardzo dobry, sir — powiedział — i nie wiem, jak mam za to dziękować. Ale pan mnie przyjął do siebie jako midszypmena i oczywiście muszę tu z panem pozostać.

Ściągnął, rozumną twarz rozjaśnił uśmiech.

— Niewielu zdobyłoby się, żeby to powiedzieć — rzeki Keene. — Lecz będę nalegał, aby pan przyjął propozycję. Nie pożyję na tyle długo, aby móc docenić pańską lojalność. A ten okręt nie jest miejscem dla pana — z jego bezużytecznym dowódcą — proszę nie przerywać — nieudolnym

zastępcą i midszypmenami za starymi na swe stanowiska. Powinien pan znaleźć się tam, gdzie są możliwości na szybki awans. Sugerując panu przyjęcie zaproszenia kapitana Pellewa, panie Hornblower, czynię to dla dobra służby, a ja sam będę miał być może mniej kłopotów, jeśli pan się zgodzi.

— Tak jest, sir — odpowiedział Hornblower.

Rozdział drugi

Ładunek ryżu

Wilk znalazł się pośród owiec. Jak okiem sięgnąć, wzburzone, rozkołysane szare wody Zatoki Biskajskiej usiane były białymi płótnami i chociaż wiał silny wiatr, wszystkie okręty miały postawione niebezpiecznie dużo żagli. Wszystkie usiłowały wydostać się stamtąd, oprócz jednego; tym wyjątkiem była „Indefatigable”, fregata jego królewskiej mości, dowodzona przez kapitana Sir Edwarda Pellewa. Daleko na Atlantyku, setki mil od nich rozgrywała się wielka bitwa, w której okręty liniowe biły się o to, czy Anglia, czy też Francja utrzyma panowanie na morzu; tu, w zatoce, konwój, który miały eskortować okręty francuskie, został wystawiony na atak jednostki na tyle silnej, że mogła zdobyć każdy statek, jaki była w stanie prześcignąć. Nadpłynęła od zawietrznej, odcinając szansę ucieczki w tamtym kierunku, i niezdarne statki handlowe musiały iść bejdedwindem; wszystkie były wyładowane żywnością, której rewolucyjna Francja (mająca gospodarkę zdezorganizowaną ciągłymi wstrząsami) tak bardzo oczekiwała, a ich załogi bały się więzienia brytyjskiego jak ognia. Fregata wyprzedzała statek za statkiem; wystarczył jeden strzał lub dwa i już świeżo wciągnięta trójkolorowa bandera zjeżdżała trzepocząc z gafla, załoga przyzowa spieszyła na zdobytą jednostkę, by ją doprowadzić do portu brytyjskiego, a fregata puszczała się w pogoń za następnym łupem.

Na pokładzie rufowym „Indefatigable” Pellew zżymał się na każdą niezbędną zwłokę. Statki konwoju, idące możliwie najbliżej wiatru i pod tyłoma żaglami, ile tylko zdołały postawić, rozpraszały się coraz bardziej z upływem minut, co mogło uratować niektóre z nich, jeśli chociaż jedna chwila zostanie zmarnowana. Pellew nie czekał na powrót swoich łodzi; wysyłał oficera z uzbrojonym oddziałkiem na każdy kolejny poddający się statek i ledwie załoga przyzowa odpłynęła, wypełniał znowu wiatrem grotmarsel fregaty i ruszał za następną ofiarą. Bryg, który właśnie ścigali, zwlekał z poddaniem się. Długie dziewięciofuntówki na dziobie „Indefatigable” odezwały się parę razy; na rozkołysanym morzu niełatwo było o dokładne celowanie i bryg szedł dalej swoim kursem, w nadziei że jakiś cud go uratuje.

— Doskonale — mruknął Pellew. — Sam tego chciał. Niech więc ma.

Celownicowie przy pościgówkach dziobowych zmienili cel, mierząc w środek statku, zamiast w jego dziób.

— Nie w kadłub, do diabła! — krzyknął Pellew. Jeden z pocisków trafił bryg niebezpiecznie, tuż nad linią wodną. — Po masztach go!

Przypadkiem, czy może celowo, następny strzał miał lepszą elewację. Trafił w strop mocujący fokregę i zrefowany żagiel z bezwładnie przechyloną reją zjechał w dół, a bryg przekreślił się na

wiatr, tak że „Indefatigable” mogła położyć się w dryf obok niego, gotowa do wystrzelenia salwy burtowej. Pod taką groźbą bandera została opuszczona.

— Co to za bryg? — zawołał Pellew przez tubę.

— „Marie Galante” z Bordeaux — oficer stojący obok Pellewa przetłumaczył odpowiedź francuskiego dowódcy. — Od dwudziestu czterech dni w drodze z Nowego Orleanu z ładunkiem ryżu.

— Ryż! — powiedział Pellew. — Po powrocie do kraju dostaniemy za niego ładny grosz. Na moje oko ze dwieście ton. Stan załogi najwyżej dwunastu. Wystarczy czteroosobowy oddziałek przyzowy pod dowództwem midszypmena.

Rozejrzał się, jakby szukając inspiracji do rozkazu, który miał właśnie wydać.

— Panie Hornblower!

— Sir!

— Proszę wziąć czterech ludzi z załogi kutra i abordażować bryg. Pan Soames poda panu naszą pozycję. Proszę doprowadzić statek do jakiegokolwiek portu angielskiego i zgłosić się tam po rozkazy.

— Tak jest, sir.

Hornblower ze sztyletem u boku i pistoletem u pasa był na swoim stanowisku przy karonadach na prawej burcie pokładu rufowego — być może z tej przyczyny na niego właśnie padł wzrok Pellewa. Musiał myśleć szybko, niecierpliwość Pellewa była widoczna dla wszystkich. Na przygotowanej do boju „Indefatigable” skrzynka z jego rzeczami została użyta do zmontowania pod pokładem stołu operacyjnego dla chirurga, nie było zatem mowy o wyjęciu z niej czegokolwiek. Musiał płynąć tak jak stał. Łódź podchodziła już na pozycję przy rufie „Indefatigable”, podbiegł więc do burty i przywołał ją, starając się nadać swemu głosowi możliwie męskie brzmienie, a na słówko dowodzącego porucznika łódź obróciła się dziobem ku fregacie.

— Panie Hornblower, tu jest nasza długość i szerokość geograficzna — powiedział oficer nawigacyjny Soames, wręczając skrawek papieru.

— Dziękuję — odrzekł Hornblower, wtykając kartkę do kieszeni. Wdrapał się niezdarnie na ławę wantową stermasztu i spojrzał w dół na łódź. Kołysała się wzdłużnie jak okręt, nurzając prawie dziób w morzu, a odległość do niej wydawała się przerażająco duża; brodaty marynarz stojący na dziobie ledwo sięgał podwiewi długim bosakiem. Hornblower wahał się przez dłuższą chwilę — wiedział, że skacze ciężko i niezgrabnie — wiedza książkowa na nic się zdała, gdy przychodziło skakać do łodzi, lecz musiał skoczyć, bo za nim wściekał się Pellew, a na sobie czuł oczy załóg łodzi i okrętu. Lepiej skoczyć i narazić się na szwank albo zrobić z siebie widowisko, niż spowodować zwłokę w dalszych poczynaniach okrętu. Czekanie nic nie dawało, podczas gdy skacząc miał jakąś szansę. Możliwe, że to na słówko Pellewa sternik „Indefatigable” sprawił, że

dziób okrętu nieco odpadł. Nadbiegająca z ukosa fala dźwignęła w górę rufę „Indefatigable” i przeszła pod nią tak, że dziób łodzi podjechał w górę w momencie opadania rufy. Hornblower zebrał się w sobie i skoczył. Wylądował stopami na krawędzi nadburcia i chwiejąc się stał tak przez jedną przerażającą sekundę, aż któryś marynarz pociągnął za mundur i Hornblower poleciał w przód, zamiast do tyłu. Ale mocne, wyprężone ramię marynarza nie mogło go utrzymać i runął głową w dół, nogami do góry, na ludzi siedzących na drugiej ławce poprzecznej. Wyrznął o ich muskularne plecy tak silnie, że stracił oddech, lecz wreszcie udało mu się stanąć w pozycji wyprostowanej.

— Przepraszam — wyjąkał do marynarzy, którzy swymi ciałami osłabili jego upadek.

— E, tam, nie ma za co, sir — odezwał się najbliższy, marynarz z krwi i kości, z tatuażem i harcapem. — Waży pan tyle co piórko.

Dowodzący porucznik patrzył na niego z rufy.

— Płynie pan na bryg, sir? — zapytał i na jego rozkaz w chwili, gdy Hornblower przechodził na rufę, łódź zaczęła się obracać.

Był przyjemnie zaskoczony, że nie powitały go gęby szeroko rozciągnięte w uśmiechu ledwie skrywanego rozbawienia. Skoczyć do małej łodzi z wielkiej fregaty nawet na dosyć spokojnym morzu nie było łatwą sprawą; prawdopodobnie każdy z obecnych wylądował kiedyś jak on głową naprzód, a do tradycji służby na morzu, tak jak ją pojmowano na „Indefatigable”, nie należało śmiać się z kogoś, kto nie uchylając się dał z siebie wszystko, na co go stać.

— Czy przejmuje pan bryg? — zapytał porucznik.

— Tak, sir. Dowódca rozkazał mi wziąć czterech z pańskich ludzi.

— Powinni to być zatem wytrawni marynarze — rzekł porucznik, podnosząc wzrok na olinowanie brygu. Reja fokmasztu zwisała niebezpiecznie, a fał kliwra obluzował się i żagiel łopotał z hukiem na wietrze. — Czy zna pan tych ludzi, czy mam ich sam wybrać?

— Będę zobowiązany, sir, jeśli to pan uczyni.

Porucznik wywołał cztery nazwiska i cztery głosy odpowiedziały na wezwanie.

— Trzeba ich trzymać z dala od trunków, a będzie pan miał z nich pożytek — dodał porucznik. — Radzę dobrze pilnować wziętej do niewoli załogi francuskiej. Jeśli pan tego zaniedba, nim się pan obejrzy, znajdzie się pan we francuskim ulu.

— Tak jest, sir — rzekł Hornblower.

Kuter podskakiwał na fali przy burcie brygu; dzielił go pas spienionej wody. Wytatuowany marynarz dobił spiesznie targu z sąsiadem na ławce i wsunął do kieszeni zwitek tytoniu — podobnie jak Hornblower marynarze zostawiali całe swoje mienie na fregacie — i skoczył na ławę wantową. Za nim poszedł drugi i obaj czekali na Hornblowera, który z trudem przedostawał się na dziób rozchybotanej łodzi. Stał na przedniej ławce, balansując niebezpiecznie. Ława wantowa

grotmasztu brygu znajdowała się dużo niżej niż stermasztu „Indefatigable”, ale tym razem trzeba było skakać w górę. Jeden z marynarzy powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Chwileczkę — powiedział. — Gotów. Teraz, sir.

Hornblower podkulił ręce i nogi, po czym rozprężywszy je, jak żaba w skoku, rzucił się na ławę wantową. Chwycił się dłońmi wanty, lecz kolano mu się obsunęło i przechył brygu zanurzył go po pas w wodzie, a wanta wysliznęła się z dłoni. Ale czekający w pogotowiu marynarze złapali go za ręce i wciągnęli na statek, gdzie po chwili znaleźli się także dwaj pozostali z jego załogi. Hornblower powiódł ich na pokład.

Pierwsza rzecz, jaką ujrzały jego oczy, to był widok mężczyzny siedzącego na pokrywie łukowej z głową przechyloną do tyłu i przytkniętą do ust butelką, której dno sterczało prosto do góry. Był to jeden z liczniejszego towarzystwa rozsiadłego wokół luku; butelek było więcej, zobaczył, jak jedna z nich przechodziła z rąk do rąk, a gdy podszedł bliżej, przechył statku przetoczył obok jego stóp pustą, aż z brzękiem wpadła do otworu odpływowego. Któryś z siedzących, z białymi włosami rozwianymi przez wiatr, wstał, by go powitać, i stał przez chwilę wymachując rękami i przewracając oczyma, jakby się zbierał do wypowiedzenia czegoś niezmiernie ważnego, i z przejęciem szukał odpowiednich słów.

— Przekłęci Anglicy — wydusił w końcu z siebie, co rzekłszy opadł ciężko na pokrywę łukową i wsparłszy głowę na rękach zaczął się układać do snu.

— Nieźle się zabawiają, sir, niech ich lichy — odezwał się marynarz u boku Hornblowera.

— Żeby to nam trafiła się taka gratka — dodał inny.

Mniej więcej czwartą część skrzynki stojącej przy luku wypełniały starannie zalakowane butelki; marynarz wziął jedną i oglądał z zaciekawieniem. Hornblower nie musiał sobie przypominać ostrzeżenia porucznika; w czasie wypraw na ląd z oddziałem do łapania mężczyzn do służby w marynarce miał możność zauważyć pociąg marynarzy brytyjskich do picia. Jeśli temu nie zapobiegnie, za pół godziny jego oddziałek abordażowy będzie pijany jak Francuzi. Wyobraził sobie z przerażeniem, jak dryfuje po Zatoce Biskajskiej ze statkiem niezdolnym do żeglugi.

— Odłóżcie to — rozkazał. Napięcie sprawiło, że jego siedemnastoletni głos załamał się jak u czternastolatka i marynarz stał dalej z butelką w ręce, z wyrazem wahania na twarzy.

— Odłóż to, słyszałeś? — krzyknął Hornblower desperacko. Było to pierwsze samodzielne zadanie; w takiej sytuacji nigdy jeszcze nie był, zdenerwowanie uwydatniło całą gwałtowność jego aktywnego usposobienia, a przy tym zdawał sobie sprawę, że jeśli teraz nie wymusi posłuchu, nie uda mu się to już nigdy. Za pasem miał pistolet. Położył dłoń na jego kolbie i niewykłuczone, że wyciągnąłby go i użył (jeśli nie był mokry — pomyślał z ironią, analizując później całe zajście), ale marynarz spojrzawszy jeszcze raz na niego odłożył butelkę do skrzyni. Incydent zakończył się i teraz trzeba było zrobić następny krok.

— Weźcie tych ludzi na dziób — przemówił rozkazująco — i wrzucie ich pod bak.

— Tak jest, sir.

Większość Francuzów mogła jeszcze iść o własnych siłach, ale trzech Anglicy wlekli za kołnierze, gnając przed sobą resztę.

— Idziemy — powiedział jeden z marynarzy — tą drogą — kładąc akcent na końcu słów w przekonaniu, że Francuzi łatwiej go zrozumieją, jeśli będzie je wymawiał — jak mu się zdawało — z francuska. Ten, który wstał, by ich przywitać, teraz nagle ocknął się i widząc, że go ciągną na dziób, wyrwał się i zwrócił do Hornblowera.

— Ja oficer — mówił łamaną angielszczyzną wskazując na siebie. — Ja nie iść z nimi.

— Zabrać go! — polecił Hornblower. W tej napiętej sytuacji nie miał czasu bawić się w drobiazgi.

Podciągnął skrzynkę z butelkami do burty i zaczął je wyrzucać po dwie naraz — było to niewątpliwie wino szczególnie dobrego rocznika i Francuzi postanowili je wypić, zanim wpadnie w ręce Anglików, ale to nie miało znaczenia dla Hornblowera. Marynarz angielski mógł upić się równie łatwo czerwonym winem wysokiej marki, jak przydziałowym rumem. Dzieło było skończone, zanim ostatni Francuz zniknął pod bakiem, i Hornblower miał teraz czas, aby się rozejrzeć. Potężny szum wiatru i nieustanny łopot kliwra utrudniały myślenie, gdy oglądał zniszczenia na masztach. Z szotami wszystkich żagli wybranymi sztywno bryg poruszał się skokami do tyłu, aż obracał go pozostawiany bez opieki ster, tak że wytraciwszy wiatr zapierał się w miejscu jak koń stający dęba. Hornblower miał już wiele wiadomości na temat dobrego prowadzenia okrętu i delikatnej równowagi między żaglami rufowymi i dziobowymi. Tu równowaga ta uległa zachwianiu i marynarze zdążyli już wrócić do niego, a on jeszcze borykał się z problemem sił działających na płaskie powierzchnie. Jedną przynajmniej rzecz była pewna, że ta niebezpiecznie zwisająca reja fokmasztu może się oderwać i wyrządzić szkody nie do przewidzenia, jeśli dalej będzie się tak miotać. Trzeba statek ustawić w dryfie, a Hornblower wiedział mniej więcej, jak się do tego zabrać, toteż obmyślił z góry swoje polecenie, żeby nie okazać śladu wahania.

— Przebrasować reje grotmasztu na lewą burzę — rozkazał. — Obsadzić brasy.

— Usłuchali go, a on sam zbliżył się ostrożnie do koła sterowego; odbył kilka wacht jako sternik, ucząc się swych obowiązków zawodowych u Pellewa, lecz nie czuł się zbyt pewnie. Szprychy wydały się obce jego palcom, gdy chwycił za nie. Po przebrasowaniu spróbował nieśmiało obrócić kołem, ale poszło mu łatwo. Podczas gdy rozwiązywał w myślach problem wpływu działania steru, zmysły rozwiązały go empirycznie. Wiedział, że w takich warunkach można spokojnie zamocować koło sterowe, przesunął więc linkę przez szprychę i odstąpił na bok, a „Marie Galante” unosiła się na wodzie spokojnie, przyjmując fale z prawej burty od dziobu.

Hornblowerowi było przyjemnie, że marynarz uważał jego umiejętności za rzecz naturalną, lecz patrząc na splątane olinowanie fokmasztu nie miał najmniejszego pojęcia, co robić dalej. Nie orientował się nawet jasno, co tam jest nie w porządku. Ludzie pozostający pod jego rozkazami byli doświadczonymi marynarzami, którzy wielokrotnie musieli mieć do czynienia z podobnymi sytuacjami. Pierwszą — właściwie jedyną — rzeczą do zrobienia było przekazanie

odpowiedzialności na inne barki.

— Który z was jest najdłużej marynarzem? — zapytał lakonicznie w obawie, by mu głos nie zadrżał.

— Matthews, sir — odpowiedział ktoś po chwili, wskazując kciukiem na tatuowanego marynarza z harcapem, na którego zwalił się wskakując do łodzi.

— Doskonale, Matthews, mianuję was podoficerem. Zabierzcie się od razu do roboty i zlikwidujcie ten bałagan na dziobie. Ja będę zajęty tu, na rufie.

Był to dla Hornblowera denerwujący moment, ale Matthews przyłożył palec do kapelusza.

— Tak jest, sir — rzekł, jakby to była rzecz całkiem oczywista.

— Najpierw opuście kliwer, zanim rozleci się na strzępy — rzucił Hornblower, już znacznie śmieiej.

— Tak jest, sir.

— No to do dzieła.

43

Marynarz ruszył w stronę dziobu, a Hornblower poszedł na rufę. Wyjął lunetę z uchwytu na rufówce i omiół spojrzeniem widnokrąg. Było kilka statków w polu widzenia; najbliższe rozpoznał jako przyzy, bo postawiwszy tyle żagli, ile się tylko dało, płynęły szybko w stronę Anglii. Daleko po nawietrznej dostrzegł marsie „Indefatigable”, która chwyciła w swe szpony ostatnie statki konwoju — wyprzedziła już i opanowała wszystkie wolniejsze i mniej sprawne jednostki, teraz więc każda następna pogoń musi trwać dłużej. Niedługo zostanie sam na tym rozległym morzu, trzysta mil od Anglii. Trzysta mil — dwa dni przy pomyślnym wietrze, a jak długo, jeśli wiatr będzie przeciwny?

Odłożył lunetę na miejsce; na dziobie marynarze zabrali się już ostro do dzieła, toteż zszedł na dół i obejrzał ładnie urządzone kajuty oficerów: dwie pojedyncze, przypuszczalnie kapitana i zastępcy, i jedną dwuosobową, dla bosmana i kucharza lub cieśli. Odszukał magazyn rufowy, rozpoznając go po zgromadzonych tam przeróżnych zapasach; drzwi kołysały się w zawiasach, a w zamku dyndał pęk kluczy. Stojąc w obliczu utraty wszystkiego, co posiadał, kapitan francuski, zabrawszy skrzynkę z winem, nie zadał sobie nawet trudu, aby zamknąć drzwi. Uczynił to Hornblower i włożył klucze do kieszeni. Nagle poczuł się osamotniony — po raz pierwszy doznał uczucia samotności człowieka dowodzącego okrętem na morzu. Wrócił na pokład, a Matthews, ujrzawszy go, podbiegł i zasalutował:

— Bardzo przepraszam, sir, ale musimy użyć talii, żeby podciągnąć tę reję.

— Doskonale.

— Mamy za mało ludzi, sir. Czy mogę zagonić do roboty paru Francuzików?

— Jeżeli uważacie, że się wam to uda... I naturalnie, jeśli znajdzie się jakiś dostatecznie trzeźwy.

— Chyba dam rady ich zagnać, sir. Trzeźwych czy pijanych.

— Doskonale.

W tym momencie Hornblower przypomniał sobie, że zapłon jego pistoletu jest prawdopodobnie zawilgocony i nie miał dla siebie słów potępienia za to, że poległ na broni bez sprawdzenia jej po ewolucjach, jakie wyczyniał w łódce. Matthews odszedł na dziób, a on zbiegł spiesznie na dół. Pamiętał, że w kabinie kapitana widział pudełko z pistoletami oraz prochownicę i worek naboju zawieszony w pobliżu. Załadował obydwie, zasypał świeżym prochem swój własny i wrócił na pokład z trzema pistoletami u pasa w chwili, gdy jego ludzie wyprowadzali z kubryka szóstkę Francuzów. Stał na rufówce na rozkraczonych nogach w obmyślonej pozie, z rękami splecionymi z tyłu, starając się nadać sobie wygląd człowieka absolutnie nieporuszonego i doskonale zorientowanego. Za pomocą talii pokonano ciężar rei i żagla i po godzinie wyteżonej pracy reja znów była na miejscu, a żagle postawione jak należy.

Kiedy praca zbliżała się ku końcowi, Hornblower pomyślał, że za parę minut będzie musiał wyznaczyć kurs, pośpieszył więc na dół po mapę, cyrkle i liniał. Z kieszeni wyjął zmięty kawałek papieru z danymi o pozycji brygu — tek niedbale wetknął go tam, gdy musiał dostać się z „Indefatigable” na łódź. Głupio mu się zrobiło na wspomnienie, z jakim brakiem szacunku potraktował wówczas ten skrawek papieru; zaczynał pojmować, że życie w marynarce wojennej, pozornie złożone z pojedynczych sytuacji krytycznych, było faktycznie jedną nieustanną sytuacją krytyczną, że jeszcze nie wydostawszy się z jednej kabały już trzeba myśleć, jak sobie radzić z następną. Pochylił się nad mapą, określił pozycję swego statku i wyznaczył kurs. Poczł się nieswojo na myśl, że to, co dotąd było szkolnym ćwiczeniem pod dodającym otuchy nadzorem pana Soamesa, obecnie stanowiło coś, od czego zależało jego życie i reputacja. Sprawdził obliczenia, powziął decyzję, ustalił kurs i by nie zapomnieć, zanotował go na skrawku papieru.

Tak więc gdy reja fokmasztu została zawieszona, a jeńcy z powrotem zapędzeni do kubryka i Matthews podniósł na niego wzrok czekając na dalsze rozkazy, on był już do tego przygotowany.

— Przebrasujemy reje — oznajmił. — Matthews, poślijcie kogoś do steru.

Sam pomagał przy brasach; wiatr uspokoił się trochę, i Hornblower uznał, że jego załoga da sobie radę z brygiem pod obecną liczbą żagli.

— Jaki kurs, sir? — zapytał marynarz przy kole sterowym, a Hornblower wsadził rękę do kieszeni po notatkę.

— Północno-wschodni ku północy — odczytał.

— Jest północno-wschodni ku północy, sir — powtórzył sternik i „Marie Galante” pod pełnym wiatrem wzięła kurs na Anglię.

Noc już zamykała się nad nimi i na całym widnokręgu nie było widać ani jednego okrętu.

Wiedział, że tuż za horyzontem jest ich mnóstwo, lecz nie złagodziło to uczucia samotności, opanowującego go w miarę jak się ściemniało. Tyle było do zrobienia, o tylu rzeczach trzeba było pamiętać, a cała odpowiedzialność spoczywała na jego nienawykłych barkach. Należało zabarykadować jeńców pod bakiem i wyznaczyć wachtę — załatwić nawet taki drobiazg jak znalezienie hubki i krzesiwa dla zapalenia lampy oświetlającej kompasu. Postawić marynarza na dziobie, jako obserwatora, który by miał również oko na jeńców; drugiego na rufie, przy kole sterowym. Dwóch pozostałych wysłać na dół, żeby się trochę przespali — bo do stawiania żagli będą wszyscy potrzebni — zjeść naprędce posiłek złożony z wody z beczki i suchara z zapasów znalezionych w magazynie, a do tego bez przerwy obserwować pogodę. W ciemnościach Hornblower przemierzał wolnym krokiem pokład.

— Czemu się pan nie zdrzemnie, sir? — spytał marynarz u steru.

— Później, Hunter — odrzekł Hornblower, starając się nie dać poznać z tonu głosu, że nigdy jeszcze nie był w takiej sytuacji.

Wiedział, że to rozsądna rada i nawet spróbował ją zrealizować. Zszedł na dół z zamiarem przespania się na koi kapitańskiej, nie mógł jednak zasnąć. Gdy usłyszał, że marynarz stojący na oku przez zejściówkę wywołuje na zmianę wachtę dwóch innych, co spali w sąsiedniej kajucie, nie mógł się powstrzymać, by nie pójść na pokład i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Wiedział, że może być spokojny, gdy jest tam Matthews, zmusił się więc do powrotu na dół, ale gdy tylko wrócił na koję, nagła myśl sprawiła, że porwał się na nogi, skóra ścierpła mu ze strachu, a w jego duszy głęboka pogarda dla siebie walczyła o pierwszeństwo z niepokojem. Wypadł na pokład i pobiegł na dziób, gdzie Matthews siedział w kucki przy jarzmie bukszprytu.

— Nic nie zrobiliśmy, aby sprawdzić, czy bryg nie nabiera wody — powiedział. Idąc tutaj spieszenie układał sobie w myśli to zdanie, tak aby nie obciążyć Matthews'a żadnym zarzutem, a jednocześnie — ze względu na dyscyplinę — nie przypisać winy sobie.

— To prawda, sir — odrzekł Matthews.

— Dostał w kadłub jednym z pocisków z „Indefatigable” — ciągnął Hornblower. — Jakie szkody zostały wyrządzone?

— Nie bardzo wiem, sir — tłumaczył się Matthews — byłem w tym czasie w łodzi.

— Musimy sprawdzić, jak tylko się rozwidni — zdecydował Hornblower. — A teraz przeprowadzimy sondowanie.

To były słowa nieco ryzykowne; w czasie przyspieszonego kursu wiedzy okrętowej na „Indefatigable” Hornblower miał wszędzie po trochu praktyki, pracując kolejno pod rozkazami wszystkich szefów sekcji. Kiedyś przyglądał się, jak cieśla sondował studzienkę — czy znajdzie ją na tym statku, nie miał pojęcia.

— Tak jest, sir — odparł Matthews bez wahania i poszedł na rufę do pompy. — Będzie panu potrzebne światło, sir. Zaraz przyniosę.

Wróciwszy z latarnią skierował jej światło na zwiniętą linkę do sondowania zawieszoną obok pompy, tak że Hornblower od razu ją zauważył. Zdjął ją, wsunął pręt długości trzech stóp z obciążnikiem do otworu studzienki, a potem w ostatniej chwili przypomniał sobie, żeby go wyjąć i sprawdzić, czy suchy. Opuszczał pręt popuszczając linkę, aż wyczuł, że pręt stuknął o dno statku, wydając odpowiedni odgłos. Podciągnął linkę i Matthews świecił mu latarnią, gdy drżącymi rękami wyciągał drewniany pręt, by go obejrzeć.

— Ani kropli, sir — wykrzyknął Matthews — zupełnie suchutki!

Hornblower był przyjemnie zaskoczony. Nie słyszał dotąd o okręcie, który by choć trochę nie przeciekał; nawet na dobrze utrzymanej „Indefatigable” trzeba było co dzień wypompowywać wodę. Nie wiedział, czy ten brak wilgoci to tylko ważne, czy bardzo ważne zjawisko. Chciał zareagować na to w sposób nieobowiązujący i spokojny.

— Hmm — mruknął. — Bardzo dobrze, Matthews. Zwińcie z powrotem linkę.

Stwierdziwszy, że „Marie Galante” nie nabiera wody, mógłby pójść spać, gdyby nie to, że gdy tylko zszedł na dół, wiatr zaczął zmieniać kierunek i nasilać się. Z tą niepożądaną wiadomością przyszedł Matthews, zastukawszy do drzwi kajuty.

— Nie będzie można trzymać długo kursu — wyznaczonego przez pana, sir — stwierdził Matthews. — A wiatr robi się porywisty.

— Doskonale. Zaraz tam będę. Zwołajcie całą załogę — polecił Hornblower z rozdrażnieniem, które mogło być skutkiem nagłego przebudzenia, gdyby nie to, że faktycznie taił się pod nim niepokój.

Z tak nieliczną załogą nie mógł wystawiać się na najmniejsze ryzyko zaskoczenia przez zmianę pogody. Jak szybko się przekonał, niczego nie można było robić w pośpiechu. Musiał przejąć ster na czas, gdy jego czterej ludzie refowali z wysiłkiem marsie, przygotowując bryg na złą pogodę; zajęło im to pół nocy, a gdy skończyli, okazało się, że przy wietrze skręcającym z zachodu na północ „Marie Galante” nie może już dłużej płynąć wyznaczonym kursem północno-wschodnim ku północy. Hornblower oddał ster i zszedł do kajuty spojrzeć na mapę, a to, co zobaczył, potwierdziło pesymistyczne przewidywania. Idąc najostrejszym nawet bejdewindem na tym halsie, nie uda im się minąć Ushant[4]. Z tak nieliczną załogą bał się płynąć dalej tym kursem, nawet jeśli mógłby liczyć na zmianę kierunku wiatru, a wszystkie wiadomości przeczytane i zasłyszane mówiły o niebezpieczeństwie brzegu zawietrznego. Nie było innego wyjścia, jak tylko zrobić zwrot przez sztag. Wracał na pokład z ciężkim sercem.

— Cała załoga do zwrotu — rozkazał, starając się wykrzyczeć rozkaz na modłę pana Boltona, trzeciego oficera na „Indefatigable”.

Udało im się wykonać zwrot pomyślnie i bryg ruszył nowym kursem, idąc prawym halsiem ostro na wiatr. Oddalał się teraz z całą pewnością od niebezpiecznych brzegów Francji, ale jednocześnie odwracał się od przyjaznych wybrzeży Anglii — trzeba się było pożegnać z nadzieją na szybki powrót do kraju, w ciągu dwóch dni, a Hornblower musiał przygotować się na bezsenną noc.

Przez rok poprzedzający wstąpienie do marynarki wojennej Hornblower uczył się francuskiego, muzyki i tańca u zrujnowanego emigranta francuskiego. Biedak ten rychło się zorientował, że Hornblower nie ma absolutnie słuchu muzycznego i że z tego powodu trudno byłoby nauczyć go tańczyć, więc żeby nie brać pieniędzy za darmo, cały wysiłek poświęcił uczeniu go języka. Dzięki dobrej pamięci Hornblower wiele skorzystał z tych lekcji. Nie przypuszczał, że mu się to na coś przyda, lecz zmienił zdanie, gdy o świcie kapitan francuski zażądał z nim rozmowy. Francuz znał nieco angielski, lecz Hornblower stwierdził z przyjemnością, że gdy tylko zwalczył w sobie nieśmiałość, znacznie łatwiej było im porozumiewać się po francusku.

Spragniony kapitan pił chciwie z beczki przy luku; policzki miał nie ogolone i wyglądał na znużonego po dwunastu godzinach spędzonych w zatłoczonym pomieszczeniu pod bakiem, dokąd wepchnięto go prawie zupełnie pijanego.

— Moi ludzie są głodni — powiedział kapitan; sam nie wyglądał na głodnego.

— Moi też — odparł Hornblower. — I ja także.

Mówiąc po francusku zaczął mimo woli gestykulować.

— Mam kucharza — oznajmił kapitan.

Ustalenie warunków zawieszenia broni zajęło trochę czasu. Francuzi zostaną wypuszczeni na pokład, kucharz przygotowuje jedzenie dla wszystkich na okręcie, a Francuzi w tym czasie, to jest aż do południa, nie podejmą żadnej próby opanowania brygu.

— Dobrze — zgodził się w końcu kapitan, a gdy Hornblower wydał niezbędne rozkazy zezwalające na wypuszczenie jeńców, Francuz przywołał kucharza i wdał się w gorącą dyskusję na temat obiadu. Rychło też dym pojawił się nad kominem kambuza.

Kapitan popatrzył na szare niebo, na ciasno zrefowane marsie i spojrział przez lunetę kompasu.

— Niepomyślny wiatr na podróż do Anglii — zauważył.

— Tak — odparł krótko Hornblower. Nie chciał, żeby Francuz zauważył gorycz i drżenie w jego głosie.

Kapitan zaczął uważnie wyczuwać ruch brygu pod stopami.

— Coś ciężko idzie, nie uważa pan? — powiedział.

— Być może — odparł Hornblower. Nie znał „Marie Galante”, nie był w ogóle obeznany ze statkami i nie miał swego zdania na ten temat, ale nie chciał się z tym zdradzić.

— Czy przecieka? — spytał kapitan.

— Na dnie nie ma ani śladu wody — odpowiedział Hornblower.

— No tak — zauważył kapitan. — Nie znajdzie pan jej w studni śródokręcia. Musi pan pamiętać, że wieziemy ryż.

— Tak — skwitował Hornblower jego słowa.

Było mu bardzo trudno zachować pozory spokoju w tym momencie, gdy umysł jego analizował usłyszane słowa. Ryż wchłania każdą kroplę wody, tak więc nie znajdzie się wody przy sondowaniu studni, ale każda wchłonięta kropla będzie pogarszać pływalność statku.

— Któryś z pocisków waszej przeklętej fregaty trafił nas w kadłub — ciągnął kapitan. — Pan oczywiście zbadał uszkodzenie?

— Naturalnie — skłamał odważnie Hornblower.

Ale gdy w chwilę potem zaczął mówić ó tym półgłosem z Matthewsem, ten od razu spowaźniał.

— Gdzie trafił pocisk, sir? — zapytał.

— Mam wrażenie, że gdzieś z dziobu, w lewą burtę.

Obaj przewiesili głowy przez burtę.

— Nic nie widać, sir — oznajmił Matthews. — Sir, niech mnie opuszczą na linie za burtę, a spróbuję się rozejrzeć — zaproponował.

Hornblower już miał się zgodzić, ale zmienił zdanie.

— Ja sam to zrobię — powiedział.

Nie umiałby wyjaśnić, co mu kazało wyrzec te słowa. Po części uczynił to dlatego, że chciał zobaczyć własnymi oczyma, jak sprawy stoją, a częściowo kierowała nim zasada, żeby nie wydawać nigdy rozkazu, którego sam nie byłby gotów wykonać, lecz najważniejszą przyczyną było pragnienie ukarania siebie za niedopatrzenie.

Matthews i Carson obwiązali go cumą i spuścili w dół. Dyndał przy burcie, mając tuż pod sobą kipiące morze. Gdy okręt nurzał się dziobem, woda dosięgała go i już po paru sekundach był mokry do pasa; kołysanie boczne to odrzucało go od burty, to ciskało na nią. Marynarze trzymający linę posuwali się wolno ku rufie, tak aby mógł zbadać całą nadwodną część burty, ale nie zobaczył tam żadnej dziury po pocisku. Tyle powiedział Matthewsowi, gdy wciągnięto go na pokład.

— A więc jest pod linią wodną, sir — wyrzekł Matthews na głos to, o czym myślał Hornblower. — Czy pan jest t pewny, że strzał był celny?

— Tak, jestem pewny — mruknął Hornblower.

Bezsensowność, troska i poczucie winy sprawiły, że ogarnęło go zdenerwowanie, był bliski płaczu. Ale już wiedział, co robić dalej — powziął decyzję w czasie, gdy go wciągali na pokład.

— Położymy go w dryf na przeciwnym halsie i spróbujemy jeszcze raz — powiedział.

Po zmianie halsu okręt przechyli się na przeciwległą burtę i jeśli jest tam w ogóle jakaś dziura od pocisku, znajdzie się ona nieco wyżej. W ociekającym ubraniu Hornblower czekał, aż bryg dokonał zwrotu przez rufę. Wiał przeszywający zimny wiatr, lecz on drżał bardziej z niepewności niż z zimna. Opuszczali go do momentu, gdy przechył brygu przybliżył go znacznie do burty i nogi jego otarły się o porosty morskie pokrywające pas wodnicy. Wtedy zaczęli posuwać się z liną ku rufie, ciągnąc go wzdłuż burty. Wreszcie tuż za fokmasztem znalazł to, czego szukał.

— Przestać ciągnąć! — krzyknął w stronę pokładu, opanowując ogarniające go uczucie rozpacz. Ruch liny wzdłuż burty ustał. — Opuszczać! Jeszcze dwie stopy!

Woda sięgała mu teraz do pasa, a gdy bryg zakołysał się, na moment zamknęła się nad jego głową, jak przelotne dotknięcie śmierci. Była tam, dwie stopy pod linią wody nawet przy brygu dryfującym na tym halsie — dziura szeroka na stopę, o kształcie bardziej zbliżonym do kwadratu niż koła i nierównych, wyszczerbionych brzegach. Wokół kipiało morze i Hornblowerowi wydało się, że słyszy, jak woda z bulgotem wlewa się do wnętrza statku, ale mogło to być złudzenie.

Zawołał, żeby go wciągnęli na pokład, gdzie czekali niecierpliwie, co im powie.

— Dwie stopy pod linią wody, sir? — powtórzył jego słowa Matthews. — Kiedyśmy podeszli do niego, szedł bejdewindem i był przechylony na bok, to jasne. Ale w momencie gdyśmy oddawali strzał, dziób musiał podjechać w górę. Teraz oczywiście siedzi głębiej w wodzie.

To był właśnie problem. Co by teraz nie zrobili, jak mocno go nie przechylali na bok, dziura będzie wciąż pod wodą, a na przeciwnym halsie znajdzie się jeszcze głębiej i nacisk wody wzrośnie. Na razie obecny kurs wiódł ich ku Francji. Im więcej będą nabierali wody, tym bardziej bryg się będzie zagłębiał i tym większa będzie siła wtlaczająca wodę przez otwór. Muszą coś zrobić, żeby powstrzymać przeciek i Hornblower z lektury podręczników żeglarstwa wiedział, jak się do tego zabrać.

— Musimy zrobić plaster z żagla i zakryć nim dziurę — oznajmił. — Zawołajcie tu tych Francuzów.

Aby otrzymać plaster z żagla, należało go przerobić na coś w rodzaju ogromnej włochatej wycieraczki, przewlekając przez niego mnóstwo kawałków na pół rozplecionej liny. Następnie trzeba go było przesunąć pod dnem okrętu i nałożyć na dziurę. Nacisk wody przycisnie wówczas włochaty materiał do otworu tak szczelnie, że w najgorszym razie wdzieranie się wody będzie znacznie utrudnione.

Francuzi nie byli skorzy do pomocy. To już nie był ich okręt, wiózł ich do Anglii, gdzie zostaną zamknięci w więzieniu. Nawet groźba zawisała nad życiem nie zdołała ich wyrwać z apatii. Wyszukanie nie zniszczonego bramsła zajęło sporo czasu. Hornblower uznał, że im żagiel będzie grubszy, tym lepiej — wyznaczenie ludzi do cięcia liny na kawałki, rozkręcanie ich i przewlekanie zajęło sporo czasu. Francuski kapitan popatrzył na swoich ludzi, którzy siedząc w kucki pracowali na pokładzie.

— W czasie ostatniej wojny spędziłem pięć lat w Portsmouth w hulku zamienionym na więzienie — odezwał się. — Pięć lat.

— Tak — mruknął Hornblower.

Może okazałby mu współczucie, ale był zbyt zajęty swoimi sprawami i zdrętwiały z zimna. Postanowił zrobić wszystko, co w jego mocy, by dowieźć kapitana francuskiego do więzienia w Anglii. A tymczasem zamierzał zejść na dół i wziąć coś z jego ubrania.

Znalazszy się pod pokładem, Hornblower odniósł wrażenie, że dolatujące go zewsząd odgłosy — skrzypienie i stękanie drewnianego okrętu na morzu — są wyraźniejsze niż zazwyczaj. Bryg żeglował lekko, a mimo to grodzie na dole trzeszczały, jakby sztorm rozrywał go na kawałki. Otrząsnął się z tego wrażenia, uznawszy je za wyraz swej nadmiernie pobudzonej wyobraźni, lecz kiedy rozgrzał się trochę, natarłszy ciało ręcznikiem, i włożył na siebie najlepszy mundur Francuza, znowu wydało mu się, że bryg stęka jakby pod wielkim naporem.

Wrócił na pokład sprawdzić, jak posuwa się praca. Nie upłynęło dwie minuty, gdy jeden z Francuzów, sięgając za siebie po kawałek liny, zamarł i wlepił wzrok w pokład. Postukał w spoinę, podniósł wzrok w górę, napotkał spojrzenie Hornblowera i krzyknął coś do niego. Hornblower nie musiał udawać, że rozumie jego słowa; gesty wyjaśniły wszystko. Z pękającej wolno spoiny zaczęła wypływać smoła. Hornblower patrzył, nie zdając sobie sprawy z tego, co widzi — pękła tylko jedna spoina lub dwie, a reszta pokładu, wyglądało, trzyma się mocno. Ale nie! Teraz, gdy patrzył uważniej, zobaczył inne miejsca w pokładzie, gdzie nad spoinami ukazały się wyrzuszenia ze smoły. Było to coś, co przekraczało skromny zakres jego doświadczenia. O czym nawet nigdy nie czytał. Kapitan francuski stał przy nim, również wpatrując się w pokład.

— O Boże! — zawołał — Ryż! Ryż!

Hornblower nie zrozumiał francuskiego wyrazu „riz”, kapitan więc tupnął w pokład i wskazał palcem w dół.

— Ładunek! — wyjaśnił. — On... on puchnie.

Matthews, który podszedł właśnie do nich, zrozumiał od razu, nie znając słowa po francusku.

— Czy ktoś tu mówił, że bryg jest pełen ryżu? — spytał.

— Tak.

— No to jasne. Woda przedostała się do niego i napęczniał.

Tak sprawa wyglądała. Nasiąkły wodą ryż zwiększa objętość, która rośnie dwu- albo i trzykrotnie. Ładunek pęczniał i rozsadzał spoiny statku. Hornblower przypomniał sobie nienormalne skrzypienia i stękania słyszane pod pokładem. Był zrozpaczony. Daremnie patrzył na nieprzyjazne morze wokół nich, szukając w nim natchnienia i otuchy. Minęło kilka sekund, zanim był zdolny przemówić i zachować się z godnością przystała oficerowi marynarki wojennej w obliczu trudnej sytuacji.

— A więc im szybciej zatkamy dziurę żaglem, tym lepiej — rzekł. Trudno było oczekiwać, że głos jego zabrzmiał całkiem naturalnie. — Pogońcie tych Francuzów.

Odwrócił się, by chodząc po pokładzie uspokoić nerwy i uporządkować zmacony tok myśli, ale kapitan francuski już był przy nim i zaczął krakać jak złowieszczy kruk.

— Mówiłem, że statek idzie ciężko — rzekł. — Już jest głębiej w wodzie.

— Wynoś się do diabła! — krzyknął Hornblower po angielsku, nie znajdując francuskiego odpowiednika.

Nagle poczuł ostry wstrząs, jakby ktoś uderzył młotem w pokład pod jego stopami. Statek rozpadał się powoli.

— Szybciej z tym żaglem! — zawołał ku ludziom zajętym przygotowywaniem plastra i poczuł złość na siebie za to, że ton jego głosu musiał zdradzić wzburzenie.

W końcu kawał plastra z żagla o powierzchni pięciu stóp kwadratowych był gotów, linki przewleczone przez pętle, marynarze pobiegli na dziób, żeby plaster podsunąć pod bryg i przeciągnąć go w stronę rufy na dziurę. Hornblower zaczął ściągać z siebie ubranie nie przez pietyzm wobec własności kapitana, lecz by nie zamokło.

— Opuszczę się i dopilnuję, żeby znalazł się na właściwym miejscu — powiedział. — Matthews, przygotujcie dla mnie cumę.

Nagi i mokry, miał wrażenie, że wiatr przeszywa go na wskroś; ocierał się o burtę przy przechyłach okrętu, a fale przepływające pod brygiem waliły w niego bez litości. Dopilnował jednak, żeby plaster przykrył dziurę, i z wielką satysfakcją patrzył, jak włochata powierzchnia wsysana do wewnątrz marszczy się wokół otworu i wchodzi w niego głęboko, tak że mógł mieć pewność, iż dziura została porządnie zatkana. Krzyknął, żeby go wciągnęli, i uczynili to, a potem czekali na dalsze rozkazy, a on stał nagi, otępiały z zimna, zmęczenia i niewyspania, zastanawiając się, co dalej.

— Ster w lewo — powiedział w końcu.

Jeśli bryg ma zatonać, to właściwie wszystko jedno, czy stanie się to sto czy dwieście mil od wybrzeża Francji. Na wypadek jednak gdyby zdołał utrzymać statek na powierzchni, chciał obejść z dala brzeg zawietrzny, żeby zapobiec ewentualnemu atakowi Francuzów. Dziura po pocisku zatkana plastrem z żagla znajdzie się teraz głębiej w wodzie, co zwiększało ryzyko, ale nie było innego wyjścia. Kapitan francuski, zobaczywszy przygotowania do zmiany kursu, zarzucił Hornblowera potokiem słów protestu. Przy tym wietrze na poprzednim halsie mogli łatwo dopłynąć do Bordeaux. Krzyczał, że Hornblower wystawia życie wszystkich na niebezpieczeństwo. W otępiałym mózgu Hornblowera znalazł się niespodziewanie francuski zwrot, którego chciał użyć przedtem. Mógł to uczynić teraz.

— Allez au diable — warknął, naciągając przez głowę grubą wełnianą koszulę Francuza.

Gdy wytknął z niej głowę, Francuz jeszcze wykrzykiwał swój protest, i to tak gwałtownie, że w umyśle Hornblowera zrodziło się podejrzenie. Posłał Matthews, by sprawdził, czy jeńcy nie mają broni. Nie znaleziono niczego poza kordami marynarskimi, lecz na wszelki wypadek Hornblower skonfiskował wszystkie, a ubrawszy się obejrzał uważnie swoje trzy pistolety, wyciągnął z nich stare naboje i załadował świeże. Z tymi trzema pistoletami zatkniętymi po piracku za pas przypominał chłopca bawiącego się w bitwę na morzu, lecz czuł, że może nadejść czas, gdy Francuzi spróbują się zbuntować i trzech pistoletów nie będzie za wiele przeciwko dwunastu zdesperowanym mężczyznom, mającym w zasięgu ręki prowizoryczną broń w postaci nagli.

Matthews czekał na niego z wydłużoną twarzą.

— Sir — przemówił — ja bardzo przepraszam, ale mnie się nie podoba jego wygląd. Uczciwie mówię, nie podoba mi się. Nie podoba mi się, jak on reaguje na ster. Ten bryg zanurza się coraz głębiej i pęka, to pewne. Przepraszam sir, że to mówię.

Na dole konstrukcja okrętu trzeszczała i jęczała żałośnie; tu, na pokładzie, spoiny otwierały się coraz szerzej. Rzecz bardzo prawdopodobna, że napęczniały ryż rozsadał poszycie okrętu pod linią wody, tak że zatkanie dziury po pocisku mogło wyeliminować tylko jeden z mniejszych teraz przecieków. Woda wlewa się pewnie dalej, ładunek pęcznieje coraz bardziej i statek otwiera się jak przekwitający kwiat. Okręty budowano tak, aby wytrzymały ciosy z zewnątrz, lecz ich konstrukcja nie była przygotowana na naciski od wewnątrz. Szwy będą się rozstępowały coraz bardziej i coraz szybciej woda będzie się wdzierać do ładunku.

— Proszę spojrzeć, sir! — zawołał nagle Matthews.

W jasnym świetle dnia małe szare stworzonko biegło po ścieku burty nawietrznej, za nim następne, potem jeszcze jedno. Szczury! Pod pokładami musiało dziać się coś nienormalnego, aby je wygnać na pokład w biały dzień, z wygodnych gniazd, spośród nieograniczonych zapasów jedzenia, jakich im dostarczał ładunek. Nacisk musiał być straszliwy. Hornblower poczuł lekki wstrząs; coś pękało mu pod stopami. Ale miał jeszcze jedną kartę do rzucenia, jeszcze jedną linię obrony.

— Wyrzucę ładunek za burtę — oznajmił. Nigdy dotąd nie przeprowadzał tego zabiegu, lecz czytał o nim w podręcznikach żeglarstwa. — Sprowadźcie jeńców i do dzieła.

Szczelne przykrycie luku silnie wybrzuszyło się w kształt kopuły; po wybiciu klinów jedna deska pokrywy oderwała się z trzaskiem i odchyliła w górę, a gdy podniesiono pokrywę, wysunął się za nią jakiś brązowy kształt — był to worek ryżu wypchnięty z otworu łukowego przez nacisk od wewnątrz.

— Założyć na niego liny i wyciągnąć — komenderował Hornblower.

Z luku wydobywano worek ryżu za workiem; czasem worki pękały i ryż strumieniem sypał się na pokład, ale nikt na to nie zwracał uwagi. Druga grupa ludzi przesuwiała ryż luzem i w workach w stronę burty zawietrznej i wrzucała do nienasyconego morza. Wkrótce praca stała się trudniejsza,

gdyż ładunek tak był ściśnięty w ładowni, że wydobywanie poszczególnych worków wymagało ogromnego wysiłku. Trzeba było posłać dwóch ludzi na dół do łuku, żeby odrywali worki i zakładali na nie stropy. Dwaj Francuzi, na których wskazał Hornblower, zawahali się — ktoś wiedział, czy wszystkie worki są zbite w ciasną masę, a ładownia kołysanego poprzecznie statku była niebezpiecznym miejscem, byle przechył mógł pogrzebać ich żywcem — lecz Hornblowera nie obchodziło w tej chwili zupełnie, że ktoś może się bać. Spojrzał groźnie na zwlekających, spieszenie więc opuścili się na dół. Ta wyczerpująca praca trwała wiele godzin, ludzie ciągnący liny ociekali potem i padali na nos ze zmęczenia, lecz od czasu do czasu musieli zmieniać tych w łuku, gdyż warstwy worków, poddane ogromnemu naciskowi, zbiły się w jedną całość, i gdy wybrano już te, które znajdowały się bezpośrednio pod otworem łukowym, następne trzeba było wrywać z poszczególnych warstw. Kiedy wydobyto już część ładunku leżącą blisko wjazdu i zaczęto sięgać dalej w głąb łuku, odkryto to, co było do przewidzenia: w przemokłych dolnych warstwach ryż napęczniał i worki popękały. Dolną połowę łuku zalegała zbita warstwa mokrego ryżu, który można było wydobywać tylko przy pomocy szufli i wiader. Nietknięte jeszcze worki z części warstw górnych, położonych dalej od otworu łukowego, pozlepiały się ze sobą i trzeba było znacznego wysiłku, aby je odrywać i wlec pod otwór, skąd wyciągano je na pokład.

Hornblower medytował nad tą sprawą, gdy poczuł czyjeś dotknięcie. To Matthews miał mu coś do zakomunikowania.

— Nie da rady, sir — oznajmił. — Zanurza się w wodę coraz głębiej i niedługo zatonie.

Hornblower podszedł z nim do burty i wyjrzał na zewnątrz. Nie było co do tego wątpliwości. Sam był za burtą i pamiętał wysokość, na jakiej znajdowała się linia wodna, a ponadto mógł się kierować położeniem plastra z żagla, przeciągniętego pod dnem brygu. Okręt siedział o całe sześć cali głębiej w wodzie — i to po wydobyciu z łuku i wyrzuceniu w morze co najmniej pięćdziesięciu ton ryżu. Musi przeciekać jak sito, a suchy ryż wchłania od razu wodę wlewającą się przez pękające poszycie.

Hornblower poczuł ból w lewej dłoni. Opuścił wzrok i spostrzegł, że nieświadomie ściska kurczowo poręcz. Rozluźnił chwyt i popatrzył dookoła, na południowe słońce i rozhuśtane morze. Nie chciał kapitulować i przyznawać się do klęski. Podszedł do niego kapitan francuski.

— Sir — przemówił. — To szaleństwo. Moi ludzie upadają ze zmęczenia.

Hornblower widział, jak przy łuku Hunter z furią zagania marynarzy francuskich do roboty, wygrażając im wężlastym końcem liny. Niewiele jednak można było już wydusić z Francuzów, a w tej chwili „Marie Galante” dźwignęła się ciężko na fali i przewaliła na drugą burtę. Nawet swym niedoświadczonym okiem dostrzegał powolność i złowieszczą martwość jej ruchów. Bryg nie utrzyma się długo na powierzchni wody, a tyle było do zrobienia.

— Matthews — rzekł — postanowiłem wszcząć przygotowania do opuszczenia okrętu.

Mówił to z podniesioną głową; nie mógł dopuścić, aby któryś z Francuzów czy marynarzy zauważył jego rozpacz.

— Tak jest, sir — odpowiedział Matthews.

„Marie Galante” miała łódź zamocowaną za grotmasztem; na polecenie Matthews’a ludzie przerwali pracę w ładowni i zaczęli ładować do łodzi wodę i żywność.

— Bardzo przepraszam, sir — odezwał się Hunter stojący obok Hornblowera. — Ale powinien pan się zaopatrzyć w ciepłą odzież. Kiedyś spędziłem dziesięć dni na morzu w otwartej łodzi, sir.

— Dziękuję wam, Hunter — odparł Hornblower.

Trzeba było pomyśleć o wielu rzeczach. Przynrządy Nawigacyjne, mapy, kompas — czy potrafi robić prawidłowe pomiary swoim sekstantem w małej rozchybotanej łódce? Przeworność nakazywała zabrać tyle wody i żywności, ile się da, ale Hornblower patrzył z wahaniem na sfatygowaną łódź — siedemnastu ludzi obciąży ją do ostatnich granic. Będzie musiał w wielu sprawach zdać się na kapitana francuskiego i Matthews’a.

Ludzie ciągnąc za talie podnieśli łódź z legarów i opuścili na spokojniejszy skrawek wody po zawietrznej rufy. „Marie Galante” zanurzyła się dziobem w fali i nie chciała się podnieść; przez prawą część dziobową wlała się szmaragdowa woda i popłynęła pokładem ku rufie, aż silny przechył brygu skierował ją do otworów odpływowych. Czasu zostało już niewiele — sądząc po trzasku pod pokładem ładunek pęczniał dalej i napierał na grodzie. Ogarnięci paniką Francuzi zaczęli z krzykiem tłoczyć się do łodzi. Kapitan francuski spojrzał na Hornblowera i ruszył za nimi; dwaj marynarze brytyjscy przeskoczyli już przez burtę i odpychali łódź.

— Ruszajcie — rzekł Hornblower do Matthews’a i Carsona, którzy się jeszcze ociągali. On był dowódcą i on powinien opuścić statek ostatni.

Bryg był już tak głęboko w wodzie, że Hornblower bez trudu wszedł do łodzi wprost z pokładu; marynarze brytyjscy siedzący na ławce rufowej zrobili mu miejsce.

— Matthews, do rumpla — rozkazał Hornblower; czuł, że sam nie potrafiłby sterować przeładowaną łodzią. — Odbijać!

Łódź odsunęła się od brygu; „Marie Galante”, ze sterem zamocowanym linami, wykręciła się dziobem na wiatr i tak już została, a potem przechyliła się nagle, aż otwory odpływowe w prawej burcie znalazły się prawie pod wodą. Następna fala przewaliła się przez pokład i wdarła do otwartego luku. Bryg wyprostował się, z pokładem prawie w poziomie morza, i zatonął na równej stępce. Woda zamknęła się nad nim, maszty zniknęły powoli. Przez moment żagle majaczyły pod zieloną wodą.

— Poszedł — odezwał się Matthews.

Hornblower patrzył, jak tonie pierwsza dowodzona przez niego jednostka. Powierzono mu „Marie Galante”, by ją doprowadził do portu, a on zawiódł, zawiódł przy swoim pierwszym samodzielnym zadaniu. Utkwił wzrok w zachodzącym słońcu, miał nadzieję, że nikt nie zauważył łez w jego oczach.

Kara za błąd

Światło dnia wpełzając na rozkołysane wody Zatoki Biskajskiej ukazało małą łódź dryfującą po jej bezmiarze. Była pełna ludzi: na dziobie stłoczyła się francuska załoga zatoniętego brygu, na środkowej ławce siedział kapitan z zastępcą, a na ławce rufowej midszypmen Horatio Hornblower i czterej marynarze angielscy, którzy do niedawna stanowili załogę przyzową brygu. Hornblowera nękała choroba morska, gdyż jego delikatny żołądek, przywykły do statecznych ruchów „Indefatigable” buntował się przeciwko wyczynom łódeczki miotającej się na dryfkotwie. Po dwóch nie przespanych nocach odczuwał zimno, zmęczenie i mdłości — wymiotował gwałtownie przez całą noc i teraz, pogrążony w depresji wywołanej chorobą morską, rozmyślał ponuro o utracie „Marie Galante”. Gdybyż wcześniej pomyślał o tym, żeby zatkać tę dziurę po pocisku! Wszystkie usprawiedliwienia, jakie przychodziły mu do głowy, odrzucał jedno po drugim. Tyle było do zrobienia, a tak niewielu miał ludzi — pilnować załogi francuskiej, naprawić szkody na masztach, wytyczyć kurs. Gdy kazał sondować żęzy, zwiódł go fakt, że cała woda wsiąkała w ryż. To wszystko prawda, lecz prawdą było również to, że utracił swój statek, pierwszą jednostkę, której dowództwo mu powierzono. Sam nie znajdował dla siebie usprawiedliwienia za to fiasko.

O świcie Francuzi pobudzili się i zaczęli trajkotać jak sroki; obok niego Matthews i Carson próbowali rozruszać zeszywniałe członki.

— Śniadanie, sir? — zapytał Matthews.

To przypomniało Hornblowerowi zabawy samotnego małego chłopczyka, wsiadającego do pustego koryta świńskiego i udającego rozbitka na otwartej łodzi. Kawalek chleba czy coś innego do jedzenia, co udało mu się wycygnąć z kuchni, dzielił wtedy na tuzin racji, przeznaczając po jednej na cały dzień. Lecz wilczy apetyt chłopca skracał te dni do pięciu minut; stawał w korycie i z daszkiem z dłoni nad oczyma wypatrywał pomocy na widnokręgu, a gdy nie nadchodziła, siadał w swej „łodzi” stwierdzając, że ciężkie jest życie rozbitka, że minęła kolejna noc i czas już spożyć następną rację z malejącego szybko zapasu. I tu, pod okiem Hornblowera, kapitan francuski i jego zastępca dali wszystkim w łodzi po twardym sucharze i kolejno nabierali dla każdego kubek wody z beczek wsuniętych pod ławkę. Lecz mimo żywej wyobraźni siedząc w swoim korycie Hornblower nie przeczuwał dolegliwości choroby morskiej, chłodu i niewygód ani bólu, jaki jego kościste pośladki odczuwały teraz po długim siedzeniu na twardej desce ławki rufowej; w swej dziecięcej dufności nie mógł przewidzieć, jak bardzo może ciążyć odpowiedzialność spoczywająca na barkach liczącego sobie siedemnaście lat oficera marynarki wojennej.

Oderwał się od wspomnień z niedawnego dzieciństwa, by zastanowić się nad obecną sytuacją. Dla jego niedoświadczonego oka szare niebo nie zapowiadało pogorszenia się pogody. Poślinił palec i podniósł go w górę, spoglądając na kompas łodziowy, by ocenić kierunek wiatru.

— Skręca trochę na zachód, sir — powiedział Matthews, który zrobił to samo.

— No tak — zgodził się Hornblower, pospiesznie przebiegając w pamięci to, czego się uczył ostatnio o róży kompasowej. Wiedział, że aby opłynąć Ushant od nawietrznej, powinni iść kursem

północno-wschodnim ku północy i że płynąc bejdewindem łódź nie pójdzie ostrzej do wiatru niż osiem rumbów — na dryfkotwie stali przez całą noc, ponieważ wiatr wiał za bardzo z północy, aby można było skierować łódkę ku Anglii. Ale teraz wiatr wykręcił. Osiem rumbów od północno-wschodniego ku północy to byłby północno-zachodni ku zachodowi, a wiatr wieje jeszcze bardziej z zachodu. Posuwając się bejdewindem mógł minąć Ushant i nawet mieć jeszcze dostateczny zapas na nieprzewidziane wypadki, na to, żeby móc utrzymać statek z dala od brzegu zawietrzego, który — jak wiedział z książek i o czym mówił mu zdrowy rozsądek — był tak bardzo niebezpieczny.

— Matthews, stawiamy żagle — powiedział, wciąż trzymając w ręku suchar, przeciw któremu buntował się jego żołądek.

— Tak jest, sir.

Wystarczyło jedno zawołanie w stronę Francuzów stłoczonych na dziobie, by zwrócić ich uwagę; w warunkach, w jakich się znajdowali, nie potrzeba było w ogóle nieporadnej francuszczyzny Hornblowera, by ich zagonić do wykonywania tak oczywistego zadania jak wciąganie dryfkotwy. Ale w zatłoczonej łodzi, gdzie nie było ani kawałka wolnego miejsca, nie szło to wcale tak łatwo. Maszt został już ustawiony i żagiel lugrowy przygotowany do postawienia. Balansując niebezpiecznie dwaj Francuzi wybrali fał i żagiel wzniósł się na maszt.

— Hunter, wybrać szot — rozkazał Hornblower. — A wy, Matthews, weźcie się za rumpel. Trzymajcie statek ostro do wiatru na lewym halsie.

— Jest ostro do wiatru na lewym halsie, sir.

Ze swego miejsca na środku łodzi kapitan francuski przyglądał się tym poczynaniom z głębokim zainteresowaniem. Nie zrozumiał ostatniego, decydującego rozkazu, lecz szybko się domyślił jego treści, gdy łódź zawróciła i lewym halsiem ruszyła w stronę Anglii. Wstał i zaczął protestować z furją.

— Wiatr jest pomyślny dla podróży do Bordeaux — mówił gestykulując zaciśniętymi pięściami. — Moglibyśmy być tam jutro. Dlaczego kierujemy się na północ?

— Płyniemy do Anglii — odrzekł Hornblower.

— Ale... ale... to zajmie nam tydzień! Tydzień, przy sprzyjającym wietrze. Ta łódź... jest przepelniona. Nie przetrwamy w niej sztormu. To jest szaleństwo.

W momencie gdy kapitan się podniósł, Hornblower wiedział już, co on zamierza powiedzieć, ale nie zadał sobie trudu, by sobie tłumaczyć jego słowa. Był zbyt znużony i za bardzo znękany chorobą morską, aby wdawać się w spór w obcym języku. Zignorował kapitana. Za nic na świecie nie zawróciłby łodzi ku Francji. Jego morska kariera dopiero się zaczęła i nawet gdyby miała zostać zniweczona z powodu utraty „Marie Galante”, nie miał zamiaru gnić latami w więzieniu francuskim.

— Sir! — zawołał Francuz.

Jego zastępca, który siedział z nim razem na ławce, też protestował głośno, a teraz obróciwszy się do swoich ludzi, obaj wyjaśniali im sytuację. Francuzi poruszyli się gniewnie.

— Sir! — powtórzył kapitan. — Nalegam, aby pan zawrócił do Bordeaux.

Ruszył w stronę Hornblowera, jeden z idących za nim marynarzy francuskich chwycił za bosak, a to mogła być niebezpieczna broń. Hornblower wyrwał zza pasa pistolet i wycelował go w kapitana, który ujrawszy lufę o metr od swojej piersi cofnął się czym prędzej. Nie spuszczał z niego oka Hornblower ujął lewą ręką drugi pistolet.

— Weźcie to, Matthews — powiedział.

— Tak jest, sir — odparł posłusznie Matthews i dodał po pełnej poszanowania pauzie: — Bardzo przepraszani, sir, ale może by pan odwiódł kurek w swoim pistolecie?

— Tak — przyznał Hornblower, rozdrażniony swoim przeoczeniem.

Odciągnął kurek ze szczękiem i ten groźny dźwięk jeszcze wyraźniej dał odczuć francuskiemu kapitanowi, jakie niebezpieczeństwo stanowi nabity i odbezpieczony pistolet wycelowany w jego brzuch na tej kołyszącej się łupinie. Zamachał desperacko rękami.

— Sir — przemówił — proszę to skierować trochę w inną stronę.

Cofnął się jeszcze bardziej między stojących za nim ludzi.

— Hej, ty tam! Zostaw to! — zawołał głośno Matthews — któryś marynarz francuski próbował niepostrzeżenie odciąć fał.

— Matthews, strzelajcie do każdego, kto wyda się wam niebezpieczny — rozkazał Hornblower.

Tak bardzo chciał tym ludziom narzucić swoją wolę, tak desperacko pragnął zachować wolność, że twarz ściągnęła mu się w zwierzęcy grymas. Patrząc na niego nikt nie mógłby ani przez chwilę wątpić w jego determinację. Nie dopuści, by ktokolwiek przeszkodził mu w wykonaniu postanowienia. W pasie miał zatknięty trzeci pistolet i Francuzi mogli się spodziewać, że jeśli spróbują przeciwstawić się, zginie co najmniej jedna czwarta z nich, zanim wezmą górę nad Anglikami, a ich kapitan wiedział, że on zginie pierwszy. Wyrazistą gestykulacją rąk — nie mógł odwrócić oczu od pistoletu — nakazał ludziom zaprzestać oporu. Ucichli, a kapitan uderzył w żalosny ton.

— Pięć lat przesiedziałem w więzieniu angielskim podczas ostatniej wojny — mówił. — Zawrzyjmy umowę. Popłyniemy do Francji. Gdy dotrzemy do brzegu, gdzie tylko pan wybierze, sir, my wyjdziemy na ląd, a pan będzie mógł kontynuować podróż. Albo wszyscy zejdziemy na ląd i ja użyję wszystkich moich wpływów, żeby pana i pańskich ludzi odesłano do Anglii na statku wiozącym jeńców, bez wymiany czy okupu, przysięgam, że to uczynię.

— Nie — przerwał mu Hornblower.

Do Anglii znacznie łatwiej było dotrzeć stąd niż z francuskiej części wybrzeża Zatoki Biskajskiej; co do drugiej propozycji Hornblower wiedział tyle na temat nowego rządu francuskiego, wyniesionego na fali rewolucji, że nie wierzył w możliwość zwolnienia jeńców na prośbę kapitana floty handlowej. Poza tym we Francji brakowało wyszkolonych marynarzy; było jego obowiązkiem nie pozwolić tej dwunastce wrócić do kraju.

— Nie — powtórzył w odpowiedzi na dalsze protesty kapitana.

— Czy mam go wyrznąć w szczękę, sir? — zapytał Hunter stojący u boku Hornblowera.

— Nie — brzmiała odpowiedź, lecz Francuz zauważył gest i domyślił się znaczenia słów, więc zapadł w ponure milczenie, ale przerwał je widząc pistolet oparty o kolano Hornblowera i wciąż wymierzony w jego kierunku. Hornblower mógł odruchowo nacisnąć spust.

— Błagam, sir — powiedział — proszę odłożyć ten pistolet. Jest niebezpieczny.

Hornblower. patrzył na niego zimno i bez współczucia.

— Proszę, sir. Nie uczynię niczego, co by przeszkadzało panu w kierowaniu łodzią. Przyrzekam.

— Przysięga pan?

— Przysięgam.

— A reszta?

Kapitan zwrócił się do nich i dotąd perswadował, aż zgodzili się niechętnie.

— Oni też przysięgają.

— A więc dobrze.

Hornblower miał już włożyć pistolet za pas, ale w porę przypomniał sobie, że należy go zabezpieczyć, by nie postrzelić samego siebie w brzuch. Wszyscy pograżyli się w apatii. Łódź wznosiła się teraz i opadała rytmicznie, co było znacznie przyjemniejsze niż jej podskoki na dryfkotwie i żołądek Hornblowera nieco się uspokoił. Nie spał już dwie noce. Głowa opadła mu na piersi, bokiem oparł się o Huntera i zasnął spokojnie, a łódź z wiatrem z trawersu zdążyła wytrwale ku Anglii. Obudził się późno w dzień, gdy Matthews, zdrętwiały i wyczerpany, przekazał rumpel Carsonowi, a potem trzymali wachty kolejno, jeden przy szocie i jeden przy rumplu, podczas gdy inni starali się odpoczywać. Hornblower odbył swoją kolejkę przy szocie, ale bał się usiąść przy sterze, szczególnie gdy zapadła noc; wiedział, że nie ma wprawy w trzymaniu łodzi na wytyczonym kursie przez wyczucie muśnięć wiatru na policzku i rumpla w dłoni.

Dopiero następnego dnia, w jakiś czas po śniadaniu — właściwie było już prawie południe — zobaczyli statek. Pierwszy dojrzał go Francuz i jego podniecony okrzyk poruszył wszystkich. Trzy prostokątne marsie wynurzyły się zza widnokręgu po nawietrznej dziobu i szły w ich stronę na zbieżnym kursie, tak szybko, że za każdym razem, gdy łódź wzbijała się na fali, widać było coraz

większą powierzchnię żagli.

— Jak myślicie, Matthews, co to za statek? — zapytał Hornblower, podczas gdy łódź wrzała podnieceniem Francuzów.

— Trudno powiedzieć, sir, ale nie podoba mi się jego wygląd — odparł Matthews niepewnie. — Na tym wietrze powinien mieć postawione bramsle i dolne żagle, a nie ma. Jego kliwer też mi się nie podoba, sir. Na moje oko, sir, to może być francuz.

Każdy statek płynący w pokojowych celach miałby oczywiście postawione wszystkie żagle, jakie by się tylko dało. A ten nie. Musiał mieć więc coś wspólnego z wojną, ale nawet tu, w zatoce, bardziej było możliwe, że to okręt brytyjski niż francuski. Hornblower długo mu się przyglądał; jednostka niewielka, choć pełnorejowiec. Gładkopokładowy — robi wrażenie szybkiego — od czasu do czasu ukazywał się teraz jego kadłub z rzędem furt strzelniczych.

— Wygląda całkiem jak francuski, sir — zauważył Hunter. — Pewnie korsarz.

— Być w pogotowiu do zwrotu — powiedział Hornblower.

Zawrócili na pełnym wietrze, uciekając od statku. Lecz na wojnie, jak w dżungli, ucieczka prowokuje pościg i atak. Statek postawił dolne żagle i bramsle, pomknął w ich stronę i wyprzedziwszy ich o pół kabla stanął w dryfie i odciął im drogę ucieczki. Zobaczyli mnóstwo mężczyzn stłoczonych wzdłuż burty — bardzo liczna załoga jak na tak niewielki statek. Dobiegło ich obwołanie, słowa były francuskie. Marynarze angielscy bluznęli przekleństwami, natomiast kapitan francuski podniósł się uradowany i odpowiedział, a załoga francuska podprowadziła łódź do burty okrętu.

Gdy Hornblower wszedł na jego pokład, powitał go przystojny młody człowiek w surducie koloru śliwkowego, z koronkowym żabotem.

— Witamy, sir, na „Pique” — powiedział po francusku. — Nazywam się Neuville, jestem kapitanem tego korsarza. A pan?...

— Midszypmen Hornblower z „Indefatigable”, okrętu jego brytyjskiej królewskiej mości — burknął Hornblower.

— Wygląda, jakby pan był w złym humorze — zauważył Neuville. — Niechże się pan tak nie przejmuję zmiennością losów na wojnie. Zostanie pan ulokowany na tym statku aż do naszego powrotu do portu z wszelkimi wygodami, jakie można mieć na morzu. Proszę czuć się jak u siebie w domu. Na przykład, te pistolety u pasa na pewno trochę panu przeszkadzają. Niechże mi pan pozwoli uwolnić się od ich ciężaru.

Mówiąc to wyjął zręcznie pistolety z pasa Hornblowera, obrzucił go uważnym spojrzeniem i ciągnął dalej:

— A ten kordzik u boku, sir. Zechce mi go pan łaskawie pożyczyć? Zapewniam, że go oddam, gdy się będziemy rozstawali. Ale obawiam się, że w czasie pańskiego pobytu na statku młodzieńcza zapalczywość mogłaby pana pobudzić do jakiegoś pochopnego czynu, jeśli będzie pan miał przy sobie broń, którą ktoś naiwny mógłby uważać za morderczą. Tysięczne dzięki. A teraz, czy mogę pana zaprowadzić do przygotowanej dla niego koi?

Skłoniwszy się kurtuazyjnie poprowadził go na dół. Dwa pokłady niżej, przypuszczalnie o stopę czy dwie poniżej linii wodnej, znajdował się szeroki, pusty międzypokład, słabo oświetlony i skąpo wentylowany przez otwory łukowe.

— Nasz pokład niewolniczy — wyjaśnił obojętnie Neuville.

— Pokład niewolniczy? powtórzył pytająco Hornblower.

— Tak. To właśnie tu trzymano niewolników w czasie ich transportu.

To od razu wiele wyjaśniło Hornblowerowi. Statek niewolniczy łatwo było przekształcić na korsarski. Był on już zazwyczaj uzbrojony w dużą liczbę dział dla obrony przed zdradzieckimi atakami w czasie skupowania niewolników wzdłuż rzek afrykańskich; był szybszy od przeciętnego statku handlowego, gdyż nie potrzebował przestrzeni ładunkowej, a przy tak „łatwo psującym się towarze” jak niewolnicy prędkość była cechą bardzo istotną; ponadto został przystosowany do przewozu dużej liczby ludzi oraz zabierania wielkich ilości żywności i wody, by ich żywić w czasie polowania na morzu na przyzy.

— Ostatnie wypadki, o których musiał pan słyszeć, sir, odcięły nas od rynku Santo Domingo — ciągnął Neuville — toteż chcąc, aby „Pique” przynosiła mi dalej jakąś korzyść, przekształciłem ją na statek korsarski. Ponadto widząc, że działalność Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego zamienia Paryż w miejsce znacznie mniej zdrowe od zachodnich wybrzeży Afryki, postanowiłem sam objąć dowództwo nad statkiem. Nie powiem nic o tym, że potrzeba zdecydowania i odwagi, aby ze statku korsarskiego uczynić dochodowe przedsięwzięcie.

Na moment twarz Neuville'a stężała w wyrazie nieubłaganej determinacji, lecz wnet jej rysy zmiękły i przybrały poprzedni wyraz chłodnej uprzejmości.

— Te drzwi w ścianie grodziowej — ciągnął — prowadzą do pomieszczenia, które zarezerwowałem dla naszych jeńców-oficerów. Tu, jak pan widzi, jest pańska koja. Proszę się rozgościć. Gdyby statek wdał się w bój — a wierzę, że uczyni to wielokrotnie — otwory łukowe

zostaną zabarykadowane. Poza takimi wyjątkowymi okolicznościami będzie pan mógł oczywiście poruszać się swobodnie po pokładach. Na wszelki wypadek dodam, że każda nedorzeczna próba ze strony jeńców zmierzająca do przeszkodzenia w pracy statku czy powodzeniu naszych przedsięwzięć spotka się z głębokim oburzeniem załogi. Służą mi na zasadzie udziału, pan rozumie i ryzykują życiem i wolnością. Nie byłbym zdziwiony, gdyby osoba w gorącej wodzie kąpana, która stanęłaby im na drodze do zysków i zagroziła ich wolności, została wyrzucona przez burtę do morza.

Hornblower zmusił się do odpowiedzi; nie chciał dać poznać po sobie, że prawie oniemiał wobec zimnego okrucieństwa tych słów.

— Rozumiem — rzekł.

— Znakomicie! A może jest jeszcze coś, sir, czego by pan potrzebował?

Hornblower rozejrzał się po pustym pomieszczeniu, w którym miał znosić samotność izolacji, oświetlonym mdłym światłem kołyszącej się lampy oliwnej.

— Czy mógłbym dostać coś do czytania? — zapytał.

Neuville zastanawiał się przez chwilę.

— Obawiam się, że mamy tu tylko książki fachowe — odparł. — Ale mogę panu dostarczyć „Zasady nawigacji” Grandjeana i Lebruna „Podręcznik wiedzy okrętowej” i jeszcze parę takich rzeczy, jeśli pan uważa, że francuski, w którym są napisane, będzie dla pana zrozumiały.

— Spróbuję — powiedział Hornblower.

Może nawet dobrze się stało, że Hornblower otrzymał materiał, którego studiowanie wymagało koncentracji. Trud czytania po francusku połączony z pogłębianiem wiedzy zawodowej absorbował jego umysł w czasie ponurych dni, gdy „Pique” krążyła po morzu w poszukiwaniu przyzów. Francuzi przeważnie ignorowali go — zdobył się na zaprotestowanie wobec Neuville'a przeciwko zatrudnieniu czterech jego brytyjskich marynarzy do tak służebnej pracy, jak wypompowywanie wody z zęz, lecz musiał wycofać się jak niepyszny ze sporu (jeśli to można było w ogóle nazwać sporem), gdy Neuville lodowatym tonem odmówił dyskusji na ten temat. Hornblower wrócił do swego pomieszczenia z płonącymi policzkami i zaczerwienionymi uszami i jak zwykle, gdy był wzburzony pamięć winy wróciła z nową siłą.

Gdyby wcześniej był zatkał tę dziurę po pocisku! Bardziej rozzagarnięty oficer, mówił sobie, na pewno by tak uczynił. Stracił swój okręt, cenny przyz „Indefatigable”, i nie mógł sobie tego darować. Niekiedy robił na zimno przegląd całej sytuacji. Od strony zawodowej nie musi się niczego wstydić i przypuszczalnie nie będzie cierpiał z powodu swego zaniedbania. Midszypmena z czteroosobową zaledwie załogą przyzową, odkomenderowanego na dwustutonowy bryg, który został silnie ostrzelany z dział fregaty, nie można obwiniać za to, że dowodzony przez niego statek zatonął. Ale Hornblower wiedział, że przynajmniej w części ponosi za to winę. Jeśli to była ignorancja — to nie ma usprawiedliwienia dla ignorancji. Jeżeli dopuścił, aby rozliczne sprawy, nad którymi musiał czuwać, odwróciły jego uwagę od obowiązku natychmiastowego zatkania dziury, to był to brak kompetencji,

a nie ma usprawiedliwienia dla niekompetencji. Gdy tak rozmyślał, zalewała go fala rozpaczy i pogardy dla samego siebie i nie było nikogo, kto by go pocieszył. Dzień jego urodzin, już osiemnastych, był najgorszy ze wszystkich. Mieć osiemnaście lat i być skompromitowanym jeńcem w rękach korsarza francuskiego! Poczucie własnej godności spadło prawie do zera.

„Pique” polowała na łup na najbardziej uczęszczanych wodach świata, podejściu do Kanału, i nie świadczyło dobitniej o ogromie przestworzy oceanu jak fakt, że dzień za dniem mijał bez choćby przelotnego widoku jakiegoś statku. Pływali po trójkącie, najpierw na północny zachód, stamtąd na południe, potem, pod luźnymi żaglami, znowu na północny wschód, z obserwatorem na każdym salingu, nie widząc niczego poza bezmiarem wzburzonej wody. Aż do tego ranka, kiedy wysoki okrzyk z fokmasztu poruszył wszystkich na pokładzie, nie wyłączając Hornblowera stojącego samotnie na śródkręciu. Neuville wykrzyknął od steru jakieś zapytanie do marynarza na oku, i Hornblower, dzięki temu, czego się nauczył ostatnio, potrafił przetłumaczyć sobie odpowiedź. Po nawietrznej pojawił się statek, a w chwilę później obserwator dodał, że zmienił kurs i zdąża w ich stronę.

To coś mówiło. W czasie wojny żaden statek handlowy nie ufałby obcej jednostce i starałby się ominąć ją z daleka, szczególnie jeśli był po nawietrznej, a więc w znacznie bezpieczniejszej sytuacji. Tylko ktoś przygotowany do walki lub powodowany samobójczą ciekawością porzuciłby pozycję po nawietrznej. Gwałtowna, nieuzasadniona nadzieja ogarnęła Hornblowera. Dzięki panowaniu Anglii na morzu można się było spodziewać, że okręt wojenny pojawiający się na wodach morskich będzie raczej okrętem angielskim niż francuskim. A to był rejon, po którym krążyła „Indefatigable”, jego okręt macierzysty, odkomenderowany tu z podwójnym zadaniem: szukania francuskich statków wysyłanych w celu niszczenia handlu, i przechwytywania francuzów, którym udałooby się wymknąć z blokady. Sto mil od tego miejsca został wysłany wraz z załogą przyzową na „Marie Galante”. Istniała najwyżej jedna możliwość na tysiąc, mówił sobie z przesadną desperacją, że dostrzeżony okręt to „Indefatigable”. Lecz — dodawał z rosnącą nadzieją — fakt, że okręt ten zbliżał się, by zbadać sytuację, zwiększał szansę do jednej na dziesięć. A nawet mniej.

Spojrzał na Neuville'a, starając się iść torem jego myśli. „Pique” jest szybka i zwrotna, ma też łatwą drogę ucieczki z wiatrem. Fakt, że obca jednostka zmieniła kurs i szła ku nim, budził podejrzenia, lecz było wiadomą, że statki Kompanii Wschodnioindyjskiej, stanowiące najtłustsze kąski przyzowe, niekiedy wyzyskiwały swe zewnętrzne podobieństwo do okrętów liniowych i zachowując się w sposób pewny siebie odstraszały co płochliwszych przeciwników. To byłaby pokusa dla kogoś żądnego przyzu. Na rozkaz Neuville'a postawiono wszystkie żagle w gotowości do natychmiastowego pościgu lub ucieczki. „Pique” ruszyła ostrym bejdewindem w kierunku obcego okrętu. Już po krótkiej chwili Hornblower dojrzał daleko na horyzoncie błysk bieli, jakby małe ziarenka ryżu, gdy „Pique” uniosła się na wysokiej fali. Nadbiegł Matthews, podniecony, z rozgorzałymi policzkami, i stanął przy Hornblowerze.

— To stara „Indefatigable”, sir — powiedział. — Przysięgam! — Wskoczył na poręcz trzymając się want i patrzył spod dłoni.

— Tak, to ona, sir! Stawia bombramsle, sir. Będziemy z powrotem na jej pokładzie, w samą porę na nim!

Podoficer francuski chwycił Matthewsą za spodnie, ściągnął z poręczy i kopniakiem odesłał go na dziób, a w chwilę potem Neuville rozkazał, by statek położyć na kurs oddalający od „Indefatigable”, po czym gestem przywołał Hornblowera.

— Jeśli się nie mylę, panie Hornblower, to pański były okręt?

— Tak.

— Jaka jest jego maksymalna prędkość?

Oczy Hornblowera napotkały wzrok Neuville'a.

— Nie wygląda zbyt imponująco — mruknął Neuville z uśmiechem przez zaciśnięte zęby. — Mógłbym zmusić pana do udzielenia mi informacji. Znam na to sposoby. Ale, na szczęście dla pana, nie jest to konieczne. Nie ma na świecie okrętu — a już na pewno pośród niezdarnych fregat jego brytyjskiej królewskiej mości — który zdołałby prześcignąć „Pique” idącą fordewindem. Zaraz się pan przekona.

Podszedł do relingu i długo patrzył przez lunetę w kierunku za rufę z taką samą uwagą jak Hornblower gołym okiem.

— Widzi pan? — spytał Neuville podając lunetę.

Hornblower wziął ją, bardziej po to, żeby lepiej zobaczyć swój okręt, niż potwierdzić jego obserwacje. Czuł w tym momencie ogromną, przemożną tęsknotę za „Indefatigable”, lecz nie było wątpliwości, że szybko zostawała w tyle. Jej bramsle znikły już i widać było tylko bombramsle.

— Za dwie godziny nie będzie widać nawet szczytów jej masztów — rzekł Neuville, wyjmując mu z rąk lunetę i zamykając z trzaskiem.

Zostawił Hornblowera przy relingu rufowym, pogrążonego w smutku, a sam odwrócił się, aby zwymyślać sternika za niedokładne trzymanie kursu. Hornblower słuchał gwałtownych słów nie rozumiejąc ich, wiatr dał mu w twarz i rozwiewał włosy, a w dole piecił się ślad torowy statku. Tak mógł Adam spoglądać na raj utracony; Hornblower wspomniał ciemną duszną mesę młodszych oficerów, zapachy i skrzyp drewnianych części kadłuba, lodowato zimne noce, zbiórki załogi, chleb z robakami i mięso twarde jak podeszwa i poczuł głęboką, beznadziejną tęsknotę za tym wszystkim. Wolność znikła za widnokregiem. Lecz to nie te uczucia pchnęły go na dół, by zobaczyć, co można by zdziałać. Pobudziły może jego mózg do pracy, ale właściwym bodźcem było poczucie obowiązku.

Pokład niewolniczy był opustoszały, jak zawsze, a cała załoga znajdowała się na swoich stanowiskach. Za grodzią stała jego koja, zarzucona książkami, z kołyszącą się nad nią lampą oliwną. Nie było tu niczego, co mogłoby nasunąć mu jakiś sposób działania. W grodzi rufowej były jeszcze jedne zamknięte drzwi. Wchodziło się przez nie do czegoś w rodzaju magazynu sternika, dwukrotnie widział je otwarte, gdy wynoszono stamtąd farby i inne podobne zapasy. Farba! To mu nasunęło pewną myśl; spojrział od drzwi w górę, na lampę oliwną, i znowu na drzwi i ruszył w tamtą stronę z wyjętym z kieszeni scyzorykiem w dłoni. Ale cofnął się, wymyślając sobie od

głupców. Drzwi nie były wyłożone płytami, lecz wykonane z litego drewna, wzmocnionego od wewnątrz poprzeczkami. Dziurka od klucza w zamku nie przedstawiała punktu oparcia dla działania. Gdyby próbował otwarcia drzwi przy pomocy scyzoryka, zajęłoby to wiele godzin w sytuacji, gdy minuty były cenne.

Rozglądał się wokoło, a serce biło mu jak oszalałe — ale równie szaleńczo pracował jego mózg. Chwycił lampę i potrząsnął nią; była prawie pełna oleju. Był moment, gdy przystanął, wahając się i próbując opanować nerwy, a potem rzucił się do czynu. Bezlitośnie wydarł kartki z „Zasad Nawigacji” Grandjeana, zmiął je w małe kulki i ułożył przy drzwiach. Zrzucił mundur i ściągnął przez głowę niebieski wełniany sweter; mocnymi długimi palcami rozdarł na pół i zaczął go pruć. Po spruciu paru nitek, nie tracąc już na to więcej czasu, położył sweter na kulki papieru i rozejrzał się wokoło. Materac z koi! Na Boga, jest wypchany słomą! Jednym ruchem noża przeciął płócienny pokrowiec i zaczął wygarniać ze środka zawartość; pod ciągłym uciskiem słoma zbiła się w prawie jednolitą masę, więc roztrząsał ją po pokładzie w luźną warstwę sięgającą mu prawie do pasa. W ten sposób uzyska gwałtowny płomień. Stał nieruchomo, starając się myśleć jasno i logicznie — to właśnie pośpiech i nieprzemyślane działanie spowodowało utratę „Marie Galante”, a teraz znowu stracił czas na prucie swetra. Obmyślił dalsze kroki. Z kartki z „Manuel de Matelotage” zrobił długi fidybus i zapalił go od lampy. Potem wylał olej — lampa była gorąca, a olej ciekły — na przygotowane poprzednio kulki papieru, polał nim pokład i dół drzwi. Od dotknięcia płonącym zwitkiem zapaliła się jedna kulka, płomień rozszerzał się szybko. Teraz już nie mógł się cofnąć. Popchnął słomę na płomień i w nagłym przypiływie szaleńczej siły oderwał koję od desek pokładu, połamał i rzucił na słomę, po której już pełgał ogień. Cisnął na stos lampę, wziął mundur i wyszedł. Chciał zamknąć drzwi, ale porzucił ten zamiar — im więcej powietrza, tym lepiej. Wdział spiesznie mundur i wspiął się po drabinie na pokład.

Znalazłszy się tam oparł się nonszalancko o poręcz, drżące ręce ukrywając w kieszeniach. Czuł się wyczerpany napięciem nerwowym, które nie słabło w czasie oczekiwania. Ważna była każda minuta dzieląca od odkrycia ognia. Jakiś francuski oficer powiedział coś do niego z triumfującym śmiechem i wskazał ręką ponad relingiem ku rufie, przypuszczalnie mówiąc o pozostawieniu w tyle „Indefatigable”. Hornblower zareagował bladym uśmiechem, a potem, pomyślawszy, że uśmiech nie jest na miejscu, przybrał smutny wyraz twarzy. Wiał ostry wiatr i „Pique” mogła nieść tylko główne żagle; Hornblower czuł powiew na swych rozpalonych policzkach. Załoga na pokładzie miotła się w pośpiechu i zaaferowaniu; Neuville obserwował sternika, rzucając od czasu do czasu spojrzenie na maszty, by sprawdzić, czy wszystkie żagle pracują jak należy; obsługa była przy działach, a dwóch marynarzy i podoficer mierzyli prędkość logiem. Boże, ile jeszcze będzie miał czasu?

Ale oto zrębica luku rufowego jak gdyby się wypaczyła i coś zaczęło drgać nad nią w migotliwym powietrzu. Musi przepływać tamtędy rozgrzane powietrze. A tam, czyżby to był zwid, czy naprawdę kółeczko dymu? To dym! W tym momencie podniesiono alarm. Donośny krzyk, spieszny tupot stóp, nagłe poruszenie, głośne bicie bębna, wysokie głosy wołające: — Au feu! Au feu!

Cztery żywioły Arystotelesa — pomyślał Hornblower — ziemia, powietrze, woda i ogień są stałymi wrogami marynarza, ale na drewnianych statkach ani brzeg na zawietrznej, ani huragan, ani sztorm czy fala nie budzą takiej trwogi jak ogień. Stare drewno, grubo pokryte farbą, płonęło szybko

i gwałtownie. Żagle i nasmołowany takielunek będą się palić jak fajerwerek. A na statku znajdowały się tony prochu strzelniczego tylko czekające na okazję, by roznieść marynarzy na strzepy. Hornblower patrzył, jak brygady przeciwpożarowe rzuciły się do dzieła, jak wyciągano pompy na pokład i mocowano do nich węże. Ktoś biegł pędem na rufę z wiadomością dla Neuville'a, przypuszczalnie dotyczącą gniazda pożaru. Neuville wysłuchał posłańca i spojrzął na Hornblowera przy poręczy, zanim rzucił rozkaz posłańcowi. Dym wydobywający się z luku rufowego zgęstniał; na rozkaz Neuville'a warta rufowa ruszyła poprzez dym w stronę otworu. A dymu było coraz więcej, wiatr chwytał go i włókł kłębammi ku dziobowi — dym musiał wydobywać się z burt statku na poziomie linii wodnej.

Neuville ruszył ku Hornblowerowi z twarzą wykrzywioną wściekłością, lecz okrzyk sternika zatrzymał go. Sternik, nie mogąc zdjąć rąk ze steru, wskazał stopą na świetlik kabiny. Migotał pod nim płomień. Gdy patrzyli, wypadła szyba boczna i przez otwór strzelił ogień. Ten skład farb — pomyślał Hornblower (był teraz spokojniejszy, własny spokój zadziwił go, gdy sobie wszystko później przypomniał) — powinien być tuż pod kajutą i musi już palić się gwałtownie. Neuville popatrzył dokoła, na morze i niebo, i wściekły złapał się za głowę. Po raz pierwszy w życiu Hornblower widział człowieka dosłownie wrywającego sobie włosy. Ale sam był spokojny. Na rozkaz Neuville'a przywleczono drugą pompę; czterech ludzi zabrało się do roboty i odgłos klang-klang, klang-klang, towarzyszący pompowaniu, stopił się z rykiem ognia. Lano cienki strumień w dziurawy świetlik. Ludzie utworzyli łańcuch i wlewali kubły wody czerpanej z morza, ale pomagało to mniej niż strumień z pomp. Z dołu dobiegł głuchy odgłos detonacji i Hornblower powstrzymał oddech czekając, że statek rozpadnie się na kawałki. Ale wybuch się nie powtórzył: albo ogień spowodował odpalenie działa, albo od żaru zapaliła się beczułka z prochem. A potem łańcuch podających wiadra nagle pękł — pod stopami jednego z ludzi rozwarła się szczelina i buchnął z niej ogień. Jakiś oficer chwycił Neuville'a za ramię i zaczął spierać się z nim gwałtownie i Hornblower zobaczył, że zrozpaczony Neuville ustępuje. Marynarze wbiegli na maszty zwijając fokmarsel i fokżagiel, a inni ruszyli do grotabrasów. Przełożono ster i „Pique” przeszła na ostry bejdewind.

Zmiana była istotna, chociaż początkowo bardziej wyglądała na pozorną niż rzeczywistą; przy wietrze wiejącym w przeciwnym kierunku ryk ognia nie dochodził tak wyraźnie do uszu ludzi na dziobie. A równocześnie ogień, który wybuchł przy końcu rufy, przestał sunąć ku dziobowi, lecz zwracał się do tyłu, na spalone już na pół drewno. Mimo to cała rufowa część pokładu paliła się dalej; sternik musiał porzucić koło sterowe, a płomień objęły bezan, który spłonął w mgnieniu oka — jeszcze przed chwilą żagiel istniał, a w następnym momencie już tylko zwęglone szczątki zwisały z gafla. Lecz teraz, gdy statek szedł ostro pod wiatr, pożar nie przerzuczał się na pozostałe żagle, a pospiesznie wciągnięty bezan sztormowy utrzymywał statek na kursie.

I właśnie wtedy spojrzawszy wprost przed siebie Hornblower znowu zobaczył „Indefatigable”. Parła ku nim z postawionymi wszystkimi żaglami; gdy „Pique” uniosła się na fali, dojrzał białą pianę pod dziobem. Poddanie się „Pique” nie ulegało wątpliwości, gdyż groźbie takiego rzędu dział nie ostałby się żaden okręt o jej sile, nawet gdyby nie był uszkodzony. „Indefatigable” rozpoczęła zwrot w odległości kabla na nawietrznej i jeszcze go nie zakończywszy, już zaczęła opuszczać łodzie na wodę. Pellew zobaczył dym i domyślił się powodu położenia się „Pique” w dryf, czynił więc przygotowania w trakcie podchodzenia do statku. Szalupa i barkas miały na dziobach pompy w

miejskach, gdzie niekiedy instalowano karonady; wyładowano je na rufie „Pique” i natychmiast zaczęto łać strumienie wody wprost na ogień. Dwa gigy wypełnione ludźmi płynęły prosto ku rufie, aby wziąć udział w walce z pożarem, lecz Bolton, trzeci oficer, zwolnił na chwilę, napotkawszy wzrok Hornblowera.

— Wielki Boże, to pan! — wykrzyknął. — Co pan tam robi?

Nie czekał jednak na odpowiedź. Wyłuskał Neuville'a jako kapitana „Pique”, udał się na rufę, aby tam przyjąć jego poddanie się, obrzucił wzrokiem maszty, sprawdzając czy wszystko w porządku, i zabrał się do gaszenia ognia. Zdławiono płomienie szybko głównie dlatego, że spłonęło już wszystko, co było do spalenia w zasięgu pożaru; „Pique” była wypalona w obrębie kilku stóp od poręczy relingu dziobowego aż po linię wody i przedstawiała dziwny widok, gdy się na nią patrzyło z pokładu „Indefatigable”. Mimo to nie groziło jej żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo; przy pewnej dozie szczęścia i wysiłku można było doprowadzić ją do Anglii, tam naprawić i wysłać z powrotem na morze.

Ważną jednak rzeczą było nie jej uratowanie, lecz fakt, że nie znajdowała się już w rękach francuskich i że nie będzie mogła polować na angielskie statki handlowe. Ten moment podkreślił Sir Edward Pellew w rozmowie z Hornblowerem, który stawił się na pokład do raportu. Na polecenie Pellewa Hornblower zaczął od szczegółowego opowiadania o tym, co mu się przydarzyło od czasu, gdy został wysłany na „Marie Galante” jako dowódca przyzu. Jak Hornblower przypuszczał — czy może nawet, jak się obawiał — Pellew przeszedł lekko nad stratą brygu. Został on uszkodzony przez ogień z dział jeszcze przed poddaniem się i teraz nie można było ustalić, czy uszkodzenie było duże, czy małe. Pellew wcale się nad tym nie zastanawiał. Hornblower próbował uratować bryg i nie powiodło mu się to z tymi paroma ludźmi, których dostał, a „Indefatigable” nie mogła mu przydzielić wówczas większej załogi. Nie uważał Hornblowera za winnego. Ważniejsza sprawa to pozbawienie Francji ładunku wiezionego przez „Marie Galante”, niż pożytek, jaki Anglia mogłaby mieć z niego. Sytuacja była taka sama jak z ratowaniem „Pique”.

— Szczęście, że wybuchł na niej ten pożar — zauważył Pellew patrząc w stronę, gdzie „Pique” wciąż stała w dryfie z łodziami kręcącymi się dokoła; cienka smużka dymu wydobywała się jeszcze z rufy. — Oddalała się od nas i za godzinę zniknęłaby za widnokregiem. Czy nie wie pan przypadkiem, panie Hornblower, jak się to stało?

Hornblower oczekiwał naturalnie tego pytania i był na nie przygotowany. Teraz był czas odpowiedzieć skromnie i zgodnie z prawdą, uzyskać nagrodę, na którą zasłużył, wzmiankę w „Gazette”, czy nawet nominację na p.o. porucznika, lecz Pellew nie znał szczegółów utraty brygu, a nawet gdyby je znał, mógłby je ocenić fałszywie.

— Nie, sir — odparł Hornblower. — Sądzę, że mógł to być samozapłon w schowku na farby. Inaczej nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

On jeden wiedział o tym, że zaniedbał zaślepić dziurę po pocisku, on sam decydował o karze i taką właśnie karę sobie wybrał. Tylko w ten sposób mógł odzyskać szacunek do samego siebie, i gdy już wyrzekł te słowa, poczuł niezmierną ulgę i ani cienia żalu.

— W każdym razie to był szczęśliwy traf — powiedział z zadumą Pellew.

Rozdział czwarty

Człowiek, który czuł się dziwnie

Tym razem wilk polował na zdobycz poza obrębem owczarni. „Indefatigable”, fregata jego królewskiej mości, zapędziła korwetę francuską „Papillon” w ujście rzeki Żyrondy[5] i szukała sposobu, żeby ją tam zaatakować, stojącą na kotwicy pod osłoną baterii zainstalowanych po obu stronach ujścia. Kapitan Pellew wprowadził okręt płytkimi wodami tak daleko w głąb, jak tylko śmiał, dopóki baterie nie wystrzeliły, ostrzegając go, aby się zatrzymał w przyzwoitej odległości, po czym długo i uważnie przyglądał się korwecie przez lunetę. Zatrzasnął futerał lunety i odwrócił się, aby wydać rozkaz wycofania „Indefatigable” z niebezpiecznej pozycji, z brzegiem na zawietrznej, aż stanie się niewidoczna z lądu. Manewr ten mógł wywołać u Francuzów poczucie bezpieczeństwa, które, miał nadzieję, okaże się nieuzasadnione. Nie miał bowiem zamiaru zostawić ich w spokoju. Jeśli się udało porwać korwetę lub zatopić, nie tylko przestałaby robić wypady na brytyjskie statki handlowe, lecz Francuzi zostaliby zmuszeni do zwiększenia obrony brzegowej w tym rejonie kosztem innego. Wojna polega na wymianie potężnych ciosów, a nawet czterdziestodziałowa fregata, jeśli będzie umiejętnie prowadzona, może zadać dotkliwy cios.

Po południu, gdy midszypmen Hornblower chodził tam i z powrotem po zawietrznej pokładu rufowego, jak przystało na pełniącego podrzędną funkcję oficera wachtowego, podszedł do niego midszypmen Kennedy, szerokim gestem zamiótł kapeluszem w niskim ukłonie i zastygł, z lewą stopą wysuniętą do przodu i kapeluszem przytkniętym do prawego kolana, jak go kiedyś uczył nauczyciel tańca. Hornblower podjął grę, przytknął swój kapelusz do brzucha i oddał ukłon, zginając się trzykrotnie w pas. Niezdarność jego ruchów sprawiła, że nie musiał udawać, iż parodiuje tę napuszoną ceremonię.

— Wielce szanowny i czcigodny señor — przemówił Kennedy — przynoszę pozdrowienia od dowódcy, Sir Edwarda Pellewa, który uniżenie prosi waszą czcigodność o przybycie na obiad o ósmym dzwonie w czasie wachty południowej.

— Proszę przekazać wyrazy szacunku Sir Edwardowi — odpowiedział Hornblower, kłaniając się nisko przy tych słowach — i powiedzieć, że będę łaskaw wpaść do niego na chwilę.

— Jestem przekonany, że dowódca przyjmie tę wiadomość z uczuciem ulgi i radości — odparł Kennedy.

— Przekażę mu moje gratulacje wraz z pana tak pochlebiającą mu zgodą na przybycie.

Oba kapelusze wykonały szeroki gest, jeszcze bardziej wyszukany niż poprzednio, lecz w tym momencie młodzieńcy spostrzegli, że oficer wachtowy, pan Bolton, patrzy na nich od nawietrznej, spiesznie więc włożyli kapelusze i przybrali postawę bardziej odpowiednią dla oficerów w służbie króla Jerzego.

— Czego chce dowódca? — spytał Hornblower.

Kennedy przyłożył palec do nosa.

— Musiałbym mieć parę gwiazdek więcej, żeby to wiedzieć — rzekł. — Coś się gotuje i chyba już niedługo dowiemy się co. Do tego czasu my, biedne ofiary, możemy tylko udawać nieświadomych naszego przeznaczenia. Na razie pilnuj, żeby okręt nie przewrócił się do góry stępką.

W czasie obiadu w kajucie dowódcy „Indefatigable” nic nie wskazywało, że się na coś zanosi. Pellew, u szczytu stołu, grał rolę wytwornego gospodarza. Obecni starsi oficerowie — dwaj porucznicy, Eccles i Chadd, i nawigator Soames rozmawiali swobodnie na błahe tematy. Hornblower i drugi młodszy oficer — Mallory, midszypmen, o dwa lata dłuższym stażu — milczeli, jak przystało na oficerów ich rangi, mogąc dzięki temu skoncentrować się na jedzeniu o niebo lepszym od podawanego w ich mesie.

— Panie Hornblower, proszę wypić ze mną szklaneczkę wina — powiedział Pellew podnosząc swoją szklanę.

Czyniąc to samo Hornblower próbował skłonić się z gracją nie wstając z miejsca. Pociągał ostrożnymi łykami, gdyż stwierdził ostatnio, że ma słabą głowę, a nie lubił czuć się pijany.

Sprzątnięto ze stołu i nastał krótki moment oczekiwania na to, co teraz uczyni Pellew.

— A teraz, panie Soames — przemówił Pellew — proszę dać nam tę mapę.

Była to mapa ujścia Żyrondy, z danymi dotyczącymi głębokości; ktoś naniósł ołówkiem pozycje baterii brzegowych.

— „Papillon” — powiedział Sir Edward (nie zniżył się do wymawiania tej nazwy z francuska), stoi w tym miejscu. Pan Soames wziął namiar.

Wskazał krzyżyk zrobiony ołówkiem na mapie, daleko w górę kanału.

— Panowie — mówił Pellew dalej — popłyniecie łodziami, by go stamtąd wyprowadzić.

A więc o to chodziło. Ekspedycja abordażowa.

— Pan Eccles obejmuje ogólne dowództwo. Proszę, żeby podał panom swój plan.

Siwowłosy pierwszy oficer o zadziwiająco młodych niebieskich oczach powiódł wzrokiem po obecnych.

— Ja wezmę szalupę — rzeki — a pan Soames kuter. Panowie Chadd i Mallory będą dowódcami pierwszego i drugiego gigu, a pan Hornblower obejmie dowództwo najmniejszej łodzi. Każda z łodzi, z wyjątkiem jednostki pana Hornblowera, będzie miała młodszego oficera jako zastępcę dowódcy.

Nie było to potrzebne na łodzi Hornblowera, która miała siedmioosobową załogę. Szalupa i kuter zabierają po trzydzieści-czterdzieści osób, a każdy gig dwadzieścia; wysyłano silny oddział —

niemal połowę załogi okrętu.

— To okręt wojenny — wyjaśnił Eccles, czytając ich myśli. — Nie handlowy. Po dziesięć dział z każdej burty, i pełen ludzi.

Bliżej dwustu niż stu z pewnością — duża siła w porównaniu ze stu dwudziestoma marynarzami brytyjskimi.

— Lecz zaatakujemy go nocą i weźmiemy przez zaskoczenie — dodał Eccles, znowu czytając w ich myślach.

— Jak wiecie, panowie — wtrącił Pellew — zaskoczenie to więcej niż połowa zwycięstwa — przepraszam, panie Eccles, że przerwałem.

— W tej chwili — ciągnął Eccles — nie widać nas z lądu. Ale niedługo ruszymy w tamtą stronę. Nie przebywaliśmy nigdy w tej części wybrzeża i żabojady pomyślą, że odpłynęliśmy na dobre. Podejmiemy do lądu po zapadnięciu nocy tak blisko, jak się da, a potem spuścimy łodzie. Wysoką wodę będziemy jutro mieli o czwartej pięćdziesiąt, rozwidni się o piątą trzydzieści. Przypuścimy atak o czwartej trzydzieści, aby wachta, która zejdzie pod pokład, zdążyła zasnąć. Szalupa zaatakuje rufę od prawej burty, a kuter od lewej. Gig pana Mallory'ego ruszy na dziób z lewej strony, a pana Chadda z prawej. Pan Chadd ma odciąć kotwicę korwety, jak tylko bak zostanie opanowany, a załogi pozostałych łodzi dostaną się na pokład rufowy.

Eccles powiódł wzrokiem po trzech pozostałych dowódcach większych łodzi, a oni skinęli głowami na znak, że zrozumieli. Po czym ciągnął dalej:

— Pan Hornblower będzie czekał w swej łodzi, aż atakujący znajdą się na okręcie. Wówczas dostanie się na pokład przez ławy wantowe lewej czy prawej burty, gdzie uzna za stosowne, i wejdzie błyskawicznie na główne olinowanie, nie zwracając uwagi na walkę toczącą się na pokładzie. Dopilnuje, aby zlurowano grotmarsel i po otrzymaniu dalszych rozkazów wybierze szoty. Ja zaś lub pan Soames, gdybym ja poległ lub został ranny, pošlemy dwóch ludzi do steru i będziemy nadzorowali sterowania korwety, jak tylko ruszy. Fala pływów wyniesie nas na morze, a „Indefatigable” będzie czekała już za zasięgiem baterii brzegowych.

— Czy macie, panowie, jakieś uwagi? — zapytał Pellew.

To był moment, kiedy Hornblower powinien był zabrać głos — jedyny moment, kiedy mu było wolno. Usłyszawszy rozkazy Ecclesa, poczuł przyływ mdłości. Hornblower nie umiał poruszać się na masztach. Nie znosił wysokości ani wspinaczki. Wiedział, że daleko mu do tej małpiej zręczności i pewności siebie cechującej dobrego marynarza. W ciemnościach nie czuł się pewnie nawet na masztach „Indefatigable” i myśl, że trzeba będzie wdrapywać się na maszty zupełnie obcego okrętu i wspinać się po nieznanym takielunku, napełniała go przerażeniem. Uważał, że nie nadaje się zupełnie do wykonania przydzielonej mu części zadania i że wobec braku kwalifikacji powinien od razu wymówić się od udziału w ekspedycji. Nie skorzystał jednak z okazji widząc, że pozostali oficerowie zaakceptowali plan, jakby to była rzecz oczywista. Przesunął wzrokiem po ich spokojnych twarzach; nikt nie zwracał na niego uwagi, a on nie chciał ściągnąć jej na siebie.

Przełknął ślinę i już miał się odezwać, lecz nikt nie spojrzał na niego i protest zamarł mu na ustach.

— Więc doskonale, panowie — zakonkludował Pellew. — Panie Eccles, może się pan zajmie szczegółami.

Teraz już było za późno. Na rozpostartej mapie Eccles pokazywał, jak mają płynąć przez płycizny i między mieliznami Żyrondy, rozwiódł się dłużej nad pozycjami baterii brzegowych i nad wpływem na odległość, na jaką „Indefatigable” może się zbliżyć za dnia do latarni morskiej w Cordouan. Hornblower słuchał, usiłując się skupić mimo swych obaw. Eccles skończył i Pellew zamknął zebranie.

— Skoro wszyscy panowie wiecie, co do każdego należy, sądzę, że możecie przystąpić do przygotowań. Słońce wkrótce zajdzie, a na pewno okaże się, że macie wiele do zrobienia.

Trzeba było wywołać załogi łodzi, dopilnować, aby ludzie byli uzbrojeni i łodzie zaopatrzone na wypadek, gdyby zaszło coś nieprzewidzianego. Należało każdego pouczyć co ma robić. A Hornblower musiał przeciwzyć wchodzenie na grotwanty i leżenie na rei grotmarsła. Powtórzył to dwukrotnie, zmuszając się do trudnego wchodzenia po podwantkach, które, odchylone od grotmasztu, zmuszały do wspinania się na odcinku kilkunastu stóp w pozycji wiszącej plecami na dół i chwytania wyblinek palcami rąk i nóg. Dokonywał tego jakoś, posuwając się wolno i ostrożnie, a przy tym niezgrabnie. Stanąwszy na percie, posuwał się po niej w kierunku noku rei. Perta była tak przymocowana do rei, że zwisała o prawie cztery stopy pod nią. Musiał stawiać stopy na percie, trzymając ręce tak, aby mieć reję pod pachami, i przesuwać się bokiem po percie, odwiązując sejzingi, aby złuzować żagiel. Hornblower przebył całą drogę dwa razy, opanowując mdłości na myśl, że od pokładu dzieli go sto stóp. W końcu dławiąc się ze zdenerwowania uchwycił się brasa i zmusił się do zsunęcia się po nim na pokład — to będzie najlepsza droga, gdy przyjdzie czas na wybieranie szotów grotmarsła. Był to długi, ryzykowny zjazd; Hornblower powiedział sobie — jak to już uczynił kiedyś, gdy po raz pierwszy zobaczył marynarzy wchodzących na maszty — że takie wyczyny w jakimś cyrku w kraju spotkałyby się z pełnymi zachwytem „achami” i „ochami”. W każdym razie stanąwszy stopami na pokładzie poczuł zadowolenie z siebie, chociaż w zakamarkach wyobraźni widział siebie chybającego uchwytu, gdy przyjdzie pora na powtórzenie wyczynu na „Papillon”, i walącego się z góry na pokład — sekunda, dwie obłądnego strachu podczas spadania, a potem straszliwy odgłos upadku. A powodzenie ataku zależy od niego w równej mierze co od wszystkich pozostałych — jeśli marsel nie zostanie szybko postawiony i korweta nie rozwinie sterownej prędkości, może władować się na mieliznę na którejś z niezliczonych płycizn u ujścia rzeki i wpaść sromotnie z powrotem w ręce wroga, a wówczas połowa ludzi z „Indefatigable” albo zginie, albo dostanie się do niewoli.

Na łodzi załoga ustawiała się do przeglądu. Sprawdził, czy wiosła są dobrze owinięte szmatami, czy każdy marynarz ma pistolet i kord i upewnił się, że wszystkie pistolety są zabezpieczone, aby przedwcześnie oddany strzał nie ostrzegł wroga przed atakiem. Przydzielił każdemu zadanie przy luzowaniu marsła, podkreślając, że straty w ludziach mogą spowodować konieczność szybkich zmian w ustalonym programie.

— Ja pierwszy pójdę na maszty — oświadczył.

Tak właśnie należało postępować. Musiał prowadzić — tego oczekiwano od niego. Co więcej — gdyby wydał inny rozkaz, wzbudziłoby to pogardliwe komentarze.

— Jackson — ciągnął Hornblower, zwracając się do sternika — opuście łódź jako ostatni i przejmiecie dowództwo, jeśli ja padnę.

— Tak jest, sir.

Było w zwyczaju używać poetyckiego słowa „padnę”, zamiast „zginę” i dopiero wypowiedziawszy je Hornblower uświadomił sobie jego okrutne znaczenie i jego realność w obecnych okolicznościach.

— Czy wszystko zrozumiane? — zapytał sucho; głos jego stał się chrypliwy od napięcia nerwowego.

Wszyscy poza jednym skinęli głowami.

— Za pańskim pozwoleniem, sir — przemówił Hales, młodzian wiosłujący jako wzorowy. — Czuję się tak jakoś dziwnie.

Hales był delikatnie zbudowanym chłopcem o smagłej cerze. Mówiąc dotknął dłonią czoła niepewnym gestem.

— Nie ty jeden czujesz się dziwnie — mruknął Hornblower.

Marynarze parsknęli śmiechem. Myśl o przejściu przez ogień baterii brzegowych i abordażowaniu uzbrojonej korwety wobec spodziewanego oporu mogła łatwo wzbudzić lęk w piersiach tchórza. Większość spośród odkomenderowanych do tej wyprawy musiała odczuwać pewien niepokój.

— Nie o to chodzi, sir — odparł Hales z oburzeniem. — Ja się nic nie boję.

Ale ani Hornblower, ani pozostali marynarze nie zwrócili na niego uwagi.

— Ty się lepiej zamknij — huknął Jackson. Człowiek, który po zleceniu mu niebezpiecznego zadania oświadcza, że się źle czuje, nie zasługuje na nic innego oprócz pogardy. Sam Hornblower był zbyt wielkim tchórzem, by móc pozwolić swoim obawom dojść do głosu — za bardzo się bał, co ludzie powiedzieliby o nim.

— Rozejść się — wydał komendę Hornblower. — Poślę po was, gdy będziecie potrzebni.

Trzeba było odczekać parę godzin, w czasie których „Indefatigable” sunęła wolno wzdłuż brzegu; sonda zanurzała się regularnie w wodę, a Pellew sam pilnował kursu fregaty. Mimo zdenerwowania i strachu Hornblower zdobył się na podziwianie doskonałości w sztuce żeglarskiej, obserwując jak w ciemną noc Pellew przeprowadzał wielką fregatę przez zdradliwe wody. Tak go to pochłonęło, że lekkie dreszcze ustąpiły całkowicie; Hornblower należał do tego typu ludzi, którzy obserwują i uczą się nawet na łożu śmierci. Zanim „Indefatigable” dotarła do miejsca za ujściem rzeki nadającego się

do spuszczenia szalup, Hornblower dowiedział się sporo o praktycznym zastosowaniu zasad nawigacji przybrzeżnej i nie mniej o organizacji ekspedycji abordażowej — analizując zaś swoje uczucia dowiedział się chyba jeszcze więcej o psychologii ludzi biorących udział w takiej ekspedycji jeszcze przed jej wyruszeniem.

Wchodząc do łodzi, która wznosiła się i opadała na czarnej jak atrament wodzie, czynił wrażenie człowieka całkowicie opanowanego i potrafił wydać rozkaz odbicia zupełnie spokojnym głosem. Ujął za rumpel — ten lity kawał drewna w dłoni dodał mu pewności siebie. Swoim zwyczajem siadł na ławce rufowej, przytrzymując rumpel dłonią i łokciem, a marynarze wiosłowali powoli w ślad za ciemnymi sylwetkami czterech wielkich łodzi. Pływ niósł ich w górę ujścia. Mieli szczęście, bo z jednej strony leżały baterie St Dye, a głębiej w delcie rzeki, po drugiej stronie, znajdowała się forteca Blaye; czterdzieści ciężkich armat wycelowanych w stronę wejścia do kanału, a żadna z pięciu łodzi — a już na pewno nie jego — nie wytrzymałyby jednego ich pocisku.

Patrzył uważnie na kuter idący przed nimi. Na Soamesie spoczywała ogromna odpowiedzialność wprowadzenia łodzi do kanału, podczas gdy on miał iść jego śladem torowym — i to było wszystko, plus, złuzowanie tego marsla. Hornblower znowu poczuł, że drży.

Hales, ten co mówił, że czuje się dziwnie, wiosłował jako wzorowy; Hornblower z trudem rozróżniał jego ciemną postać chylącą się rytmicznie w przód i w tył w takt powolnych ruchów wiosła. Rzuciwszy na niego jedno spojrzenie, Hornblower nie zaprzętał sobie nim więcej głowy i dalej śledził kuter, gdy nagłe zamieszanie kazało mu zwrócić uwagę na to, co się działo w łodzi. Ktoś wypadł z rytmu wiosłowania, w rezultacie wszystkie sześć wiosła z cichym trzaskiem zderzyły się ze sobą.

— Hales, u diaska, uważaj, co robisz — syknął sternik Jackson z głęboką naganą w głosie.

W odpowiedzi Hales wydał z siebie nagły krzyk, na szczęście nie za głośny, i runął do stóp Hornblowera i Jacksona, kopiąc nogami i wijąc się w konwulsjach.

— Ten sukinsyn ma napad — zawołał Jackson.

Hales dalej wił się i kopał. Z ciemności doleciał ich przez wodę ostry gniewny szept.

— Panie Hornblower — przemówił głos — należał do Ecclesa, pytającego z najwyższym rozdrażnieniem sotto voce — czy nie może pan utrzymać swoich ludzi w spokoju?

Eccles podprowadził swoją szalupę prawie do burty łódki, żeby mu to powiedzieć, a konieczność zachowania absolutnej ciszy podkreślał w sposób dramatyczny fakt, że słowom jego nie towarzyszyło żadne przekleństwo; Hornblower wyobraził sobie surową naganę, jaką otrzyma jutro w obecności całej załogi na pokładzie rufowym. Otworzył usta, by wyjaśnić sprawę, lecz na szczęście przypomniał sobie w czas, że członkowie ekspedycji płynąc otwartymi łodziami w zasięgu dział forticy Blaye nie muszą dawać wyjaśnień.

— Tak jest, sir — szepnął w odpowiedzi i szalupa odeszła pełnić swą misję pasterza flotylli.

— Jackson, weźcie jego wiosło — szepnął rozwścieczony do sternika, a potem schylił się i pociągnął ku sobie wijącą się w skurczach postać, by dać Jacksonowi drogę.

— Sir, może polać go wodą? — powiedział Jackson przesuwając się na ławkę rufową. — Tam jest czerpak.

Woda morska to dla marynarza lekarstwo na wszystkie choroby; zważywszy, jak często marynarze miewają mokre nie tylko bluzy, ale i pościel, nie powinni chorować ani jednego dnia. Ale Hornblower zostawił chorego w spokoju. Kurcze kończyły się już, toteż nie chciał robić hałasu czerpakiem. Życie przeszło stu ludzi zależało od zachowania ciszy. Teraz, gdy weszli już dość daleko w głąb delty, znajdowali się w łatwym zasięgu dział brzegowych — a jeden wystrzał działa zaalarmowałby załogę „Papillona”, tak że zdążyłby przygotować się do obsadzenia nadburci i odparcia ataku, do zasypania podpływających gradem szrapneli.

Łodzie cicho wślizgiwały się w ujście rzeki; Soames na kutrze dyktował wolne tempo, pojedynczymi pociągnięciami wiosła zapewniając utrzymanie sterownej szybkości. Na pewno wiedział dobrze co robi; wybrał mroczne miejsce między mieliznami, praktycznie dostępne tylko dla małych łódek; miał też ze sobą dwudziestostopową tykę, którą sondował szybciej i ciszej, niżby to mógł robić przy pomocy ołowianki. Minuty upływały szybko, a mimo to noc była wciąż jeszcze absolutnie ciemna, bez żadnych objawów zbliżania się świtu. Chociaż Hornblower wyteżał wzrok, nie był pewny, czy widzi płaski brzeg po obu stronach. Trzeba byłoby kogoś z doskonałymi oczyma, aby z łądu mógł odkryć małe łodzie niesione pływem w górę.

Hales u jego stóp poruszył się raz i drugi. Szukając dłonią w ciemnościach natrafił na nogi Hornblowera i obmacywał je ciekawie, mruczając coś do siebie. Mruczenie to przeszło w jęk.

— Milczeć! — szepnął Hornblower, starając się wyrazić powagę sytuacji bez słów, które mogłyby zostać dosłyszane z pewnej odległości.

Hales oparł łokieć na kolanie Hornblowera i dźwignął się do pozycji siedzącej, a potem podniósł się i stał niepewnie, ze zgiętymi kolanami, opierając się o Hornblowera.

— Siadajże, u licha — syknął Hornblower, potrząsając nim z wściekłością i obawą.

— Gdzie Mary? — zapytał Hales normalnym tonem.

— Zamknij się!

— Mary! — powiedział Hales przechylając się na niego. — Mary!

Podnosił głos coraz bardziej. Hornblower czuł instynktownie, że za chwilę Hales zacznie mówić bardzo głośno, a może nawet krzyczeć. Z głębi mózgu wstawały wspomnienia dawnych rozmów z ojcem-lekarzem; przypominał sobie, że ludzie budzący się z ataku epileptycznego nie panują nad swymi ruchami i że mogą być, a często bywają niebezpieczni.

— Mary! — powtórzył Hales.

Zwycięstwo i życie setki ludzi zależało od uciszenia Halesa, i to natychmiast. Hornblower pomyślał o pistolecie u pasa i o użyciu kolby, ale miał przecież pod ręką dogodniejszą broń. Wyjął rumpel, kawałek litego drewna o długości trzech stóp, i machnął nim z siłą wzmożoną wściekłością i rozpaczą. Rumpel trzasnął w głowę Halesa, który urwał w pół słowa i upadł na dno łodzi. Załoga siedziała cicho, tylko Jackson wydał westchnienie — nie wiadomo, aprobaty czy dezaprobaty — ale Hornblower nie usłyszał, a nawet gdyby usłyszał, byłoby mu wszystko jedno. Zrobił, co do niego należało, tego był pewien. Zwalił z nóg bezbronnego idiotę, może go nawet zabił, ale efekt zaskoczenia, od którego zależał sukces wyprawy, nie został zniweczony. Włożył rumpel na miejsce i zaczął dalej w milczeniu obserwować ślad torowy gigu.

Daleko w przodzie — w ciemnościach trudno było oceniać odległość — przy samej powierzchni czarnej wody ciemność była jakby gęstsza. To mogła być korweta. Jeszcze tuzin cichych uderzeń wiosłami i już Hornblower był tego pewien. Soames dokonał wspaniałego wyczynu pilotażowego, doprowadzając łodzie wprost do celu. Kuter i szalupa odsuwały się w bok od gigów. Cztery łodzie rozchodziły się, gotowe przypuścić równoczesny atak.

— Basta! — szepnął Hornblower i załoga łódki przerwała pracę.

Hornblower pamiętał rozkaz. Miał czekać do chwili, gdy atakujący dostaną się na pokład. Dłoń jego zacisnęła się kurczowo na rumplu; zdenerwowanie towarzyszące unieszkodliwieniu Halesa odwróciło jego myśli od perspektywy wdrapywania się w ciemności na wanty obcego okrętu, ale teraz myśli te wróciły jeszcze natrętniej. Hornblower bał się.

Widział wprawdzie korwetę, lecz łodzie znikły, wyszły poza pole jego widzenia. Korweta jeździła na kotwicy, na nocnym niebie słabo rysowały się jej drzewca — to tam miał się wspiąć! Wydała mu się niezwykle wysoka. Tuż przy korwecie zauważył bryzg czarnej wody — łodzie podchodziły szybko i ktoś nieostrożnie pociągnął wiosłem. W tym momencie z korwety dobiegł krzyk, a gdy się powtórzył, zawtórowało mu echo setki głosów z łodzi odbijających do burt. Zgodnie z planem krzyczano długo. Zgiełk miał przerazić śpiącego wroga, a jego przeciąganie się miało być znakiem dla załóg w pozostałych łodziach, że atak się powiodł. Brytyjscy marynarze wyli jak potępieńcy. Błysk i huk z pokładu korwety oznajmił o wystrzeleniu pierwszego pocisku, a wkrótce z kilku miejsc na pokładzie odezwały się pistolety i muszkiety.

— Obie naprzód! — Hornblower rzucił rozkaz, jak gdyby wydarty z niego torturą.

Łódź ruszyła, a Hornblower usiłował opanować swoje uczucia i zorientować się, co się dzieje na pokładzie. Nie było powodu do wyboru tej czy innej burty, a ponieważ lewa była bliżej, skierował się ku jej ławom wantowym. Tak był pochłonięty tym, co robi, że dosłownie w ostatniej chwili przypomniał sobie o wydaniu rozkazu: „Wiosła złość!” Przełożył rumpel, łódka obróciła się i bosakowy zahaczył o korwetę. Z pokładu tuż nad nimi dobiegł hałas bardzo przypominający bębnienie druciarza o garnek — stojąc na ławie rufowej Hornblower notował w myśli ten dziwny dźwięk. Sprawdził, czy ma u boku kord, a za pasem pistolet, i dał szalonego susa w stronę ławy wantowej. Podciągnął się w górę. Chwycił się rękoma want, a stopami namacał wyblinki i zaczął pisać się w górę. Gdy wysunął głowę ponad poziom nadburcia i mógł już widzieć pokład, błysk pistoletu rozświetlił go nagle, utrwalając na moment, jak zdjęcie fotograficzne, toczącą się tam walkę. W przedzie, tuż pod nim, marynarz brytyjski wiódł zacięty pojedynek z oficerem francuskim i

w tej chwili Hornblower pojął, że odgłos przypominający walenie druciarza w garnek blaszany, który słyszał poprzednio, pochodził od uderzeń korda o kord — brzęk stali o stal, jak o tym piszą poeci. I na tym kończyła się analogia do romancy.

Zanim to sobie uświadomił, był już wysoko na wantach. Pod łokciem wyczuł podwantki, przerzucił się na nie i zawisł trzymając się konwulsyjnym uchwytem rąk, z palcami nóg wczepionymi w wyblinki. Wisiał tak przez dwie, może trzy desperackie sekundy, a potem podciągnął się na stenwanty i choć płuca pękały od wysiłku, rozpoczął końcowy etap wspinaczki. Oto reja marsla — Hornblower przewiesił się przez nią i szukał stopami perty. Litościwy Boże! Perty nie było — macając stopą w ciemności napotykał tylko na nie stawiające oporu powietrze. Wisiał sto stóp nad pokładem, miotając się i kopiąc nogami, jak niemowlę trzymane przez ojca w wyciągniętych ramionach. Nie było perty; być może przewidując taką okoliczność Francuzi zdjęli ją celowo. Nie ma perty, a więc nie mogą posuwać się dalej w stronę noku rei. Ale sejzingi musiały być zdjęte i żagiel zluzowany — wszystko zależało od tego. Hornblower widywał diabelnie odważnych marynarzy, biegających po rejach, jakby odbywali spacer po linie. Teraz to był jedyny sposób dotarcia do noku.

Przez chwilę nie mógł złapać oddechu; jego słabe ciało buntowało się przeciwko myśli o przejściu na stojąco po rei nad czarnym piekłem. To był strach, ten strach, który ukazuje w prawdziwym świetle ludzi jego pokroju, zamieniając ich krew w wodę, a członki w watę. Lecz jego wściekle aktywny mózg nie przestawał myśleć. Starczyło mu zdeterminowania, by rozprawić się z Halesem. Był odważny tam, gdzie nie szło o niego samego; nie zawahał się zdieścić z całą siłą nieszczęsnego epileptyka. Potrafił się zdobyć na ten nędzny rodzaj odwagi, lecz tam, gdzie chodziło o zwykłą dzielność fizyczną, zawodził na całej linii. To było tchórzostwo, o jakim mężczyźni rozmawiali ukradkowym szeptem między sobą. Nie mógł znieść myśli, że jest tchórzem — było to gorsze od wyobrażenia (choćby najokropniejszego), że spada w mroku nocy na pokład. Dysząc ciężko uklęknął na rei i podnosił się powoli, aż stanął wyprostowany. Stopami czuł pod płótnem żagla okrągłość drzewca i instynkt mówił mu, żeby nie zwlekał ani chwili.

— Za mną, chłopcy! — wrzasnął i ruszył pędem po rei. Od noku dzieliło go dwadzieścia stóp i odległość tę przebył w kilku szaleńczych skokach. Porzuciwszy wszelką ostrożność położył dłonie na rei, chwycił ją mocno, przewiesił się przez nią i rękami usiłował namacać sejzingi. Ze wstrząsu rei domyślił się, że Oldroyd, który miał iść za nim, spełnił rozkaz — miał do przejścia o sześć stóp mniej. Nie było wątpliwości, że pozostali członkowie załogi łodzi też są na rei i że Clough doprowadził ich do noku z prawej burty. Poznał to po szybkości, z jaką zluźnił się żagiel. Tuż przy nim był bras. Nie myśląc już wcale o niebezpieczeństwie, upojony podnieceniem i triumfem, uchwycił go oburącz i oderwał się od rei. Machając nogami trafił na linę, objął ją stopami i zaczął zjeżdżać w dół.

Cóż z niego za dureń! Czy nigdy nie nauczy się przezorności i rozsądku? Czy nie potrafi pamiętać, że nigdy nie wolno osłabiać czujności i ostrożności? Zaryzykował zjazd tak szybki, że lina zdzierła mu skórę z dłoni, a gdy próbował zacieśnić uchwyt i zwolnić posuwanie się w dół, poczuł taki ból, że musiał zsuwać się dalej, nie tak silnie trzymając się liny, która mimo to ściągała mu skórę z dłoni jak rękawiczki. Gdy poczuł pokład pod stopami i rozejrzał się dokoła, od razu zapomniał o bólu.

Zaczynało już szarzeć i odgłosy walki ucichły. Zaskoczenie zostało dobrze przygotowane — setka ludzi wdarłszy się błyskawicznie na pokład korwety zmiotła straż kotwiczną i opanowała okręt,

zanim wachta z dołu zdołała przybiec, aby stawić opór. Od strony boku nadbiegł wysoki głos Chadda.

— Lina przecięta, sir!

Wówczas Eccles ryknął od rufy:

— Panie Hornblower!

— Sir! — odkrzyknął Hornblower.

— Obsadzić fały!

Nadbiegli z pomocą marynarze — nie tylko z jego łodzi, wszyscy odważni i z inicjatywą. Obsadzili fały, szoty i brasy; obrasowany żagiel wypełniał się lekkim południowym wiatrem i „Papillon” obrócił się na kotwicy, gotowy do ruszenia, gdy tylko zacznie się odpływ. Zbliżał się świt, z lekką mgiełką nad powierzchnią wody.

Nagle nad prawą burtą rufową coś zawyło ponuro, a potem zamglone powietrze rozdarła seria piekielnych, nienaturalnie głośnych wrzasków. Pierwszy pocisk armatni, jaki Hornblower słyszał w swoim życiu, przelatował obok niego.

— Panie Chadd! Postawić kliwry! Zluzować fokmarsle! Niech kilku wejdzie na maszty i postawi stermarsel.

Druga salwa nadleciała od lewej burty dziobowej. Bateria w Blaye strzelała do nich z jednej strony, St. Dye z drugiej, gdy już się zorientowali, co zaszło na pokładzie „Papillona”. Lecz korweta szła szybko, niesiona wiatrem i prądem pływu, i trudno by ją było trafić w ledwie rozjaśniającym się mroku. Przedsięwzięcie było obliczone co do sekundy — najmniejsza zwłoka mogłaby się zakończyć fatalnie. Tylko jeden pocisk z następnej salwy dotarł nad korwetę, a jego przelot zaznaczył się głośnym wizgiem nad ich głowami.

— Panie Mallory, proszę spleść forszttag!

— Tak jest, sir!

Było już dosyć widno i można się było rozejrzeć po pokładzie; przy uskoku rufówki zobaczył Ecclesa kierującego manewrami korwety i Soamesa, który stojąc koło steru pilotował ją przez rozlewiska. Przy lukach trzymały straż dwa oddziały żołnierzy piechoty morskiej w czerwonych uniformach z bagnetami na sztyku. Na pokładzie leżało czterech czy pięciu ludzi w dziwnie niedbałych pozach. Zabici. Hornblower spoglądał na nich obojętnym okiem młodego człowieka. Lecz był tam również ranny, który jęcząc pochylał się nad swoim strzaskanym biodrem — na niego Hornblower nie potrafił patrzeć równie obojętnie, toteż rad był, być może tylko przez wzgląd na samego siebie, gdy któryś z marynarzy, otrzymawszy od Mallory'ego pozwolenie na zejście ze stanowiska, ruszył, by się nim zająć.

— Przygotować się do zwrotu przez sztag! — krzyknął Eccles od rufówki; korweta dotarła do

końca środkowej mielizny i miała wykonać zwrot, który wyniesie ją na pełne morze.

Marynarze pobiegli do brasów, a Hornblower zaczął ciągnąć wraz z nimi. Lecz pierwszy dotyk szorstkiej liny sprawił mu taki ból, że prawie krzyknął. Dłonie broczyły krwią, i teraz, gdy to zauważył, poczuł, że pieką go nie do zniesienia.

Płótna kliwrów poszły w górę, rozwinęły się i korweta zgrabnie wykonała zwrot. Ktoś zawołał:

— Tam jest nasza stara „Indy”!

Teraz już było widać wyraźnie „Indefatigable”, stojącą w dryfie tuż poza zasięgiem pocisków baterii brzegowych, gotową na rendez-vous ze swoim przemy. Rozległ się okrzyk, podjęty przez wszystkich, gdy jeszcze strzały z St. Dye, oddawane z najdalszego zasięgu, uderzały groźnie w wodę przy burcie. Hornblower w podnieceniu wyciągnął chusteczkę z kieszeni i usiłował owinać nią sobie dłoń.

— Czy pomóc panu, sir? — zapytał Jackson.

Jackson kiwał głową patrząc na żywe mięso.

— Był pan nieostrożny, sir. Trzeba było zsuwać się dłoń za dłonią — powiedział, gdy Hornblower wyjaśnił mu, jak powstała rana. — Przepraszam za moje słowa, sir, był pan bardzo nieostrożny. Ale wy, młodzi panowie, często tacy jesteście. Nie myślcie ani o swoim karku, ani o skórze, sir.

Hornblower podniósł wzrok na reję marsła widniejącą wysoko nad nimi i przypomniał sobie, jak po tym cienkim drzewcu szedł w ciemności do noku. Nawet teraz, z solidnym pokładem pod stopami, wzdrygnął się lekko na to wspomnienie.

— Przepraszam, sir. Nie chciałem pana urazić — odezwał się Jackson zawiązując węzełek. — No, zrobiłem, jak umiałem najlepiej, sir.

— Dziękuję wam, Jackson — rzekł Hornblower.

— Musimy zameldować o stracie łodzi, sir — dodał Jackson.

— Stracie?

— Nie była holowana przy burcie, sir. Widzi pan, nie zostawiliśmy tam nikogo. Wells miał zostać, sir, jeśli pan pamięta. Ale kazałem mu iść na maszty, jak zobaczyłem, że Hales nie może iść. Nie było nas za dużo do tej roboty. No i łódź oddryfowała, kiedy okręt robił zwrot.

— A co z Halsem? — spytał Hornblower.

— Był wtedy w łodzi, sir.

Hornblower obejrzał się na ujście Żyrondy. Gdzieś tam dryfuje łódź, a w niej leży Hales, może żywy, a może umarły. Francuzi go nie znajdują, lecz zimna fala żalu przygasiła uczucie triumfu w

sercu Hornblowera, gdy pomyślał o losie Halesa. Gdyby nie sprawa z Halesem, nie zdobyłby się (przynajmniej tak sądził), żeby ruszyć biegiem w stronę noku rei; w tej chwili zamiast pławić się w zadowoleniu z właściwego wypełnienia swojego zadania, byłby napiętnowany jako tchórz.

Jackson zauważył cień na jego obliczu.

— Niech się pan tak tym nie przejmuj, sir — rzekł. — Nic panu nie zrobią za utratę łodzi, ani dowódca, ani pan Eccles, może pan być spokojny.

— Nie myślałem o łodzi — odezwał się Hornblower. — Myślałem o Halesie.

— Och, o nim? — zdziwił się Jackson. — Nie ma co się nim trapić, sir. Z niego nigdy nie byłby marynarz.

Rozdział piąty

Człowiek, który widział Boga

Nad Zatokę Biskajską nadciągnęła zima. Po przesileniu zimowym wichury zaczęły dąć coraz gwałtowniej, zwiększając ogromnie trudy i niebezpieczeństwa, jakim musiała stawiać czoło brytyjska marynarka wojenna, kontrolująca wybrzeże Francji; lodowato mroźne wichury od wschodu, którym miotane sztormami okręty opierały się jak mogły, gdy bryzgi wody zamarzały na olinowaniu, a utrudzone kadłuby ciekły jak sita; wichury zachodnie, zmuszające okręty do uciekania od brzegu zawietrznego i szukania ryzykownego kompromisu między wysunięciem się w pełne morze na bezpieczną odległość i utrzymaniem pozycji, z której mogłyby zaatakować każdy statek francuski usiłujący wydostać się z portu. Lecz nękanie sztormami okręty były pełne udreńczonych sztormami ludzi, którzy tydzień za tygodniem i miesiąc za miesiącem musieli cierpieć ciągły chłód i wilgoć, solone pożywienie, nie kończący się trud, szarość i niedolę żywota na jednostkach floty blokadowej. Nawet na fregatach, tych oczach i pazurach blokady, trzeba było znosić nudę długich okresów z zakrytymi lukami i wodą ciekącą przez spojenia pokładu na głowy załogi, długie noce i krótkie dnie, przerywany sen i przy tym wszystkim niedostatek roboty.

Na „Indefatigable” również wyczuwało się nastrój nerwowości, z którego zdawał sobie sprawę nawet taki zwykły midszypmen jak Hornblower, lustrując ludzi ze swojej sekcji przed regularną cotygodniową inspekcją kapitańską.

— Styles, co z twoją twarzą? — zapytał.

— Czyraki, sir. Paskudna sprawa.

Wargi i policzki Stylelesa oblepione były plastrem w paru miejscach.

— Robisz coś na to?

— Pomocnik chirurga, sir, daje mnie na to te plajstry i powiada, że to się niedługo zagoi, sir.

— Bardzo dobrze.

Czy mu się zdawało, czy też w wyrazie twarzy ludzi stojących po obu stronach Stylesa było coś dziwnego? Czy nie uśmiechali się ukradkiem do siebie? Nie chichotali w mankiet? Hornblower ani myślał stać się przedmiotem drwin; nie było to wskazane z punktu widzenia dyscypliny — a gorzej byłoby, gdyby marynarze kryli sekret, o którym nie wiedzieli oficerowie. Jeszcze raz powiódł uważnym wzrokiem po szeregu. Styles stał jak pień drewniany, bez żadnego wyrazu na swojej smagłej twarzy; czarne loki nad uszami miał porządnie zaczesane i trudno było znaleźć w nim coś do zarzucenia. Lecz Hornblower czuł, że słowa, które zamienił z nim przed chwilą, rozśmieszyły sekcję, a to mu się nie podobało.

Po rozdzieleniu zadań zagadnął o to chirurga, pana Lowa, w mesie młodszych oficerów.

— Czyraki? Naturalnie, marynarze miewają czyraki. Solona wieprzowina i łupany groch dziewięć tygodni bez przerwy — czegoż innego można oczekiwać, jak nie czyraków? Czyraki — rozmaite wrzody, krosty, wszystkie plagi Egiptu.

— Ale na twarzach?

— Czemużby nie? Na własnej skórze przekona się pan, że zdarzają się i w innych miejscach.

— Czy pański pomocnik robi coś na to? — nalegał Hornblower.

— Oczywiście.

— Co to za jeden?

— Muggridge.

— Tak się nazywa?

— To dobry felczer. Niech mu pan każe zrobić dla siebie przeczyszczający napar senesu, a sam pan zobaczy. Właściwie to powinienem go panu przepisać — wygląda pan na bardzo zdenerwowanego, młody człowieku.

Pan Low dokończył swojej szklaneczki rumu i waleniem w stół przywoływał stewarda. Hornblower pomyślał, że miał szczęście, zastając Lowa na tyle trzeźwym, żeby wyciągnąć z niego chociaż te informacje. Wszedł na sternmars, aby tam przemyśleć w samotności całą sprawę. To było jego nowe stanowisko; w momentach, gdy marynarze schodzili na dół, można było znaleźć tam cudowne odosobnienie — rzecz, o którą trudno było na zatłoczonej „Indefatigable”. Owinięty w kurtę Hornblower siedział na sternmarsie; nad nim top stengi zakreślał nieregularne koła na szarym niebie, opodal stenwanty jęczały ciężko wśród huku wichury, a pod nim, na okręcie kołyszącym się wzdłużnie i na boki i zdążającym na północ pod ciasno zrefowanymi marslami, życie toczyło się swoim torem. O ósmym dzwonie zawrócą na południe, kontynuując nieustanną służbę patrolową. Do tego czasu Hornblower był wolny i mógł rozmyślać nad czyrakami na twarzy Stylesa i skrywanymi uśmiezkami na obliczach pozostałych marynarzy z jego sekcji.

Dwie ręce pojawiły się na mocnej drewnianej balustradzie marsa i gdy Hornblower patrzył na nie z niechęcią, bo przerwane zostało jego rozmyślanie, czyjaś głowa wysunęła się wyżej. Był to Finch,

jeszcze jeden z sekcji Hornblowera, mały człowieczek kruchej budowy z przerzedzonymi włosami i bladoniebieskimi oczyma. Uśmiechnął się głupawo, gdy rozczarowany zajęty już miejscem na sternarsie rozpoznał Hornblowera.

— Przepraszam, sir — rzekł. — Nie miałem najmniejszego pojęcia, że pan jest tutaj.

Finch zawisł niewygodnie, plecami w dół, w trakcie przechodzenia z podwantek na mars i każdy przechył groził mu spadnięciem.

— Och, wejdźcie tu, jeśli macie ochotę — powiedział Hornblower, klnąc w duchu swoje miękkie serce. Pomyślał, że oficer przestrzegający dyscypliny kazałby Finchowi wracać tam, skąd przyszedł, i nie zwracałby sobie nim głowy.

— Dziękuję, sir, dziękuję — odpowiedział Finch, przerzucając nogę przez balustradę i czekając, aż przechył okrętu wrzuci go na mars.

Przykucnął, żeby pod dolnym brzegiem sternarsła spojrzeć na top grotmasztu, a potem odwrócił się i uśmiechnął rozbijając do Hornblowera, jak dziecko schwyte na małej psocie. Hornblower wiedział, że Finch ma coś z głową nie w porządku — docierające wszędzie oddziały werbunkowe wygarniały idiotów i szcury lądowe, żeby uzupełnić załogi na okrętach — chociaż marynarzem był dobrym i umiał stawiać żagle, refować i sterować. Ten uśmiech zdradził go.

— Tu lepiej jak na dole — odezwał się Finch, jakby się tłumacząc.

— Macie rację — odparł Hornblower obojętnym tonem, żeby go zniechęcić do dalszej rozmowy.

Odwrócił się, ignorując Fincha, oparł się znów wygodnie plecami i czekał, aż ciągle kołysanie się marsa pograży go w półśnie. Ale to nie było takie łatwe, bo Finch był ruchliwy jak wiewiórka w klatce; spoglądał w stronę dziobu, zmieniał pozycję i wciąż przerywał Hornblowerowi tok jego myśli, marnując minuty jego tak cennej półgodzinnej swobody.

— Co, u diabła, z wami, Finch? — mruknął wreszcie ostro, straciwszy zupełnie cierpliwość.

— Diabeł, sir? — powiedział Finch. — To nie diabeł. Za przeproszeniem pańskim, sir, tu jego nie ma.

I znów ten lekki, tajemniczy uśmieszek, jak u niegrzecznego dziecka. Te dziwne błękitne oczy kryły jakieś tajemnice. Finch znowu zajrzał pod sternarsel, jak malec bawiący się w „a kuku”.

— Tam! — zawołał — sir, tą razą jego zobaczyłem. Bóg wrócił z powrotem na grotmars, sir.

— Bóg?

— No przecie mówię, sir. Czasami On tam siedzi na grotmarsie. Przeważnie jest tam, sir. Teraz Go żem zobaczył, broda się Jemu tak rozwiewa na wiatrze. Tylko stąd, tutaj, można Jego widzieć.

Cóż powiedzieć człowiekowi, który miewa takie zwidzenia? Hornblower zastanawiał się i nic nie

umiał wymyślić. Finch jakby zapomniał o jego obecności i znowu spoglądał pod dolny brzeg sternarsła.

— Jest! — mówił do siebie. — Jest tam znowuż. Bóg na grotmarsie, a diabeł w komorze liny kotwicznej.

— Tak też powinno być — mruknął Hornblower cynicznie do siebie. Nie miał wcale zamiaru wyśmiewać się z przywidzeń Fincha.

— Diabeł wchodzi do komory liny kotwicznej, kiedy są wachty łamane[6] — mówił Finch w przestrzeń. — A Bóg to zawsze jest tu, na grotmarsie.

— Ciekawy rozkład wacht — skomentował Hornblower pod nosem.

Z pokładu doleciały pierwsze uderzenia ośmiu dzwonów, w tej samej chwili rozświetlały się gwizdki i rozległ się ryk bosmana Waldrona.

— Wywołać wachtę z dołu! Cała załoga do zwrotu przez rufę! Cała załoga! Cała załoga! Hej, żandarmie, zapiszcie nazwisko tego, co przyjdzie ostatni. Cała załoga!

Krótką chwilą spokoju, zakłóconego zresztą przez Fincha, skończyła się. Hornblower przerzucił nogi przez balustradę i uchwycił się podwantek; nie wypadało mu korzystać z łatwego zejścia przez przełaz marsa, szczególnie gdy mógł go zobaczyć pierwszy oficer i zwymyślać za takie niemarynarskie zachowanie. Finch odczekał, aż Hornblower zejdzie z marsa, ale nawet z takim wyprzedzeniem prześcignął go w schodzeniu na pokład, bo Finch, będąc wytrawnym marynarzem, zjechał w dół po wantach z łatwością małpy. Potem pamięć o dziwnych przywidzeniach Fincha utonęła w wirze zajęć związanych ze zmianą kursu okrętu.

Po jakimś czasie jednak Hornblower wrócił myślami do dziwacznych słów Fincha. Nie ulegało wątpliwości, że Finch wierzył mocno, iż widział to, o czym mówił. Świadczyły o tym zarówno jego słowa, jak i wyraz twarzy. Wspomniał o brodzie pana Boga — szkoda, że nie zdążył opisać diabła w komorze. Rogi, kopyta z podkowami i widły? — zastanawiał się Hornblower. I czemuż to diabeł buszował w komorze linowej tylko podczas wacht łamanych? Dziwna rzecz, że musiał trzymać się rozkładu wacht. Hornblower wstrzymał oddech na myśl, która nagle przyszła mu do głowy, że może istnieć na to jakieś wyjaśnienie natury ziemskiej. Diabeł buszuje w komorze w czasie wacht łamanych w znaczeniu przenośnym. Dlatego że wtedy dzieją się tam jakieś diabelskie sprawy. Hornblower musiał zdecydować, co jest jego obowiązkiem i więcej, co powinien zrobić w takim wypadku. Mógł donieść o swych podejrzeniach pierwszemu oficerowi Ecclesowi, ale po roku służby nie miał żadnych złudzeń, co się dostanie młodszemu midszypmenowi zawracającemu głowę zastępcy dowódcy nieuzasadnionymi podejrzeniami. Musi raczej sam się wpierw zorientować. Nie wiedział, co tam zastanie — jeśli w ogóle coś wykryje — a nawet jeśli tak, to jak ma wówczas postąpić? Gorzej, nie wiedział nawet, czy potrafi poradzić sobie z tą sprawą, jak przystało na oficera. Mógł sam wyjść na durnia. Mógł zachować się niewłaściwie, skompromitować się, stać się pośmiewiskiem, narazić na szwank dyscyplinę okrętową, osłabiając wątłą nić lojalności łączącą oficerów z załogą, tę dyscyplinę, która kazała trzystu ludziom spełniać każdy rozkaz dowódcy, znosząc niewypowiedziane trudy bez sprzeciwu, dzięki której byli gotowi oddać życie na jedno

skinienie. Gdy osiem dzwonów oznajmiło koniec wachty popołudniowej i początek pierwszej wachty łamanej, Hornblower z drżeniem zszedł na dół, by wstawić świeczkę do latarni i udać się na dziób do komory.

Było tam ciemno, duszno i smrodliwie, za każdym przechylem okrętu potykał się o różne przeszkody, które hamowały posuwanie się. W końcu ujrzał słabe światło i usłyszał głosy ludzkie. Zdławił nagłą obawę, że może przygotowuje się bunt. Przysłonił dłonią szybkę latarni i podpełzł bliżej. Dwie latarnie zwisały z niskich belek pokładowych, pod nimi siedziało w kucki ze dwudziestu ludzi — nawet więcej niż dwudziestu — gwar ich rozmowy, głośny, choć niewyraźny, dobiegł do uszu Hornblowera. Potem hałas wzmógł się i przeszedł w ryk, ktoś podniósł się nagle ze środka koła i wyprostował na tyle, na ile pozwalały na to belki pokładu. Rzucił się gwałtownie na boki nie wiadomo czemu; był odwrócony tyłem, lecz Hornblowera zatkało, gdy zauważył, że ma ręce skrepowane na plecach. Marynarze znów zawyli jak widzowie na meczu, a człowiek ze związanymi rękami zatoczył się i Hornblower mógł zobaczyć jego twarz. To był Styles, ten z czyrakami. Hornblower poznał go od razu. Ale nie to wstrząsnęło nim najbardziej. W twarz Stylesa wczepiony był jakiś szary skręcający się kształt, słabo widoczny w mdłym świetle, i Styles miotał się tak gwałtownie właśnie dlatego, żeby go strząsnąć z siebie. To był szczur. Hornblower poczuł, że robi mu się mdło z obrzydzenia.

Gwałtownym wstrząsem głowy Styles zrzucił szczura na ziemię, a potem osunął się błyskawicznie na kolana i z rękami wciąż związanymi, pochylił się, aby złapać go zębami.

— Czas! — rozległ się w tym momencie czyjś doniosły głos — to było głos Partridge'a, zastępcy sternika. Tylekroć budził on Hornblowera, że rozpoznał go od razu.

— Pięć trupów — odezwał się ktoś inny. — Jest na czysto, a może i coś zarobił.

Hornblower wychylił się do przodu. Część liny kotwicznej zwinięto tak, że utworzyła „arenę” o średnicy dziesięciu stóp, w której kłęczał Styles wśród martwych i żywych jeszcze szczurów. Partridge siedział w kucki przy zaimprovizowanym ringu, trzymając przed sobą klepsydrę używaną przy rzucaniu logu.

— Sześć trupów — zaprotestował ktoś. — Ten też jest gotów.

— Nie, on żyje.

— Ma przetrącony grzbiet. Liczy się za trupa.

— Wcale się nie liczy za trupa — zdecydował Partridge.

Ten, który protestował, podniósł wzrok w górę w tym momencie i zauważył Hornblowera, a słowa zamarły mu na ustach. Gdy zamilkł, inni poszli za jego spojrzeniem i zeszywnieli. Hornblower postąpił naprzód, wciąż zastanawiając się, co robić; walczył jeszcze z mdłościami wywołanymi przerażającym obrazem, który tu zobaczył. Rozpaczliwie opanował wstręt i przemyślawszy rzecz błyskawicznie zdecydował uciec się do przepisów o dyscyplinie.

— Kto tu jest odpowiedzialny? — zapytał władczy tonem.

Przebiegł oczyma po zebranych. Głównie podoficerowie, zwykli i z patentami drugiej klasy, zastępcy sternika, pomocnicy cieśli okrętowego. Felczer Muggridge — jego obecność wiele wyjaśniała. Ale sytuacja Hornblowera nie była łatwa. Na okręcie autorytet midszypmena z krótkim stażem służbowym zależał w znacznym stopniu od jego osobowości. Sam był przecież oficerem tylko na podstawie patentu; właściwie z punktu widzenia interesów okrętu midszypmen był znacznie mniej ważny i dużo łatwiejszy do zastąpienia niż na przykład ten tam Washburn, pomocnik bednarza, który wiedział wszystko o wyrobie i magazynowaniu okrętowych beczulek na wodę.

— Kto jest tu odpowiedzialny? — powtórzył, ale znów nie otrzymał bezpośredniej odpowiedzi.

— Nie jesteśmy na wachcie — odezwał się ktoś z tyłu.

Hornblower już zupełnie opanował odrazę; wrzał jeszcze w duchu oburzeniem, lecz na zewnątrz wyglądał spokojnie.

— Nie, nie jesteście na wachcie — stwierdził chłodno. — Oddajecie się hazardowi.

Muggridge wystąpił z obroną.

— Hazard, panie Hornblower? — rzekł. — To bardzo ciężki zarzut. Po prostu dżentelmeńskie zawody. Będzie panu trudno u-udowodnić nam hazard.

Było rzeczą jasną, że Muggridge pił, idąc być może za przykładem swego szefa. W schowku z medykamentami zawsze było coś mocniejszego do wypicia. Hornblowera ogarnęło oburzenie. Z ogromnym trudem opanował drżenie na tyle, by stać nieruchomo, lecz wzbierający w nim gniew pobudził jego inwencję.

— Panie Muggridge — rzekł lodowatym tonem. — Radzę, aby pan nie mówił za dużo. Mogę bowiem, panie Muggridge, wystąpić z innymi zarzutami. Członek sił zbrojnych jego królewskiej mości, panie Muggridge, może być oskarżony o doprowadzenie siebie do stanu niezdolności do służby. Czy też o pomoc lub podjudzanie, a to można by zarzucić **panu**. Na pańskim miejscu, panie Muggridge, zajrzałbym do Kodeksu Wojennego. Jak wiem, za takie przestępstwo skazuje się na chłostę na oczach całej załogi.

Hornblower wskazał na Stylesa, któremu krew ciekła z pogryzionej twarzy, i tym gestem podkreślił wagę swoich słów. Na argumenty marynarzy odpowiedział argumentem mocniejszym z tej samej beczki; próbowali zasłaniać się literą prawa, a on ich pobił tą samą bronią. Był teraz górą i mógł dać upust swemu moralnemu oburzeniu.

— Mógłbym wystąpić z oskarżeniem przeciw wam wszystkim — grzmiał. — Moglibyście stanąć przed sądem wojennym — narazić się na degradację — chłostę — każdy jeden z was. Na Boga, Partridge, jeszcze jedno takie spojrzenie, a uczynię to. Pomówię z panem Ecclesem i w pięć minut zostaniecie wszyscy zakuci w żelazo. Nie zniosę więcej tych obrzydliwych zabaw. Słuchaj, Oldroyd, i ty Lewis, wypuście te szczury. Styles, zalep sobie z powrotem twarz plastrem. A wy, Partridge,

weźcie tych ludzi i zwińcie porządnie linę, zanim to zobaczy pan Waldron. Na przyszłość będę miał oko na was wszystkich. Jeszcze jedno wykroczenie, a każdy z was otrzyma chłostę. Tak powiedziałem i Bóg mi świadkiem, nie mówię tego na wiatr!

Hornblower był zaskoczony swoją wymownością i opanowaniem. Nie wiedział, że potrafi być taki twardy. Szukał w myśli końcowego zwrotu, który pomógłby mu oddalić się z godnością, i przyszedł mu taki do głowy, gdy już odchodził, musiał się więc odwrócić, żeby go wypowiedzieć.

— Po tym wszystkim w czasie wacht łamanych chcę was widzieć zabawiających się na pokładzie, a nie ukrytych w komorze linowej, niczym banda Francuzów.

W ten sposób mógłby przemawiać stary pompatyczny kapitan, a nie młodszy midszypmen, lecz on chciał wycofać się z honorem. Po jego odejściu podniósł się gwar głosów. Hornblower udał się na pokład, pod niewesołe, szare niebo, pociemniałe od przedwcześnie zapadającej nocy, żeby rozgrzać się chodzeniem, a „Indefatigable” przebijała się pod wichurę wiejącą z zachodu z taką siłą, że woda bryzgała na żagle dziobowe, naprężone spoiny przeciekały, a kadłub stękał od wysiłku; koniec dnia podobny do poprzednich i pewnie zwiastun wielu podobnych.

Jednakże dni upływały i któryś z nich przyniósł wreszcie przerwę w tej monotonii. O mrocznym ranku ochryple wołanie z salingu zwróciło wzrok wszystkich na nawietrzną, tam gdzie ciemna plamka na horyzoncie wskazywała obecność statku. Wachta biegiem ruszyła do brasów, by ustawić „Indefatigable” możliwie jak najbliżej wiatru. Kapitan Pellew wyszedł na pokład w kurtce narzuconej na nocną koszulę, z głową bez peruki zabawnie wyglądającą w różowej szlafmocy, i skierował lunetę na obcy statek — tuzin innych lunet było zwróconych w tamtą stronę. Hornblower, patrząc przez lunetę przeznaczoną dla młodszego oficera wachtowego, dojrzał, jak szary prostokąt rozpada się na trzy części, które najpierw zwężyły się, a potem znów poszerzyły, żeby zlać się z powrotem w jeden kształt.

— Zrobili zwrot przez sztag — stwierdził Pellew. — Załoga do zwrotu okrętu!

„Indefatigable” zawracała na przeciwny hals; wachta wbiegła na wanty odrefować marsie, a z pokładu oficerowie obserwowali naprężające się płótna, oceniając siłę wyjącej im w uszy wichury, która to rozdzierała jakiś żagiel, to porywała któreś drzewce. „Indefatigable” przechylała się, że aż trudno było ustać na sphywającym wodą pokładzie; wszyscy, którzy nie mieli w tej chwili określonego zajęcia, stali przy poręczy burty nawietrznej i patrzyli na obcy statek.

— Stengi fokmasztu i grotmasztu zupełnie równe — powiedział do Hornblowera porucznik Bolton z teleskopem przy oczach. — Marsie białe, jak paluszki damy. To francuzik.

Żagle okrętów brytyjskich były pociemniałe od długiej służby przy wszelkich rodzajach pogody; gdy francuz wymknął się z portu w zamiarze przerwania blokady, jego czyste żagle, bez plam, zdradzały przynależność narodową okrętu, tak że nie było potrzeby zastanawiać się nad mniej oczywistymi szczegółami natury technicznej.

— Zachodzimy go od nawietrznej — zauważył Hornblower. Oczy bolały go od wpatrywania się przez lunetę, a w rękach czuł jej ciężar, lecz ogarnięty podnieceniem wywołanym przez pościg nie

mógł się odprężyć.

— Nie na tyle, ile bym chciał — burczał Bolton.

— Marynarze do grotabrasu! — zawołał Pellew w tym momencie.

Było rzeczą niezwykle ważną tak obrasować żagle, aby okręt szedł jak najbliżej wiatru; w pościgu fordewindem sto jardów zyskane ku nawietrznej liczyło się tyle co mila. Pellew spojrział na ożaglowanie, przeniósł wzrok na uciekający szybko ślad torowy, a potem na okręt francuski, obliczając w myśli siłę wiatru, oceniając jego nacisk na takielunek, czyniąc wszystko, co mu dyktowało wiele lat doświadczenia, aby zlikwidować dystans między obydwoma okrętami. Na jego następny rozkaz cała załoga rzuciła się przetaczać działa na burtę nawietrzną; miało to częściowo przeciwdziałać przechyłowi i zapewnić „Indefatigable” lepsze trzymanie się wody.

— Teraz go dochodzimy — zauważył Bolton z umiarkowanym optymizmem.

— Bić w bębny na alarm bojowy — rozkazał Pellew.

Okręt spodziewał się tego rozkazu. Grzmot bębnow, w które walili dobosze z piechoty morskiej, odbił się echem po pokładach; bębnom zawtórował świergot gwizdków bosmańskich i marynarze sprawnie rozbiegli się na stanowiska. Hornblower skacząc na reje sterzągła po nawietrznej widział kilka rozradowanych twarzy — bitwa i towarzysząca jej groźba śmierci stanowiły pożądaną dystrakcję w monotonii blokady. Znalazłszy się na sternarskiej popatrzył na swoich ludzi. Odsuwali rygle muszkietów i sprawdzali, jak są załadowane prochem; zadowolony z ich gotowości do boju Hornblower przeniósł uwagę na działko obrotowe, ściągnął brezentową osłonę z zamka i wyjął czop zatykający lufę; odrzucił mocujące liny i sprawdził, czy mechanizm obrotowy i czopy obracają się swobodnie w swoich gniazdach. Jednym szarpnięciem sznura do odpalania sprawdził, że zamek dobrze iskrzy, że nie trzeba zakładać nowego krzemienia. Finch wdrapywał się na mars z pasem ładunków do działka, przewieszonym przez ramię, woreczki z kulami do muszkietów leżały gotowe w przymocowanym do balustrady pojemniku. Finch przybił ładunek w krótkiej lufie. Hornblower ułożył na wierzchu kule z przygotowanego już przedtem worka, następnie wziął tulejkę detonatora i wcisnął ją do otworu tak nim manipulując, aby ostry kolec przebił woreczek z ładunkiem zrobiony z cienkiej tkaniny. Stosowanie tulejki zapłonowej i zanika skałkowego było konieczne tu, na marsie, gdzie nie można było używać wolno tłącego się lontu ani przewodu ogniowego wobec niebezpieczeństwa pożaru, który na masztach i żaglach byłby trudny do opanowania. A przecież ostrzał z muszkietów i działka obrotowego z tego miejsca na marsie był bardzo ważnym elementem taktyki bojowej. W razie zetknięcia się okrętów reja w reję ludzie Hornblowera mogli oczyścić nieprzyjacielski pokład rufowy, ten mózg przeciwnika i jego ośrodek dowodzenia.

— Dość tego, Finch! — powiedział Hornblower ze złością. Obracając działko zobaczył, że Finch zerka na grotmars. W momencie tak silnego napięcia przywidzenia Fincha zirytowały go.

— Przepraszam, sir — odparł Finch, wracając do swoich obowiązków. Ale w chwilę później Hornblower usłyszał, jak Finch mruczy do siebie.

— Jest tam pan Bracegirdle i Oldroyd, i cała reszta. Ale **On** też tam jest, **On** też.

— Załoga do zwrotu przez sztag! — doleciał rozkaz z pokładu.

Stara „Indefatigable” obracała się z jękiem rei ciągnionych przez brasy. Okręt francuski uczynił odważną próbę ostrzelania nieprzyjaciela ogniem flankowym, gdy ten chwycił go już w swe pazury, lecz błyskawiczny manewr Pellewa pokrzyżował ten plan. Obie jednostki szły teraz fordewindem burta w burtę w odległości długiego strzału armatniego.

— Popatrzcie tylko na niego! — krzyknął Douglas, jeden z muszkieterów na marsie. — Po dwadzieścia armat z każdej burty. Wygląda na dosyć mocnego, co?

Stojąc obok Douglasa Hornblower widział w dole pokład francuza, z wytoczonymi działami i obsługą skupioną wokół nich, oficerów odzianych w białe bryczesy i niebieskie mundury, chodzących tam i z powrotem, bryzgi wody lecące spod dziobu gnającego fordewindem okrętu.

— Będzie wyglądać jeszcze mocniej, jak go zabierzemy do cieśniny Plymouth — zauważył marynarz stojący opodal Hornblowera.

„Indefatigable” była nieco szybsza, kilka ruchów sterem w prawo podprowadziło ją bliżej do nieprzyjaciela, na odległość decydującą, nie dając francuzowi możliwości zajścia jej drogi. Hornblower był zaskoczony ciszą na obu burtach, zawsze mu się wydawało, że Francuzi lubią otwierać ogień z długiego dystansu i marnować pierwszą starannie załadowaną salwę burtową.

— Kiedyż on zacznie strzelać — pytał Douglas, wtórując myślom Hornblowera.

— W swoim odpowiednim czasie — zpiszczał Finch.

Skrawek wzburzonej wody dzielący oba okręty zwiężał się. Hornblower obrócił działko i popatrzył przez celownik. Wycelował w pokład rufowy francuza, lecz odległość była zbyt duża na kule muszkietowe — zresztą nie ośmielił się otwierać ognia bez pozwolenia Pellewa.

— Tam jest cel w sam raz dla nas — powiedział Douglas wskazując na sternars francuza.

Mundury i pasy skrzyżowane przez pierś wskazywały, że są tam żołnierze; Francuzi często łatali wojskiem szczupłe szeregi doświadczonych marynarzy; w brytyjskiej marynarce wojennej żołnierzy piechoty morskiej nigdy nie zatrudniano na masztach. Francuzi zauważyli ten gest i potrzęsneli pięściami, a znajdujący się wśród nich młody oficer wydobył szpadę i zaczął nią wywijać nad głową. W sytuacji, gdy — jak teraz — oba okręty szły równolegle do siebie, francuski sternars był dla Hornblowera szczególnie łatwym celem, gdyby zdecydował uciszyć obstrzał z niego, zamiast ostrzeliwać pokład rufowy. Patrzył z ciekawością na ludzi, których miał uśmiercić. Tak go to zaabsorbowało, że huk armatni zaskoczył go. Zanim zdążył przenieść wzrok w dół, na pokład, przebrzmiała nierówna salwa burtowa z francuza, a w chwilę później wystrzał ze wszystkich dział wstrząsnął „Indefatigable”. Wiatr odwiewał dym w stronę dziobu, tak że na sternarsie nie czuli go wcale. Hornblower zobaczył zabitych na pokładzie „Indefatigable”, trupy walące się na pokład francuza. Jednak dystans był za duży jak na jego oko, musiałyby to być bardzo daleki strzał z muszkietu.

— Strzelają do nas, sir — odezwał się Herbert.

— Niech strzelają — odparł Hornblower.

Nie było mowy, aby kula z muszkietu wystrzelona na tę odległość z kołyszącego się marsa była celna — to było oczywiste — tak oczywiste, że nawet Hornblower, przy całym swym rozgorączkowaniu, nie mógł nie zdawać sobie z tego sprawy, co dało się odczuć w tonie jego odpowiedzi. Ciekawa rzecz, jak te dwa spokojnie wypowiedziane słowa ostudziły podniecenie marynarzy. W dole działa huczały nieprzerwanie, a okręty zbliżały się coraz bardziej do siebie.

— Teraz! Otworzyć ogień! — rozkazał Hornblower. — Finch!

Popatrzył przez krótką lufę działka obrotowego. W nierównym karbie muszki o kształcie litery V zobaczył ster francuza, u steru dwóch marynarzy, a obok dwóch oficerów. Szarpnął za sznur. Po ułamku sekundy rozległ się huk działa. Jeszcze zanim dym skłębił się wokół niego, poczuł, że tulejka zapłonowa wyrzucona z otworu przeleciała obok skroni. Finch przeciągał już wycior przez lufę armatki. Kule muszkietowe musiały się źle rozprysnąć, upadł tylko jeden sternik, i ktoś ruszył zaraz, by go zastąpić. W tym momencie cały mars zachwiał się niebezpiecznie. Hornblower poczuł to, ale nie umiał sobie wyjaśnić przyczyny. Zbyt wiele działa się naraz. Solidny kawał drewna, na którym stał, zatrzęsł się pod nim — pewnie pocisk trafił w stermaszt. Finch przybijał ładunek; coś silnie uderzyło w zamek działka, zostawiając na metalu jasny ślad — kula z muszkietu wystrzelona ze sternarsa francuza. Hornblower starał się zachować przytomność umysłu; wziął drugą zaostrzoną tulejkę i wsunął ją do otworu. Trzeba to było robić pewnie, lecz delikatnie; gdyby w trakcie wprowadzania do otworu tulejka pękła, byłby z tego nie lada kram. Poczuł, że koniec tulejki przebija ładunek. Finch dobił kule muszkietowe przybitką. Jakiś pocisk uderzył w balustradę obok Hornblowera, ale on, zajęty nastawianiem działa na cel, nie zwrócił na to uwagi. Mars kołysał się silniej, niżby to usprawiedliwiał stan wzburzonego morza. Nieważne. Musi trafić w pokład rufowy nieprzyjaciela. Pociągnął za sznur. Widział, jak ludzie padali. Zobaczył jeszcze obracające się luźno szprychy koła sterowego, gdy zginęła obsługa steru. A potem oba okręty zderzyły się z piekielnym trzaskiem i świat zamienił się w chaos, przy którym wszystko, co działo się dotąd, wydawało się porządkiem.

Maszt walił się. Mars zatoczył łuk, który mógł przyprawić o zawrót głowy, i Hornblower miał szczęście, że uchwyciwszy się czopu nie został wyrzucony jak kamień z procy. A potem obrócił się nagle. Maszt z wantami zestrzelonymi z jednej burty, trafiony w sam środek przez dwa pociski, z dział, chwiał się i groził runięciem. Wreszcie szarpnięty szlagami sternarsa przechylił się na dziób, inne wanty ciągnęły go na prawą burtę, a kiedy pękły paduny, wiatr w marszałgu dokonał dzieła zniszczenia. Maszt z trzaskiem zwałił się na dziób; stenga zahaczyła o grotreję i cała konstrukcja zawisała na niej, nie zdążywszy rozpaść się na części składowe. Dolny koniec złamanego masztu musiał się przez chwilę opierać o pokład: dyby i wzdłużnice ciągle jeszcze wiązały maszt i stengę w jedną całość, chociaż trudno byłoby powiedzieć, czemu stenga nie wyskoczyła jeszcze z dyb. Dopóki dolny koniec masztu opierał się niepewnie o pokład dolny, a stenga o grotreję, Hornblower z Finchem mieli jeszcze szansę na ocalenie, lecz jakiś ruch okrętu, jeszcze jeden strzał z francuza lub pęknięcie ponad miarę obciążonego materiału mogło tę szansę zniweczyć. Maszt mógł ześliznąć się na zewnątrz, stenga mogła pęknąć, dolny koniec masztu mógł przesunąć się dalej po pokładzie — musieli się ratować, póki czas. Stenga grotmasztu z całym jej takielunkiem przedstawiała także obraz

kompletnego zniszczenia. Zwaliła się i zawisała z drzewcami, żaglami i linami splątanymi w jeden potworny kłęb. Stermarsel oderwał się. Hornblower napotkał wzrokiem spojrzenie Fincha; obaj przywarli do działka obrotowego, poza nimi nie było nikogo na ostro przechylonym marsie.

Wanty sterstengi z prawej burty, ocalałe jakimś cudem, podobnie jak stenga, opierały się o grotreję, napięte jak struny, a grotreja naciągała je podobnie jak mostek naciąga struny smyczka. Lecz po tych wantach wiodła jedyna droga do ocalenia — stroma droga z niebezpiecznego miejsca na marsie do względnego bezpieczeństwa na grotrei.

Maszt ślizgając się po pokładzie zaczął sunąć w stronę końca rei. Nawet jeśli grotreja wytrzyma, stermaszt znajdzie się za chwilę w morzu. Wokół nich panował huk i zgiełk — trzaskały drzewca, pękały liny, działa wciąż biły i wydawało się, że na pokładzie wszyscy krzyczą i wyją.

Mars znowu zakołysał się groźnie. Dwie stenwanty pękły od naprężenia, wydając odgłos wyraźnie słyszalny w panującym wokoło szumie, a gdy puściły, maszt wykreślił się gwałtownie, wychylając jeszcze dalej na zewnątrz stermars, działko obrotowe i obu uczeponych go nieszczęśników. Szeroko rozwarte niebieskie oczy Fincha szły za ruchem marsa. Później Hornblower zdał sobie sprawę, że walenie się masztu nie trwało dłużej niż kilka sekund, lecz w tej chwili wydawało mu się, że ma długie minuty do namysłu. Tocząc podobnie jak Finch wzrokiem wokoło zobaczył szansę ratunku.

— Grotreja! — krzyknął.

Finch uśmiechał się głupkowato. Chociaż instynktownie trzymał się mocno działka obrotowego, nie wyglądało na to, żeby się bał albo chciał szukać ocalenia na grotrei.

— Finch, ty durniu! — wołał Hornblower.

Uczepił się desperacko kolanem czopa i uwolnił rękę, by go przywołać gestem, ale Finch trwał dalej w bezruchu.

— Skacz, u diabła! — wściekał się Hornblower. — Wanty — reja. Skacz!

Finch tylko się uśmiechał.

— Skacz na grotmars! O Chryste! — W tym samym momencie przyszła mu do głowy zbawcza myśl. — Grotmars! Finch, tam jest Bóg! Spiesz do Boga, prędko!

Słowa te dotarły do skołowanego mózgu Fincha. Skinął głową z nieziemskim, wzniosłym wyrazem twarzy. Puścił czop działka i skoczył w przestrzeń, jak żaba. Zawisł na stenwantach stermasztu i zaczął piąć się po nich. Maszt zakołysał się znowu, i Hornblower musiał teraz wykonać dłuższy skok, by się przrzucić na wanty. Z trudem dosięgnął rękami wanty najdalej wysuniętej na zewnątrz. Uczepony jej kurczowo wyleciał do tyłu jak na huśtawce, o mało nie puścił, lecz przechył chwiejącego się masztu w przeciwną stronę przyszedł mu z pomocą. Zaczął piąć się w panice po wantach. Oto upragniona grotreja; rzucił się na nią, wyczuwając ciałem solidność oparcia i stopami szukając perty. Znalazł się cały i bezpieczny na rei w chwili, gdy przechył „Indefatigable” przydał rozpędu balansującym w powietrzu drzewcom, tak że stermars oderwał się od pękniętego stermasztu

i wszystkie jego szczątki zwały się do wody przy burcie. Hornblower posuwał się po rei, za Finchem, aż na grotmars, gdzie powitał go z uniesieniem midszypmen Bracegirdle. Bracegirdle nie był Bogiem, ale przewieszony przez barierkę grotmarsa Hornblower pomyślał, że gdyby nie powiedział, że na grotmarsie jest Bóg, Finch za nic nie wykonałby tego skoku.

— Myślałem, żeśmy cię stracili — mówił Bracegirdle, pomagając mu wejść i klepiąc go w plecy. — Midszypmen Hornblower, nasz latający anioł.

Finch, z głupawym uśmiechem na ustach, też był już na marsie, w otoczeniu załogi, która miała tam swoje stanowisko. Wszystko wydawało się szalone i podniecające. Wzdrygnął się na myśl, że znajdują się w wirze walki, lecz ogień właśnie ustał, a wraz z nim przycichł zgiełk bitewny. Hornblower chwiejąc się przeszedł na brzeg marsa — dziwna rzecz, jak trudno było iść — i rozejrzał się. Bracegirdle szedł za nim. Na pokładzie francuza ujrzał tłum postaci ludzkich, dziwnie małych z tej wysokości. Ci w koszulach w kratkę to na pewno żołnierze brytyjscy. A ten na pokładzie rufowym z tubą to niewątpliwie Eccles, pierwszy oficer z „Indefatigable”.

— Co się stało? — pytał, zdezorientowany, Bracegirdle'a.

— Co się stało? — Bracegirdle patrzył na niego przez chwilę, zanim pojął, o co mu chodzi. — Wzięliśmy go abordażem. Eccles i abordażowcy przechodzili przez burtę statku w chwili, gdy myśmy się spotkali. Człowieku, czyżbyś tego nie widział?

— Nie, nie widziałem — odparł Hornblower. Zmusił się, aby zażartować. — Były inne sprawy, na które w tamtej chwili musiałem zwrócić uwagę.

Przypomniał sobie, jak sternars chwiał się i kołysał i zrobiło mu się niedobrze. Ale nie chciał, aby Bracegirdle to zauważył.

— Muszę zejść na pokład i złożyć raport — rzekł.

Schodził po grotwantach powoli, z wysiłkiem, gdyż ani ręce, ani nogi zdawały się nie być mu posłuszne. Nawet kiedy już stanął na pokładzie, jeszcze nie czuł się pewnie. Bolton z pokładu rufowego nadzorował odcinania szczątków złamanego sternasztu. Spojrzał zaskoczony na zbliżającego się Hornblowera.

— Myślałem, że już pan jest na dnie morza — rzekł. — Podniósł wzrok na omasztowanie. — Zdążył pan przeskoczyć na grotreję?

— Tak, sir.

— Doskonale. Myślę, Hornblower, że urodził się pan, żeby wisieć. — Bolton odwrócił się i zaczął łajać marynarzy.

— Przestać wybierać! Clynes, zeskocz na podwieszia z tą liną. Powoli, bo wam ucieknie.

Obserwował przez jakiś czas pracę, a potem odwrócił się do Hornblowera.

— Przez parę miesięcy nie będzie żadnych kłopotów z załogą — zauważył. — Będziemy ich gnali do upadłego przy naprawie uszkodzeń. Część nam ubędzie, odpływając jako załoga przyzowa, nie mówiąc już o liście zabitych i rannych. Wiele czasu upłynie, nim znów poczują ochotę na coś nowego. A myślę, że i pan też, Hornblower.

— Tak, sir — odpowiedział Hornblower.

Rozdział szósty

Żabojady i homary[7]

— Idą — powiedział midszypmen Kennedy.

Niemuzykalne ucho midszypmena Hornblowera pochwyciło zdarte dźwięki orkiestry wojskowej i już po chwili, błyskając czerwienią, bielą i złotem, ukazało się zza rogu czoło kolumny. Promienie upalnego słońca odbijały się od mosiądzu instrumentów; za orkiestrą trzepotał na drzewcu sztandar pułkowy, niesiony dumnie przez chorążego któremu towarzyszył poczet sztandarowy. Za sztandarem jechali konno dwaj oficerowie, a za nimi maszerował półbatalion niby długi, czerwony wąż. Migotały w słońcu bagnety osadzone na broni, a obok kolumny biegły wszystkie dzieci z Plymouth, którym nie znudziła się jeszcze pompa wojskowa.

Marynarze ustawieni na nabrzeżu patrzyli na maszerujących żołnierzy z ciekawością zabarwioną politowaniem i pogardą. Twardy dryl, ciężki ubiór, żelazna dyscyplina i ponura rutyna żołnierskiego żywota kontrastowała silnie z daleko mniej zrutynizowanymi warunkami, w jakich żył marynarz. Orkiestra zagrała fanfarę, jeden z oficerów zawrócił konia i stanął frontem do kolumny. Wykrzyknął rozkaz i wszystkie twarze zwróciły się w stronę nabrzeża; ruchy żołnierzy były tak zgrane, że pięćset obcasów wydało jeden odgłos. Starszy sierżant, ogromnego wzrostu mężczyzna, z pierśią przepasaną błyszczącą szarfą, z laską połyskującą w słońcu srebrnymi okuciami, wyrównał już i tak doskonale równy szereg. Jeszcze jeden rozkaz i wszyscy żołnierze opuścili muszkiety do nogi.

— Bagnety zdejm! — wykrzyknął oficer na koniu i to były pierwsze słowa, jakie Hornblower zrozumiał.

Hornblower patrzył z aprobatą na trzech żołnierzy, którzy równo, jak marionetki pociągane za te same sznurki, wystąpili trzy kroki naprzód, razem odwrócili głowy, by spojrzeć na szereg, odczekali dostatecznie długą chwilę, aż bagnety zostały zdjęte i włożone do futerałów, a muszkiety wróciły do poprzedniej pozycji, po czym wstąpili do szeregu dokładnie na czas, jak sądził Hornblower. Ale widocznie nie dosyć dokładnie, bo starszy sierżant kazał im wystąpić i wstąpić do szeregu jeszcze raz.

— Chciałbym go zobaczyć na wantach w burzliwą noc — mruczał Kennedy. — Jak myślicie, potrafiłby złapać róg grotmarsla?

— Te homary! — powiedział pogardliwie midszypmen Bracegirdle.

Wszystkie pięć kompanii stały wyprężone w szkarłatnych szeregach, przerwy między nimi znaczyli sierżanci ze swoimi halabardami — rzędy twarzy między jedną halabardą a drugą wznosiły się i opadały równiutko, od najwyższych żołnierzy kompanii w środku do najmniejszych na obu końcach szeregu. Nie poruszył się żaden palec, nie drgnęła brew. Każdemu zwiślał na plecach sztywny, wypudrowany harcap.

Oficer podjechał truchtem wzdłuż szeregu do miejsca, gdzie stał oddział marynarzy. Porucznik Bolton, dowódca oddziału, wystąpił naprzód i zasalutował.

— Moi ludzie są gotowi do zaokrętowania — przemówił oficer. — Zaraz przybędzie tu ich bagaż.

— Tak jest, panie majorze — odrzekł Bolton.

— Powinien pan zwracać się do mnie: „milordzie” — zauważył major.

— Tak jest, sir... milordzie — odpowiedział zdeorientowany Bolton.

Jego lordowska mość, hrabia Edrington, major dowodzący tym skrzydłem czterdziestego trzeciego pułku piechoty, był mocno zbudowanym mężczyzną, o ledwie przekroczonej dwudziestce. Miał świetną sylwetkę żołnierza w doskonale dopasowanym mundurze, na wspaniałym rumaku, lecz wydawał się zbyt młody na tak odpowiedzialne stanowisko. Praktyka kupowania stanowisk wojskowych sprawiła, że ludzie młodzi wiekiem uzyskiwali wysokie rangi, armia zaś wydawała się być zadowolona z tego systemu.

— Francuskie posiłki mają rozkaz stawić się tutaj — ciągnął lord Edrington. — Przypuszczam, że poczyniono również przygotowania do ich transportu?

— Tak, milordzie.

— O ile mogłem się zorientować, żaden z tych obdartusów nie mówi po angielsku. Czy macie oficera, który mógłby służyć za tłumacza?

— Tak, sir. Pan Hornblower!

— Sir!

— Przypilnuje pan zaokrętowania oddziałów francuskich.

— Tak jest, sir.

Inna orkiestra wojskowa — niemuzykalne ucho Hornblowera odróżniło ją od angielskiej po tym, że brzmiała cienie — oznajmiła przybycie Francuzów, którzy zatrzymali się przy bocznej drodze prowadzącej do nabrzeża, i Hornblower ruszył spieszenie w tamtym kierunku. Była to francuska królewska, chrześcijańska i katolicka armia — a w każdym razie jej oddział — w sile batalionu, wystawiony przez emigrantów ze szlachty francuskiej do walki przeciwko rewolucji. Biały sztandar ze złotymi liliami powiewał na czele kolumny dowodzonej przez konnych oficerów. Hornblower podszedł do nich salutując. Jeden z nich w lśniącym białym uniformie, przepasanym błękitną

wstęgą, odwzajemnił pozdrowienie i przedstawił się po francusku w następujących słowach:

— Markiz Pouzauges, generał brygady w służbie jego najbardziej chrześcijańskiej królewskiej mości Ludwika XVII.

Jakając się Hornblower przedstawił się po francusku jako aspirant brytyjskiej królewskiej marynarki wojennej, wydelegowany do zaokręgowania oddziałów francuskich.

— Doskonale — odparł Pouzauges. — Jesteśmy gotowi.

Hornblower popatrzył na kolumnę Francuzów. Stali w dowolnych postawach, rozglądając się dokoła. Byli wszyscy nieźle odziani w niebieskie mundury, dostarczone, jak przypuszczał Hornblower, przez rząd brytyjski, lecz białe pasy były już przybrudzone, ozdoby metalowe zmatowiały, a broń bez połysku. Niewątpliwie jednak mogli się bić.

— Oto transportowce przydzielone dla pańskich ludzi, sir — wskazywał Hornblower. — „Sophia” zabierze trzystu, a ten tam dalej, „Dumbarton”, dwustu pięćdziesięciu. U nabrzeża stoją barki do przewiezienia żołnierzy.

— Monsieur de Moncoutant, proszę wydać rozkazy — zwrócił się Pouzauges do jednego z towarzyszących mu oficerów.

Wynajęte wozy z bagażem mijaly właśnie kolumnę, skrzypiąc głośno pod ciężarem skrzynek z rzeczami żołnierzy, którzy rozkrzyczanymi grupkami rzucili się szukać swego dobytku. Minęła dłuższa chwila, zanim znów ustawili się, każdy ze swoją skrzynką, a potem powstał problem wyłonienia drużyny roboczej, która zajęłaby się bagażem pułkowym, i ci, których odkomenderowano do tego zadania, niechętnie powierzali kolegom swoje rzeczy, z widoczną obawą, że ich więcej nie zobaczą. Hornblower dalej udzielał informacji.

— Wszystkie konie muszą iść na „Sophię” — mówił. — Jest tam miejsce na sześć sztuk. Bagaże pułkowe...

Urwał, gdyż ujrzał dziwny przyrząd podskakujący na jednym z przejeżdżających mimo wozów.

— Proszę mi powiedzieć, co to jest? — zapytał, nie mogąc pokonać ciekawości.

— To, proszę pana — odparł Pouzauges — jest gilotyna.

— Gilotyna?

Hornblower dużo czytał ostatnio o tym przyrządzie. Gilotyna, ustawiona w Paryżu przez czerwonych rewolucjonistów, była w ciągłym ruchu. Zginął na niej król Francji, sam Ludwik XVI. Nie spodziewał się spotkać jej w taborach armii antyrewolucyjnej.

— Tak — ciągnął Pouzauges. — Bierzemy ją ze sobą do Francji. Chcę, żeby anarchiści spróbowali smaku ich własnego lekarstwa.

Na szczęście wołanie Boltona przerwało rozmowę i uwolniło Hornblowera od konieczności odpowiedzi na te słowa.

— Panie Hornblower, czemu, u diabła, tak się to wszystko wlecze? Czy chce pan, żebyśmy nie zdążyli na odpływ?

Zwymyślanie niewinnego za cudze winy — tym razem Hornblowera za czas stracony wskutek niesprawnej organizacji Francuzów — było rzeczą naturalną dla życia w wojsku — Hornblower był na to przygotowany i nauczył się już, że lepiej wysłuchać reprimendy w milczeniu, niż się tłumaczyć. Dalej nadzorował załadowywania Francuzów na transportowce. Kiedy, znużony, zgłosił się w końcu do Boltona z listami załadunkowymi i wiadomością, że ostatni Francuz, koń i ostatnia skrzynka bagażu znalazły się bezpiecznie na pokładzie, otrzymał rozkaz, aby się natychmiast spakował i przeniósł na „Sophię”, gdzie będzie dalej potrzebny jako tłumacz.

Konwój szybko zostawił za sobą cieśninę Plymouth, opłynął Eddystone i szedł w dół Kanału, wraz z „Indefatigable”, na której powiewał wyróżniający ją proporzec, z dwoma kanonierkami mającymi pomagać w konwojowaniu ekspedycji oraz czterema transportowcami — siłą, zdaniem Hornblowera, zbyt małą, aby porywać się na obalenie republiki francuskiej. Mieli zaledwie tysiąc stu żołnierzy piechoty; półbatalion czterdziestego trzeciego i niepełny batalion Francuzów (jeśli można ich tak nazywać, gdyż wielu z nich to żołnierze z przypadku, pochodzący z różnych nacji) i chociaż Hornblower miał dosyć rozsądku, by nie osądzać z góry Francuzów, leżących pokotem w ciemnościach i zaduchu międzypokładów, nękanych chorobą morską, dziwił się że ktokolwiek mógł oczekiwać jakichś wyników po tak małej sile. Z literatury historycznej wiedział o licznych wypadach małych oddziałków w różnych wojnach i wbrew określeniu któregoś z polityków opozycji, że to „wybijanie okien gwinejami”, był skłonny w zasadzie je pochwalać jako sposób prowadzący do rozpraszania sił francuskich — aż do chwili, gdy sam stał się członkiem takiej wyprawy.

Z ulgą przyjął zatem informację Pouzauges, że oddziały, które widział, nie stanowią całości sił, mających brać udział w przedsięwzięciu, i że faktycznie są one małą ich częścią. Przybladły od choroby morskiej, lecz walczący z nią po męsku Pouzauges rozłożył na stole w kajucie mapę i wyjaśnił plan.

— Armia chrześcijańska — mówił — wyląduje tutaj, pod Quiberon. Jej oddziały odpłynęły z Portsmouth — te angielskie nazwy tak trudno wymawiać — na dzień przed naszym wyruszeniem z Plymouth. Składają się one z pięciu tysięcy ludzi dowodzonych przez barona de Charette. Mają maszerować na Vannes i Rennes.

— A jakie jest zadanie pańskiego pułku? — zapytał Hornblower.

Pouzauges znowu wskazał na mapę.

— Tu mamy miasto Muzillac — mówił. — Sześćdziesiąt mil od Quiberon. W tym miejscu główny trakt z południa przecina rzekę Marais, gdzie kończy się pływ. Jak pan widzi, to mała rzeczka, lecz jej brzegi są bagniste, a trakt biegnie tam nie tylko mostem, lecz także długą groblą. Armie rebeliantów są na południu i posuwając się ku północy muszą przejść przez Muzillac. Tam my

będziemy. Zniszczymy most i będziemy bronić przejścia, opóźniając tak długo pochód rebeliantów, aż monsieur de Charette podburzy całą Bretanię. W niedługim czasie będzie on miał pod bronią dwadzieścia tysięcy ludzi, buntownicy zostaną zmuszeni do posłuszeństwa, a my pomaszerujemy na Paryż, by tam przywrócić tron jego najbardziej chrześcijańskiej królewskiej mości.

A więc taki był plan. Hornblower zaraził się entuzjazmem Francuza. Droga na odcinku dziesięciu mil biegła przecież wzdłuż wybrzeża i tam, w szerokiej delcie Vilaine, chyba się uda wysadzić na ląd niewielkie siły i zdobyć Muzillac. Nie powinno być trudności z obroną opisaną przez Pouzauges grobli przez dzień czy dwa nawet przed znacznymi siłami. A to otworzy przed Charettem możliwości do dalszego działania.

— Obecny tu mój przyjaciel, monsieur de Moncoutant — ciągnął dalej Pouzauges — jest dziedzicem Muzillac. Tamtejsi ludzie powitają go z radością.

— Większość tak — wtrącił Moncoutant, a jego szare oczy zwięzły się. — Lecz niektórzy zmartwią się moim widokiem. Ja, w każdym razie, będę rad spotkać się z nimi.

Zachodnie prowincje Francji, Vendée i Bretonia, były od dawna wzburzone, a ludność tamtejsza pod wodzą szlachty niejednokrotnie podnosiła oręż przeciwko rządowi w Paryżu. Wszystkie te bunty kończyły się jednak porażką; siły rojalistyczne, wiezione teraz do Francji, były szczątkami rozbitych wojsk i stanowiły ostatnie, desperacko rzucone kości. W tym świetle plan nie wydawał się już tak dobry.

Był smętny poranek — ze szczytami szarych skał pogrążonymi w szarości chmur — gdy konwój okrążył Belle Ile i zatrzymał się na wprost ujścia rzeki Vilaine. Daleko na północ, w zatoce Quiberon, widać było białe marsie — z pokładu „Sophii” Hornblower dojrzał sygnały nadawane i odbierane przez „Indefatigable”, zgłaszającą swe przybycie dowódcy znajdujących się tam głównych sił ekspedycji. Było to dowodem ruchliwości i wszechobecności sił morskich, że mogły one wykorzystać konfigurację terenu tak, aby z morza zadać dwa ciosy naraz, widząc się prawie nawzajem, gdy tymczasem oddzielało je od siebie czterdzieści mil dróg lądowych. Hornblower obejrzał przez lunetę groźny brzeg, przeczytał raz jeszcze rozkazy dla dowódcy „Sophii” i znowu zwrócił spojrzenie na ląd. Dojrzał wąskie ujście rzeki Marais i błotnisty pas brzegu, gdzie oddziały miały zostać wysadzone na ląd. Sondowano przez cały czas posuwania się „Sophii” na miejsce wyznaczone jej do rzucenia kotwicy. Okręt kołysał się niespokojnie; na tych płytkich wodach przeciwne prądy wytwarzały zbitą falę nawet w czas ciszy. Wreszcie lina kotwiczna zawyła w kluzie; „Sophia” stanęła w dryfie, zwrócona w kierunku prądu, i załoga zabrała się do spuszczenia łodzi.

— Francja, droga piękna Francja — przemówił Pouzauges obok Hornblowera.

Po wodzie dobiegło wołanie z „Indefatigable”.

— Panie Hornblower!

— Sir! — odkrzyknął Hornblower przez tubę kapitańską.

— Zejdzie pan na brzeg z oddziałami francuskimi i zostanie tam z nimi aż do otrzymania dalszych rozkazów.

— Tak jest, sir.

A więc w taki sposób miał pierwszy raz w życiu postawić stopę na obcej ziemi.

Ludzie Pozaugesa wylewali się spod pokładów; przerzucanie ich do łodzi czekających przy burcie okrętu wlokło się w sposób irytujący. Nie mając chwilowo nic do roboty Hornblower zastanawiał się, co się teraz dzieje na lądzie — konni posłańcy galopują pewnie na północ i południe z wiadomością o przybyciu ekspedycji i wkrótce francuscy rewolucyjni generałowie zrobią przegląd swoich wojsk i wyślą je spiesznie w tym kierunku; dobrze się złożyło, że ważny punkt strategiczny, który miał być zdobyty, leżał mniej niż dziesięć mil w głąb lądu. Wrócił do swoich obowiązków; gdy tylko ludzie znajdą się na brzegu, będzie musiał dopilnować wyładowania bagaży i zapasów amunicji oraz koni, czekających w zaimprovizowanych boksach przed grotmasztem.

Pierwsze łodzie odbiły od burty okrętu; Hornblower patrzył, jak żołnierze brną brzegiem po błocie i wodzie, Francuzi po lewej stronie, a piechota brytyjska w czerwonych uniformach po prawej. Nad plażą było parę chatek rybackich i Hornblower widział, jak oddziały czołowe śpieszą, by je zająć. W każdym razie lądowanie odbyło się bez jednego strzału. Gdy przybył z amunicją na brzeg, zastał tam Boltona, któremu powierzono pieczę nad plażą.

— Proszę przenieść skrzynie z amunicją powyżej znaku wysokiej wody — powiedział Bolton. — Nie możemy wysłać ich dalej, póki homary nie znajdą dla nas jakichś wozów. A konie będą nam potrzebne także do przeciągnięcia armat.

Oddział roboczy Boltona włókł właśnie przez plażę dwie sześćofuntówki na lawetach terenowych; miały one być obsługiwane przez marynarzy i transportowane przez konie pod kierunkiem oddziału desantowego, gdyż starym zwyczajem brytyjski oddział ekspedycyjny powinien być obecny na brzegu dla ewentualnych potrzeb wojskowych na lądzie. Pouzauges ze swoim sztabem czekał niecierpliwie na wierzchowce, których dosiedli, gdy tylko zwierzęta wypędzono z łodzi na piach.

— Naprzód za Francję! — wykrzyknął Pouzauges i wydobywszy szpadę przytknął jej rękojeść do warg.

Moncoutant i pozostali ruszyli z tętentem kopyt końskich, by wysunąć się na czoło posuwającej się naprzód piechoty, Pouzauges zaś zatrzymał się chcąc zamienić kilka słów z lordem Edringtonem. Piechota brytyjska rozciągnęła się w długą, równą linię; czerwone punkciki rozrzucone tu i ówdzie w głąbi lądu wskazywały, gdzie rozstawiono pikiety kawaleryjskie. Hornblower nie słyszał rozmowy, lecz zauważył, że wciągnięto do niej Boltona, który w końcu przywołał i jego.

— Hornblower, pan musi iść naprzód z żabojadami — rzekł.

— Dam panu konia — dodał Edrington. — Proszę wziąć tamtego deresza. Muszę mieć u nich kogoś, komu mógłbym zaufać. Proszę mieć na nich oko i dać mi znać natychmiast, gdy tylko spróbują

zrobić jakiś kawał — Bóg wie, co może im przyjść do głowy.

— Wyładowuję resztę pańskich zapasów — wtrącił Bolton. — Dostarczę je, gdy tylko przyśle mi pan jakieś wozy. A cóż to, u diabła?

— Przenośna gilotyna, sir — wyjaśnił Hornblower. — Należy do bagażu Francuzów.

Wszyscy trzej zwrócili wzrok na Pouzauges, kręcącego się niespokojnie na koniu w czasie ich rozmowy, której nie rozumiał. Ale zorientował się, o co chodzi.

— To jest pierwsza rzecz, którą musimy wysłać do Muzillac — powiedział. — Zechce pan to powtórzyć tym dżentelmenom?

Hornblower przetłumaczył jego słowa.

— Najpierw wyślę działa i amunicję — odparł Bolton. — Ale przypilnuję, żeby nie czekał długo na ten swój przyrząd. A teraz niech pan rusza.

Hornblower niepewnie zbliżył się do deresza. O jeździe konnej miał słabe pojęcie, lecz wsunął stopę w strzemię, wspiał się na siodło i chwycił nerwowo cugle, zanim zwierzę ruszyło z miejsca. Miał wrażenie, że z siodła do ziemi jest tak samo daleko jak z rei bramstengi do pokładu. Pouzauges zawrócił w miejscu swego wierzchowca i pojechał plażą, a deresz za nim, z Hornblowerem uczepionym desperacko jego grzbietu i ochlapanym błotem z kopyt idącego przed nim konia Francuza.

Z wioski rybackiej wiodła w głąb łądu błotnista ścieżka obramowana zieloną darnią. Pouzauges jechał nią umiejętnie, a za nim telepał się Hornblower. Przejechali ze trzy albo i cztery mile, zanim minęli tyły piechoty francuskiej, maszerującej dzielnie po błotnistej drodze. Pouzauges ściągnął konia i zaczął posuwać się stępą. Gdy kolumna weszła na niewielkie wzniesienie, dojrzeli w dali biały sztandar. Za wałami Hornblower zobaczył kamieniste pola, a z lewej strony zabudowania wiejskie z szarego kamienia. Żołnierz w niebieskim mundurze wyprowadzał białego konia zaprzężonego do wozu, a kilku innych przytrzymało rozwścieczoną żonę farmera. W ten sposób oddział ekspedycyjny zapewniał sobie potrzebne środki transportowe. Gdzie indziej na polu żołnierz poganiał bagnetem krowę — Hornblower nie umiał sobie wyobrazić po co. Dwukrotnie dobiegł go daleki odgłos wystrzału z muszkietów, lecz wydawało się, że nikt nie zwraca na to uwagi. Jadąc drogą napotkali dwóch żołnierzy prowadzących wychudłe konie w kierunku plaży; słuchając dowcipów rzucanych przez maszerującą kolumnę wyszczerzyli zęby w szerokich uśmiechach. Ale nieco dalej Hornblower ujrzał pług sterczący samotnie na poletku i szary kształt porzucony obok. To był trup człowieka.

Po prawej stronie była bagnista dolina rzeki i już rychło Hornblower zobaczył daleko w przodzie most i groblę, którą mieli obsadzić. Ścieżka biegła łagodnym zboczem w dół ku miasteczku, by minąwszy szare domki dołączyć się do traktu, po którego obu stronach leżało miasto. Był tam kościół z szarego kamienia, budynek, dający się bez trudu rozpoznać jako gospoda, i stacja pocztowa, wokół której roili się żołnierze, oraz niewielkie poszerzenie traktu, stanowiące, jak przypuszczał Hornblower, centralny placyk osiedla, z aleją drzew pośrodku. Z górnych okien gdzieniegdzie

wyglądały twarze, ale poza tym domy były pozamykane i nigdzie nie widać było cywilów, z wyjątkiem dwóch niewiast zamykających w pośpiechu swoje sklepiki. Pouzauges zatrzymał konia na placu i zaczął wydawać rozkazy. Ze stacji pocztowej wyprowadzono już konie i grupki ludzi biegały zaaferowane tam i z powrotem z jakimiś ważnymi zleceniami. Na rozkaz Pouzauges'a jeden z oficerów zwołał swoich ludzi — udało mu się to po dłuższych namowach i gestykulacji — i ruszył w kierunku mostu. Inny oddział udał się w przeciwną stronę, na trakt, jako zabezpieczenie przed ewentualnym atakiem z tamtej strony. Gromada mężczyzn siedząc w kucki na placu pożerała chleb zabrany z jednego ze sklepów po wywaleniu drzwi, a od czasu do czasu przyprowadzano cywilów przed oblicze Pouzauges'a i na jego rozkaz zabierano ich spieszenie do aresztu miejskiego. Miasto Muzillac zostało całkowicie opanowane.

Po chwili chyba i Pouzauges doszedł do takiego wniosku, gdyż rzuciwszy okiem na Hornblowera zawrócił konia i pokłusował w kierunku grobli. Miasto skończyło się, nim droga weszła w bagniska. Oddziałek posłany do jej pilnowania zdążył już rozpaść ognisko na skrawku jałowej ziemi. Mężczyźni skupili się wokół ognia i opiekali na bagnetach płaty mięsiwa z krowy, której na pół obdarty z mięsa trup leżał obok ogniska. Nieco dalej, gdzie grobla przechodziła w most nad rzeczką, wartownik wystawiał twarz do słońca, położywszy za plecami muszkiet na parapecie mostu. Cały ten widok tchnął spokojem. Pouzauges wraz z posuwającym się za nim Hornblowerem podjechał truchtem aż do zwieńczenia mostu i zaczął patrzeć na rozciągający się przed nim obraz. Nie było ani śladu wroga, a gdy wrócili, czekał na nich jeździec w czerwonym uniformie — lord Edrington.

— Przyjechałem obejrzeć wszystko własnymi oczyma — powiedział. — Pozycja pod każdym względem wydaje się dosyć silna. Po ustawieniu dział powinno się panu udać utrzymanie mostu do chwili, aż wysadzi pan jego łuk. Lecz niżej, o pół mili stąd, jest bród, którym można przejść rzekę przy niskim stanie wody. Tam ja zajmę pozycję. Jeśli oddamy bród, mogą obejść to stanowisko tutaj i odciąć nas od brzegu. Proszę powtórzyć temu dżentelmenowi — jakże on się nazywa? — co powiedziałem.

Hornblower przetłumaczył słowa Edringtona najlepiej, jak potrafił, i występował dalej w roli tłumacza, gdy obaj dowódcy podnosili ten czy inny punkt i ustalali, jakie będą zadania każdego z nich.

— A więc załatwione — zakonkludował Edrington. — Panie Hornblower, proszę nie zapominać, że muszę być informowany o wszystkim, co się będzie działo.

Skinął im głową, zawrócił konia i odjechał kłusem. Po jego odjeździe od strony Muzillac ukazał się wóz; głośny turkot oznajmił przybycie dwóch sześciofuntówek, z wysiłkiem wleczonych przez parę koni prowadzonych przez marynarzy. Z przodu na wozie siedział midszypmen Bracegirdle, który pozdrowił Hornblowera szerokim uśmiechem.

— Z pokładu rufowego do wozu na gnój jest nie dalej niż od midszypmena do kapitana artylerii — powiedział, wychylając się.

Popatrzył na groblę, a potem rozejrzał się wokoło.

— Ustaw działa tam, wtedy będą miały całość pod obstrzałem — zaproponował Hornblower.

— Słusznie — odparł Bracegirdle.

Na jego rozkaz stoczono działa z drogi i nacelowano na groblę, z wozu wyładowano jego zawartość, naboje armatnie z prochem zgromadzono na rozesełanej na ziemi płachcie brezentowej i przykryto drugim kawałkiem brezentu. Obok armat ułożono kule i worki z kartaczami. Marynarze pracowali ochoczo, podekscytowani nowym dla nich otoczeniem.

— Ubogi człowiek nigdy nie wie, z kim mu przyjdzie spać — zauważył Bracegirdle — a wojny przynoszą niecodzienne zadania. Czy wysadzałeś kiedykolwiek most?

— Nigdy — odparł Hornblower.

— Ani ja. Chodź, zrobimy to teraz. Czy mogę zaproponować ci miejsce w moim powozie?

Hornblower wszedł na wóz z Bracegirdlem, a dwaj marynarze poprowadzili stąpającego ciężko konia przez groblę w stronę mostu. Tam stanęli i popatrzyli w dół, na błotnistą wodę niesioną przyływem, a potem wychyliwszy głowy za balustradę, obejrzelni mocną kamienną konstrukcję.

— Powinniśmy wysadzić zwornik łuku — rzekł Bracegirdle.

Była to tradycyjna recepta na zniszczenie mostu, lecz gdy teraz Hornblower przeniósł wzrok z mostu na Bracegirdle'a i znów na most, sposób ten zaczął mu się wydawać nie tak łatwy do przeprowadzenia. Proch strzelniczy wybuchał w górę i beczułkę z nim należało zamocować ze wszystkich stron — ale jak to zrobić pod łukiem mostu?

— A może filar? — rzucił myśl Hornblower.

— Trzeba zejść i zobaczyć — odparł Bracegirdle i zwrócił się do marynarza przy wozie. — Hannay, przynieście linę.

Przywiązali linę do balustrady i zjechali po niej w dół, znajdując niepewne oparcie dla nóg na śliskim występie wokół podstawy filara, podczas gdy rzeka bulgotała u ich stóp.

— Chyba to będzie lepsze rozwiązanie — powiedział Bracegirdle, zgięty prawie wpół pod łukiem.

Czas mijał szybko na przygotowaniach; trzeba było ze straży mostowej wyłonić brygadę roboczą, znaleźć lub sporządzić zaimprovizowane oskardy do odłupania kilku ciężkich głazów, z których był zbudowany filar, opuścić ostrożnie dwie beczułki prochu strzelniczego i wsypać do zagłębienia w filarze, do każdego otworu szpuntowego włożyć koniec wolno tłącego się lontu i wyprowadzić go na zewnątrz, a na beczułki narzucić tyle ziemi i kamienia, ile się da. Pod mostem było już prawie ciemno, gdy skończono robotę; brygada robocza weszła po linie na most, a na dole zostali Bracegirdle z Hornblowerem. Popatrzyli na siebie.

— Ja podpalę lont — rzekł Bracegirdle. — A pan, sir, pójdzie za nimi na górę.

Nie było się o co spierać. To Bracegirdle otrzymał rozkaz wysadzenia mostu, Hornblower więc

chwycił się liny, a Bracegirdle wyjął z kieszeni hubkę z krzesiwem. Dostawszy się na powierzchnię mostu Hornblower odesłał wóz i czekał. Już po dwóch czy trzech minutach pojawił się Bracegirdle, wspinając się w panicznym pośpiechu po linie, przerzucił ciało przez balustradę i krzyknął tylko jedno słowo:

— Uciekamy!

Razem przebiegli przez most i zatrzymali się bez tchu, by przykucnąć przy nasypie grobli. Zaraz też dobiegł ich głuchy odgłos eksplozji, ziemia drgnęła pod stopami i most spowiła chmura dymu.

— Lecimy zobaczyć — powiedział Bracegirdle.

Ruszyli w stronę mostu, wciąż tonącego w kłębach dymu i pyłu.

— Tylko częściowo... — zaczął Bracegirdle, gdy zbliżyli się do miejsca wybuchu, gdzie dym już się przerzedził.

W tym momencie nastąpił powtórny wybuch, który sprawił, że obaj zachwiali się na nogach. Kawałek nawierzchni mostu uderzył w balustradę obok nich i rozpadł się jak granat, obsypując ich odłamkami. Z hukiem i rumorem przeszło zwałiło się do rzeki.

— Musiała wybuchnąć druga beczułka — orzekł Bracegirdle, ocierając twarz. — Trzeba było pamiętać o tym, że lonty są niejednakowej długości. Gdybyśmy byli bliżej, mógłby to być nagły koniec karier życiowych dwóch obiecujących młodzieńców.

— W każdym razie mostu nie ma — zauważył Hornblower.

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy — stwierdził Bracegirdle.

Siedemdziesiąt funtów prochu zrobiło swoje. Most był zwalony i zionął poszarpaną przerwą o szerokości kilku stóp; po przeciwnej stronie sterczał w powietrze kawałek nawierzchni nad następnego filara, świadcząc o wytrzymałości zaprawy. Gdy się schylili, pod nogami zobaczyli koryto rzeki prawie zupełnie zasypane bryłami kamienia.

— Tej nocy wystarczy nam zupełnie wachta kotwiczna — powiedział Bracegirdle.

Hornblower popatrzył w stronę, gdzie stał przywiązany deresz; miał wielką ochotę wracać pieszo do Muzillac, prowadząc konia za uzdę, lecz honor nie pozwolił mu na to. Wdrapał się jakoś na siodło i skierował konia na drogę; przed nim niebo zaczynało czerwienieć od blasku zachodzącego słońca.

Wjechał na główną ulicę miasta, okrążył centralny placyk i widok, który tam ujrzał, sprawił, że mimo woli ściągnął cugle i zatrzymał konia w miejscu. Placyk pełen był ludzi, mieszkańców miasteczka i żołnierzy, a pośrodku sterczał prostokątny kształt z ostrzem lśniącym na końcu wzniesionego w górę ramienia. Ostrze spadło z głuchym uderzeniem, a grupka mężczyzn stojących obok odciągnęła jakiś kształt na stronę i dorzuciła do leżącego już tam stosu. Przenośna gilotyna pracowała.

Hornblower patrzył z uczuciem mdłości i wstrętu — to było gorsze od chłosty na okręcie. Miał już ruszyć, gdy dziwny dźwięk dobiegł jego uszu. Jakiś mężczyzna śpiewał donośnym głosem. Z budynku przy placyku wyszła mała procesja. Na czele szedł wysoki człowiek o ciemnych kędzierzawych włosach, odziany w białą koszulę i ciemne spodnie. Ze wszystkich stron otoczony był żołnierzami. To on śpiewał; melodia nic nie mówiła Hornblowerowi, lecz słowa słyszał wyraźnie — pochodziły z francuskiej pieśni rewolucyjnej, której echa przedostały się nawet przez Kanał.

— O, święta miłości ojczyzny... — śpiewał ten w białej koszuli, a gdy ludność zgromadzona na placyku usłyszała te słowa, nastąpiło poruszenie i wszyscy padli na kolana, kłoniąc głowy i krzyżując ręce na piersiach.

Kaci podciągnęli ostrze gilotyny w górę, a skazaniec odprowadzał je spojrzeniem, dalej śpiewając, bez śladu drżenia w głosie. Ostrze doszło do górnego położenia i śpiew się urwał, gdy żołnierze rzucili się na mężczyznę w białej koszuli i podprowadzili go do gilotyny. Potem ostrze opadło z trzaskiem w dół.

Musiała to być ostatnia egzekucja, bo żołnierze zaczęli rozpędzać ludzi i Hornblower pognął konia przez rozpraszający się tłum. Omal nie spadł z siodła, gdy koń — poczuwszy odór od stosu ciał przy gilotynie — zaczął parskać dziko i wierzgać na wszystkie strony. Przy placu stał dom z balkonem i Hornblower spojrzawszy w górę zdążył jeszcze zobaczyć Pouzauges, w białym mundurze z niebieską wstęgą, opartego o balustradę balkonu w otoczeniu swego sztabu. Przed wejściem stali wartownicy, Hornblower oddał konia jednemu z nich i wszedł, Pouzauges schodził właśnie na dół.

— Dobry wieczór, sir — odezwał się Pouzauges bardzo uprzejmie. — Cieszę się, że znalazł pan drogę do sztabu. Mam nadzieję, że wszystko poszło dobrze? Właśnie schodzimy na kolację i będzie nam miło, jeśli zechce pan nam towarzyszyć. Pan, zdaje się ma konia? Jestem pewny, że monsieur de Villers, ten oto tutaj, wyda rozkaz, aby się nim zajęto.

Trudno było uwierzyć w to wszystko. Trudno było uwierzyć, że ten wytworny dżentelmen wydał rozkaz rzezi, która właśnie dobiegła końca; trudno było uwierzyć, że elegancy młodzieńcy, z którymi zasiadał do kolacji, narażali swe życie dla obalenia barbarzyńskiej, choć tak bardzo żywotnej młodej republiki. Lecz równie trudno byłoby mu uwierzyć, gdy tego wieczoru wchodził na łożo wsparte na czterech kolumnach, że on sam, midszypmen Horatio Hornblower, jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Na ulicach kobiety zawodziły, gdy sprzątano bezgłowe zwłoki, to żniwo egzekucji, i Hornblower bał się, że nie zaśnie, lecz młodość i znużenie zrobiły swoje i spał prawie całą noc, chociaż zbudził się z uczuciem, że toczył walkę z koszmarem. W ciemnościach wszystko wydawało mu się obce i minęło parę minut, zanim zdał sobie sprawę dlaczego. Leżał w łóżku — a nie w hamaku — jak przez trzysta ubiegłych nocy; łożo było nieruchome w przeciwieństwie do hamaka kołyszącego się w takt ruchów fregaty. Zaduch wydzielany przez zasłony łoża był zupełnie inny od zaduchu panującego w koi midszypmenów i stanowiącego mieszaninę zatęchłego odoru ciał ludzkich i stęchłej wody z zęz. Znajdował się na lądzie, w domu, w łóżku i wokół niego panowała śmiertelna cisza, spokój, nienaturalny dla człowieka przywykłego do odgłosów wydawanych przez drewniany okręt na morzu.

Oczywiście, był w domu, w bretońskim mieście Muzillac. Spał w kwaterze generała brygady markiza de Pouzauges, dowodzącego oddziałami francuskimi, które stanowiły część większych sił atakujących Francję rewolucyjną w obronie sprawy rojalistów. Hornblower poczuł przyspieszone bicie serca, lekkie uczucie niepewności na myśl, że znajduje się we Francji, dziesięć mil od morza od „Indefatigable”, na łasce hałastry francuskiej — połowa z nich to najemnicy, Francuzi tylko z nazwy — która ma go chronić od śmierci lub niewoli. Pożałował swej znajomości francuskiego — gdyby nie to, nie znalazłby się tutaj, a dobry los mógłby go rzucić do brytyjskiego półbatalionu czterdziestego trzeciego regimentu, osłaniającego bród o milę stąd.

Właśnie ta myśl o oddziałach brytyjskich kazała mu podnieść się z łóżka. Jego obowiązkiem było utrzymanie z nimi łączności, a sytuacja mogła ulec zmianie podczas jego snu. Rozsunął zasłony i stanął na podłodze. Nogi ugięły się pod ciężarem ciała — po wczorajszej jeździe wszystkie mięśnie i ścięgna bolały go tak mocno, że ledwie mógł chodzić. W ciemnościach dokuśtykał do okna, namacał zatrask żaluzji i odsunął je. Księżyc w trzeciej kwadrze oświetlał opustoszałe ulice miasta. Spojrzawszy w dół Hornblower dojrzał trójkątny kapelusz wartownika przed wejściem i odbłask księżyca na jego bagnecie. Odszedł od okna i namacawszy mundur i buty ubrał się, przypasał kord i zszedł schodami jak umiał najciszej. W pokoju za hallem wejściowym stała na stole stopiona świeca łożowa, a obok sierżant francuski oparłszy głowę na rękach spał lekkim snem, gdyż uniósł głowę, kiedy Hornblower przystanął w drzwiach. Na podłodze leżała pokotem reszta straży nie pełniąca w tej chwili służby, chrapiąc donośnie, zbita w ciasną gromadę jak świnie w chlewie; ich muszkiety stały oparte o ścianę.

Hornblower skinął głową sierżantowi, otworzył drzwi frontowe i wyszedł na ulicę. Płuca wdychały chciwie czyste powietrze nocne — a raczej poranne, gdyż na wschodzie niebo barwiło się już lekko. Wartownik, ujrzawszy brytyjskiego oficera marynarki, stanął niezdarnie na baczność. Na placu ponury, kanciasty korpus gilotyny sterczał na tle rozświetlonego księżycem nieba, a wokół widać było ciemne plamy krwi ofiar. Hornblower zastanawiał się, kim byli ci ludzie, kogo rojaliści mogli schwytać i uśmiercić tak szybko, i doszedł do wniosku, że musieli to być niżsi urzędnicy rządu rewolucyjnego — mer, kierownik urzędu celnego, a może po prostu ludzie, wobec których emigranci żywili urazę jeszcze z czasów rewolucji. To był dziki, bezlitosny świat, a w nim on zupełnie sam, samotny, przybity i nieszczęśliwy.

Myśli te przerwał mu widok sierżanta straży, nadchodzącego na czele oddziałku żołnierzy; zmieniono wartownika na ulicy i oddział obszedł dom wokoło, aby złuzować innych. Potem zobaczył czterech doboszy wychodzących z domu po drugiej stronie ulicy pod dowództwem innego sierżanta. Ustawili się w szereg i podnieśli pałeczki na wysokość twarzy. Na słowo sierżanta osiem pałeczek opadło z trzaskiem i dobosze pomaszzerowali wolno ulicą, wybijając urywany, pełen animuszu rytm. Na pierwszym rogu stanęli, bijąc w bębny długo i groźnie, a potem ruszyli, wybijając znowu poprzedni rytm. Bili na alarm bojowy, wzywając żołnierzy z kwater na stanowiska, i Hornblower, głuchy na dźwięki, lecz bardzo wrażliwy na rytm uznał, że była to piękna muzyka, prawdziwa muzyka. Wracał na kwaterę już bez uczucia poprzedniej desperacji. Sierżant ze złuzowanymi wartownikami przemaszerował obok, pierwsi rozbudzeni żołnierze o zaspanych twarzach pojawili się na ulicach, a potem dzwoniąc podkowami nadszedł pod sztab posłaniec konny i dzień się rozpoczął.

Młody oficer francuski o bladej twarzy przeczytał kartkę przywiezioną przez posłańca i uprzejmie podał ją Hornblowerowi, który, nie przywykły do francuskiego pisma ręcznego, męczył się z jej odczytaniem przez dłuższą chwilę, zanim pojał treść. Nie zawierała niczego nowego. Główne siły ekspedycyjne, wysadzone poprzedniego dnia na ląd w Quiberon, wyruszą rankiem na Vannes i Rennes, podczas gdy oddziały pomocnicze, w których był Hornblower, muszą utrzymywać pozycję w Muzillac i osłaniać ich flankę. W tym momencie pojawił się markiz de Pouzauges w nieposzlakowanej białym uniformie, z niebieską wstęgą, przeczytał wiadomość bez żadnych uwag i zwrócił się do Hornblowera z uprzejmym zaproszeniem na śniadanie.

Poszli na tyły domu, do wielkiej kuchni, gdzie lśniły miedziane naczynia rozwieszane na ścianach, a milcząca niewiasta przyniosła im kawę i chleb. Mogła być patriotką francuską lub gorącą kontrrewolucjonistką, ale nie dała niczego poznać po sobie. Oczywiście na jej uczucia mógł łatwo wpłynąć fakt, że ta horda mężczyzn zajęła jej dom, zjadała jej chleb i spała w jej pokojach, nie płacąc za to. Być może część wozów i koni zabranych na potrzeby wojska też do niej należała, a niektórzy ścięci poprzedniego wieczora gilotyną byli jej przyjaciółmi. Lecz kawę przyniosła i członkowie sztabu, stojąc w obszernej kuchni i pobrzękując ostrogami, przystąpili do śniadania. Hornblower wziął filiżankę i kawałek chleba — przez szereg ubiegłych miesięcy jedynym jego chlebem były suchary okrętowe — i upił łyk. Nie był pewny, czy mu smakuje czy nie; dotychczas pił kawę najwyżej trzy albo cztery razy w życiu. Ale gdy ponownie podniósł filiżankę do ust, nie wypił z niej następnego łyku, gdyż zanim zdążył to uczynić, usłyszał daleki odgłos strzału armatniego. Opuścił filiżankę i zamarł w bezruchu. Wystrzał powtórzył się drugi raz i trzeci, a potem rozległ się odgłos bliższy i wyraźniejszy — to strzelały na grobli sześciofuntówki midszypmena Bracegirdle'a.

W kuchni od razu wszczęło się zamieszanie i pośpieszna bieganina. Ktoś przewrócił filiżankę i po stole pociekła czarna kręta strużka płynu. Komuś ostrogi szczepiły się i runął w czyjeś ramiona. Wszyscy zdawali się mówić naraz. Hornblower był równie podniecony jak reszta; chciał wybiec i zobaczyć, co się dzieje, lecz w tej chwili przypomniał sobie zdyscyplinowany spokój, jaki panował na „Indefatigable” w chwili, gdy fregata ruszała do boju. Nie miał nic wspólnego z tym motłochem francuskim i aby to pokazać podniósł filiżankę do ust i pił dalej spokojnie. Większość oficerów sztabowych wybiegła już z kuchni, wołając o wierzchowce. Okulbaczenie konia zajmie trochę czasu; napotkał wzrok Pouzauges'a chodzącego po kuchni tam i z powrotem i wypił duszkiem resztę kawy — odrobinę za gorącej, ale czuł, że tak właśnie powinien się zachować. Zmusił się do gryzienia, żucia i połykania chleba, chociaż nie miał wcale apetytu; jeśli ma spędzić dzień w polu, nie wiadomo kiedy otrzyma następny posiłek, wsunął więc półbocheneczka do kieszeni.

Na podwórzu doprowadzono i siodłano konie, podniecenie udzieliło się także zwierzętom, które wierzgały zadami i ustawiały się bokiem, wśród złorzeczeń oficerów. Pouzauges wskoczył na siodło i z tętentem kopyt odjechał w towarzystwie sztabu, pozostawiając za sobą tylko żołnierza przytrzymującego deresza Hornblowera. Tym lepiej — Hornblower wiedział, że nie utrzyma się w siodle ani przez pół minuty, jeśli rumakowi zechce się wierzgać albo stawać dęba. Podszedł wolnym krokiem do konia, który głaskany przez masztalera stał teraz spokojnie, i zaczął wsiadać bardzo wolno i ostrożnie. Jednym szarpnięciem wędzidła poskromił żywość zwierzęcia i wyprowadził je spokojnie na ulicę i dalej w stronę mostu, w ślad za galopującym sztabem. Lepiej było jechać stępą i mieć pewność, że dojedzie, niż puszczać się galopem i spaść z konia. Działa wciąż biły, dojrzał

też kłęбки dymu z sześćofuntówek Bracegirdle'a. Z lewej strony słońce wznosiło się na czyste niebo.

Sytuacja przy moście wydawała się zupełnie jasna. Po obu stronach wyrwy po wybuchu kilku strzelców ostrzeliwało się wzajemnie, a na drugim końcu grobli, za rzeczką Marais, kłęb dymu zdradzał obecność nieprzyjacielskiej baterii strzelającej wolno i na bardzo daleki zasięg. Przy grobli z tej strony stały dwie sześćofuntówki Bracegirdle'a, prawie zupełnie skryte w zagłębieniu gruntu. Bracegirdle z kordem u pasa stał między armatkami obsługiwanymi przez marynarzy i zobaczywszy Hornblowera pomachał mu wesoło ręką. W dali na grobli pojawiła się ciemna kolumna piechoty. Bang-bang — wystrzeliły działka Bracegirdle'a. Na ten odgłos koń pod Hornblowerem wierzgnął i odciągnął jego uwagę, a gdy mógł znowu patrzeć, kolumna znikła. Potem niespodzianie balustrada grobli obok niego rozpadła się w drzazgi; coś z wielkim łoskotem uderzyło w nawierzchnię tuż przy nogach jego konia i przeleciało z wyciem — to był najbliższy w jego życiu strzał armatni, jaki chybił. W trakcie szamotania się z koniem stopy wypadły mu ze strzemion, a gdy znowu zapanował trochę nad swoim wierzchowcem, uznał, że rozsądniej będzie zsiąść i odprowadzić zwierzę z grobli na bok, w stronę działek Bracegirdle'a, który powitał go szerokim uśmiechem.

— Nie ma mowy, żeby przeszli w tym miejscu — powiedział. — Oczywiście, jeśli nasze zabójady też wykonają, co do nich należy. Wyrwa w moście jest w zasięgu obstrzału kartaczami i nieprzyjacielowi nie uda się jej załatać. Nie mam pojęcia, po co marnuje proch.

— Myślę, że wypróbujemy nasze siły — rzucił Hornblower z miną niezwykle doświadczonego wojaka.

Trząsłby się z podniecenia, gdyby nie opanowywał się z wysiłkiem. Może wyglądał nienaturalnie sztywno, ale nawet jeśli tak, to lepiej, niżby miał zdradzić zdenerwowanie. Odczuwał dziwną, niesamowitą przyjemność, gdy tak stał upozowany na zahartowanego w bojach weterana, wśród kul armatnich przelatujących ze świstem nad głową. Bracegirdle uśmiechał się i nie znać było po nim podniecenia. Hornblower obrzucił go przenikliwym spojrzeniem, zastanawiając się, czy jest w tym tyle samo pozy, co w jego zachowaniu.

— Znowu nadchodzą — odezwał się Bracegirdle. — Ach, to tylko strzelcy.

Groblą, w tyralierze, biegło kilku żołnierzy w stronę mostu. Zbliżywszy się na odległość długiego strzału z muszkietu padli na ziemię i zaczęli gwałtowny obstrzał; leżało tam już paru zabitych i strzelcy skryli się za ich ciałami. Strzelcy z tej strony przerwy, mający lepszą osłonę, zaczęli się odstrzeliwać.

— Nie mają szans, przynajmniej nie tutaj — powiedział Bracegirdle. — A popatrzcie tam.

Główne siły rojalistyczne, wezwane z miasta, maszerowały drogą. W tym momencie strzał armatni z drugiej strony rzeki trafił w czoło kolumny i przeorał ją — Hornblower zobaczył ciała zabitych wyrzucane na wszystkie strony. Kolumna załamała się. Nadjechał Pouzauges i zaczął wykrzykiwać rozkazy, i kolumna, zostawiwszy zabitych i rannych na drodze, zmieniła kierunek, chroniąc się na grząskich polach obok grobli.

Przy zgromadzonej tu prawie całej sile rojalistów wydawało się, że istotnie sforsowanie przejścia w tym miejscu będzie dla rewolucjonistów zupełnie niemożliwe.

— Dam chyba znać o tym naszym homarom — odezwał się Hornblower.

— Od świtu trwa tu strzelanina — zgodził się Bracegirdle.

Brzegiem szerokiego bagniska po bujnej trawie biegła wąska ścieżka wiodąca do brodu strzeżonego przez czterdziesty trzeci. Hornblower wprowadził konia na tę ścieżkę i dopiero tam go dosiadł; uznał, że w ten sposób uda mu się łatwiej skłonić konia, by poszedł w tym kierunku. Niezadługo zobaczył plamkę szkarłatu na brzegu rzeki — pikiety wysunięte przez główne siły na wypadek mało prawdopodobnej zresztą próby nieprzyjacielskiej przejścia przez bagna i okrażenia flanki brytyjskiej. Potem ujrzał chatkę wskazującą, gdzie jest bród, obok niej na polu widać było szeroki pas szkarłatu, tam gdzie główne siły czekały na dalszy rozwój sytuacji. Tu, gdzie bagno zwężało się i pas nieco wyższego gruntu dochodził aż do wody, rozlokowano kompanię żołnierzy piechoty morskiej. Lord Edrington siedział na swoim wierzchołku. Hornblower podjechał do niego i złożył raport, zająkując się w momentach, gdy koń pod nim zaczynał się kręcić niespokojnie.

— Mówi pan, że nie jest to żaden poważny atak? — pytał Edrington.

— Nic na to nie wskazywało, gdy stamtąd odjeżdżałem.

— Naprawdę? — Edrington patrzył uważnie za rzekę. — Tu ta sama historia. Żadnej próby sforsowania brodu siłą. Po cóż by mieli pokazywać się nam i nie atakować?

— Wydało mi się, sir, że niepotrzebnie marnują proch — rzekł Hornblower.

— To nie głupcy — mruknął sucho Edrington i jeszcze raz popatrzył uważnie na drugi brzeg rzeki. — A w każdym razie lepiej nie uważać ich za głupców.

Zawrócił konia, pocwałował do głównego oddziału i rzucił rozkaz kapitanowi, który podbiegł do niego. Kapitan powtórzył rozkaz donośnym głosem i kompania podniosła się, ustawiła w szereg i zastygła w bezruchu. Potem nastąpiły dalsze rozkazy i żołnierze wykonali w prawo zwrot i ruszyli rzędem krok w krok, z muszkietami pochylonymi pod jednakowym kątem. Edrington odprowadzał ich wzrokiem.

— Nie zaszkodzi mieć osłonę flanki — rzekł.

Huk działa z drugiej strony rzeki znowu przyciągnął ich uwagę w tamtą stronę; za bagnem pojawiły się oddziały maszerujące szybkim krokiem wzdłuż brzegu.

— To wraca ta sama kolumna, sir — zauważył dowódca kompanii. — Ta sama albo bardzo podobna.

— Maszerują tam i z powrotem i strzelają na ślepo — rzekł Edrington. — Panie Hornblower, czy oddziały emigrantów mają jakąś osłonę flanki od strony Quiberon?

— Od strony Quiberon, sir? — powtórzył zaskoczony Hornblower.

— Do diabła, czy nie słyszy pan zwykłego pytania? Mają czy nie mają?

— Nie wiem, sir — wyznał Hornblower skonfundowany.

W Quiberon stały wojska emigrantów w sile pięciu tysięcy i straż od tego kierunku wydawała się zupełnie niepotrzebna.

— Proszę więc pozdrowić ode mnie francuskiego generała wojsk emigranckich i przekazać mu radę, aby postawił na drodze silny oddział, jeśli dotąd tego nie uczynił.

— Tak jest, sir.

Hornblower skierował konia na ścieżkę wiodącą w stronę mostu. Słońce prażyło silnie opustoszałe pola. Od czasu do czasu dobiegał go huk wystrzału armatniego, lecz w górze skowronek zanosił się śpiewem na tle błękitu nieba. A potem, gdy wjechał na ostatnie wzniesienie gruntu wiodące do Muzillac i mostu, usłyszał nagle nieregularną strzelaninę. Wydało mu się, że dobiegają go jęki i krzyki, a to, co ujrzał, wjechawszy na szczyt wzniesienia, kazało mu ściągnąć cugle i zatrzymać konia. Pola przed nim roily się od uciekinierów w niebieskich mundurach z białymi pasami, a wszyscy gnali w jego stronę. Wśród uciekających galopowali jeźdźcy, wywijając szablami połyskującymi w świetle słonecznym. Dalej na lewo cała kolumna konnych jechała szybkim klusem przez pola, a w tyle za nimi słońce odbijało się w szeregach bagnetów żołnierzy zbiegających pędem z traktu w stronę morza.

Nie ulegało wątpliwości, co zaszło — Hornblower pojął to w ciągu tych kilku sekund, gdy siedział na koniu i patrzył — rewolucjoniści wprowadzili oddziały między Quiberon i Muzillac i zwiódłszy emigrantów demonstracyjnymi ruchami swoich wojsk po drugiej stronie rzeki, zaatakowali niespodziewanie z tego najmniej oczekiwanego kierunku. Bóg tylko jeden wiedział, co się dzieje w Quiberon — ale teraz nie było czasu myśleć o tym. Hornblower zawrócił konia i przynaglając go obcasami pocwałował w panice ścieżką ku oddziałom brytyjskim. Podskakiwał i trzął się w siodle, trzymając się kurczowo swego rumaka w obawie, aby nie spaść i nie dostać się w ręce ścigających go Francuzów.

Gdy dojeżdżał do stanowiska brytyjskiego, na odgłos kopyt wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Stał tam Edrington, trzymając konia za uzdę.

— Francuzi! — wrzasnął Hornblower ochryplym głosem, wskazując za siebie. — Nadchodzą!

— Niczego innego się nie spodziewałem — rzekł Edrington.

Wkładając nogę w strzemień wykrzyknął rozkaz. Zanim znalazł się w siodle, cały czterdziesty trzeci stał już w szeregu. Adiutant pogalopował odwołać kompanię znad brzegu rzeki.

— Francuzów jest dużo, co? Konnica, piechota, działa? — zapytał Edrington.

— Konni i piechota na pewno, sir — wydusił z siebie Hornblower, starając się myśleć jasno. —

Dział nie widziałem.

— A emigranci uciekają jak zające?

— Tak, sir.

— Już są tu.

Nad najbliższym wzniesieniem pojawiły się niebieskie uniformy, a ich właściciele biegli, potykając się ze zmęczenia.

— Musimy chyba osłaniać ich odwrót, chociaż nie są warci, by ich ratować — rzekł Edrington. — Spójrzcie tam!

Kompania, którą wysłał na osłonę flanki, pojawiła się na szczycie niewielkiego zbocza, uformowana w mały prostokąt, czerwona na tle zieleni. Gdy patrzyli, gromada konnych spłynęła z góry i otoczyła ich beładnie.

— Dobrze, że ich tam posłałem — zauważył Edrington spokojnie. — A oto nadchodzi kompania Mayne'a.

Oddział maszerował od strony brodu. Rozległy się krótkie rozkazy. Dwie kompanie zrobiły zwrot, a starszy sierżant z szablą i laską zakończoną srebrną gałką regulował krok i linię szeregów, jakby żołnierze byli na placu ćwiczeń.

— Radzę panu, Hornblower, zostać przy mnie — powiedział Edrington.

Skierował konia w stronę luki między dwoma kolumnami, a Hornblower bez słowa w ślad za nim. Jeszcze jeden rozkaz i oddział ruszył przez dolinę równym marszem, sierżanci okrzykami regulowali tempo, a starszy sierżant pilnował odstępów. Wokół nich przebiegali uciekający żołnierze z oddziałów emigranckich, większość z nich w stanie ostatecznego wyczerpania — Hornblower zobaczył kilku padających bez tchu na ziemię i niezdolnych do dalszego biegu. A potem na niskim zboczu z prawej strony pojawił się rząd kapeluszy z piórami, szereg szabli — regiment kawalerii jadący szybkim klusem. Hornblower dojrzał, jak uniosły się szable, konie przeszły w galop, rozległy się okrzyki szarżujących. Czerwone mundury stanęły. Nowy rozkaz — jeszcze jeden powolny, zdecydowany ruch i półbatalion ustawił się w czworobok, oficerowie na koniach pośrodku, ze sztandarem powiewającym nad ich głowami. Szarżujący jeźdźcy byli już o niecałe sto jardów od nich. Jakiś oficer o głębokim głosie zaczął wydawać rozkazy, modulując je, jakby podczas jakiejś uroczystej ceremonii. Na pierwszy rozkaz żołnierze zdjęli muszkiety z ramion, na drugi otworzyli jednocześnie ze szczękiem panewki z prochem. Na trzeci wszystkie muszkiety z jednej strony czworoboku znalazły się w początkowym położeniu celu.

— Za wysoko! — powiedział starszy sierżant. — Numer siedem, opuścić niżej.

Szarżujący kawalerzyści byli już w odległości zaledwie trzydziestu jardów, Hornblower zobaczył tych na czele, z rozwianymi płaszczami, pochylonych nad karkami koni, z szablami w wyciągniętych rękach skierowanymi prosto w przód.

— Ognia! — zawołał głęboki głos.

Odpowiedzią była pojedyncza ogłuszająca salwa strzałów oddanych jednocześnie ze wszystkich muszkietów. Dym skłębił się nad czworobokiem i rozwiął. Tam, gdzie patrzył Hornblower, leżało ze dwadzieścia koni i jeźdźców, niektórzy wijący się w agonii, inni bez ruchu. Regiment kawalerii rozdzielony, jak bystry strumień wody, który napotkał skałę, przecwałował obok czworoboku, nie wyrządzając mu żadnej szkody.

— Nieźle — orzekł Edrington.

Głos męski o głębokim brzmieniu rozległ się znowu; kompania, która strzelała przed chwilą, teraz — jak marionetki pociągane tym samym sznurkiem — ładowała muszkiety, jednocześnie wrywając zębami nabój, przybijając ładunek i wypluwając kulę do lufy muszkietu z tym samym przelotnym pochyleniem głowy. Edrington wpatrywał się w kawalerię w dolinie, zbierającą się na powrót w chaotyczną gromadę.

— Czterdziesty trzeci naprzód marsz! — rozkazał.

Z powagą obrzędu czworobok rozwarł się, utworzył ponownie dwie kolumny i kontynuował przerwany na chwilę marsz. Odkomenderowana kompania przeszła po ciałach zabitych ludzi i koni, by dołączyć do kolumn. Ktoś wzniósł okrzyk.

— Cisza w szeregach! — ryknął starszy sierżant. — Sierzancie, zapiszcie nazwisko tego, co krzyknął.

Hornblower zauważył, jak starszy sierżant odmierza uważnie wzrokiem odstęp między kolumnami — musiał być dokładnie utrzymywany, aby rozkaz formowania czworoboku mógł zostać dokładnie wykonany przez kompanię robiącą w tył zwrot.

— Jada znowu — rzekł Edrington.

Kawalerzyści formowali się do ponownej szarży, ale czworobok już czekał na nich. Teraz jednak konie były zdyszane, a jeźdźcy nie mieli już poprzedniego zapału. Najeżdżali nie zwartą ławą koni, lecz oddzielnymi grupkami, kierując się na jeden bok czworokąta, to znowu na drugi i ściągając wodze albo uskakując w momencie zbliżania się do najeżonego bagnetami szeregu. Ataki były zbyt słabe, aby mogły przetrzymać salwy kompanii. Na rozkaz dowódców to jedna, to druga sekcja oddawała strzały do bardziej zdeterminowanych grup jeźdźców. Hornblower ujrzał, jak któryś z nich — przypuszczalnie oficer, sądząc po złotych galonach — zatrzymał konia przed szeregiem muszkietów i wydobył pistolet. Zanim zdołał go odbezpieczyć, z pół tuzina muszkietów wypaliło jednocześnie: twarz oficera zmieniła się w krwawą maskę i obaj z koniem padli na ziemię. Wówczas cały oddział kawalerii zawrócił, jak stadko kuropatw na polu, i kolumna mogła maszerować dalej.

— Żadnej dyscypliny u tych żabojadów — zauważył Edrington.

Żołnierze posuwali się w kierunku morza, pod błogosławioną osłonę „Indefatigable”, lecz Hornblowerowi wydawało się, że krok ich jest nie do zniesienia powolny. Maszerowali jak na paradzie, z nieprawdopodobną precyzją, gdy tymczasem wokół nich i daleko w przodzie emigranci-uciekiniery szerokim strumieniem parli ku bezpieczeństwu. Obejrzawszy się Hornblower zobaczył pola pełne maszerujących kolumn — a raczej pędzącego mrowia — ścigającej ich piechoty rewolucyjnej.

— Niech raz tylko pozwoli się ludziom biec, a nic już ich nie zatrzyma — komentował Edrington, idąc za wzrokiem Hornblowera.

Uwagę ich zwróciły krzyki i strzały na flance. Pędząc kłusem przez zagony i podskakując na wybojach zbliżał się do nich wóz zaprzężony w wychudłego konia. Ktoś w marynarskiej bluzie i spodniach trzymał lejce, widać też było innych marynarzy strzelających z muszkietów do jeźdźców kręcących się wokół nich. To był Bracegirdle, na wozie do gnoju; mógł stracić działka, ale uratował swoich ludzi. Pościg odpadł, gdy wóz zbliżył się do kolumny. Stanąwszy, Bracegirdle zauważył Hornblowera na koniu i pomachał mu z podnieceniem.

— Boadicea[8] i jej rydwan! — zawołał.

— Będę wdzięczny, sir! — krzyknął Edrington potężnym głosem — jeśli pan pojedzie dalej i zajmie się przygotowaniem do naszego powrotu na okręty.

— Tak jest, sir!

Wychudzony koń pokłusował, ciągnąc podskakujący wóz i roześmianych marynarzy, uczepionych jego boków. Na flance ukazał się tłum piechurów, rozwścieczony, rozgestykulowany motłoch, śpieszący odciąć odwrót czterdziestego trzeciego. Edrington obrzucił pola spojrzeniem.

— Czterdziesty trzeci formować szyk liniowy! — krzyknął.

Niby ciężka — dobrze naoliwiona machina półbatalion ustawił się frontem do motłochu, kolumny utworzyły szeregi, a każdy żołnierz wstępował w swoją pozycję jak cegła układana w mur.

— Czterdziesty trzeci naprzód marsz!

Szkarłatna linia ruszyła, wolno i nieubłaganie. Motłoch gnał na jej spotkanie, pod wodzą oficerów wymachujących szpadami i wzywających żołnierzy za sobą.

— Gotuj broń!

Opuszczono wszystkie muszkiety naraz, szczęknęły panewki.

— Do strzału broń!

Żołnierze unieśli muszkiety i napierający motłoch zawahał się na widok tak strasznej groźby. Niektórzy cofali się w tłum, szukając za ciałami kolegów osłony przed salwą.

— Pal!

Rozdzierający trzask salwy. Patrząc nad głowami piechoty brytyjskiej ze swego dogodnego miejsca na grzbiecie konia Hornblower zobaczył, jak cały przedni szereg atakujących wali się pokotem. Tymczasem czerwona linia posuwała się naprzód i po każdym odmierzonego kroku żołnierze ładowali muszkiety na rozkaz jak maszyny, pięćset ust wypluwało naraz pięćset naboji do luf i pięćset prawych rąk unosiło jednocześnie pięć setek trzonów zamkowych. Gdy muszkiety podniesione zostały do strzału, czerwona linia miała już tylko przed sobą pole zasłane rannymi i zabitymi, gdyż tłum nacierających cofnął się przed maszerującą kolumną i wycofywał się dalej pod groźbą salwy. Salwa została oddana — kolumna posuwała się nieubłaganie. Nowa salwa — znowu parę kroków naprzód. Tłum atakujących rozpadł się. Najpierw rzucili się do ucieczki pojedynczy żołnierze, a potem wszyscy zawrócili w popłochu przed morderczym obstrzałem z muszkietów. Zbocze wzgorza poczerwiano od uciekających, jak przedtem od emigrantów.

— Stać!

Maszerujący zatrzymali się; linia przekształciła się w dwuszereg i rozpoczął się dalszy ciąg odwrotu.

— Całkiem przyzwoicie! — zauważył Edrington.

Koń Hornblowera skokami próbował przedostać się przez pole zasłane poległymi i rannymi, a on sam tak był zaabsorbowany utrzymywaniem się w siodle i tak pogrążony w myślach, że nie zauważył, iż minęli ostatnie wzniesienie i mieli teraz przed sobą połyskujące wody ujścia rzeki. Wąski pas błotnistej plaży zatłoczony był wojskami emigranckimi. Okręty czekały na kotwicach i łodzie, ku radości wszystkich, sunęły spiesznie w stronę brzegu. Najwyższy był czas na to, bo już najodważniejsze oddziały piechoty rewolucyjnej okręwały kolumny, oddając ku nim strzały z dalekiego zasięgu. Ludzie padali tu i ówdzie.

— Ścieśnić szeregi! — wołali sierżanci i żołnierze obojętnie wstępowali w opróżnione luki,

zostawiając za sobą zabitych i rannych.

Nagle koń adiutanta parsknął, wierzgnął zadem i opadł najpierw na kolana, a potem, kopiąc kończynami, na bok; piegowaty adiutant wyrwał nogi ze strzemion i wyskoczył z siodła, zanim koń zdążył przywalić go sobą.

— Czy jesteś ranny, Stanley? — spytał Edrington.

— Nie, milordzie. Cały i zdrowy — odpowiedział adiutant, otrzepując szkarłatny mundur.

— Nie będziesz musiał iść daleko pieszo — rzekł Edrington. — Nie ma potrzeby posyłać strzelców do odpędzania motłochu. Zatrzymujemy się tutaj.

Rozejrzał się wokoło i popatrzył na chatki rybackie nad plażą, na zdjętych paniką emigrantów na skraju wody i tłum żołnierzy piechoty rewolucyjnej zbliżający się w pościgu; czasu na przygotowania było niewiele. Czerwone mundury zajęły domki i już po chwili twarze pojawiły się w oknach. Szczęśliwie się złożyło, że osada rybacka osłaniała jedną flankę zejścia do plaży, a drugiej strzegło wyniosłe, strome i trudno dostępne wzgórze, na którego szczycie zajął pozycję oddziałek piechoty morskiej. W luce między tymi dwoma punktami obronnymi pozostałe cztery kompanie uformowały się w długą linię, nieco osłoniętą niewielkim wzniesieniem plaży.

Emigranci ładowali się już na łodzie eskadry na małych falach przyboju. Hornblower usłyszał trzask pojedynczego wystrzału z pistoletu, domyślił się, że to jakiś oficer wymuszał tam w ten sposób posłuszeństwo swoim rozkazom, nie chcąc dopuścić, aby przerażeni ludzie wdarli się tłumnie na łodzie i zatopili je. Jak gdyby w odpowiedzi z drugiego brzegu dał się słyszeć huk armatni. Bateria artyleryjska odprzodkowała działa tuż poza zasięgiem muszkietów i ostrzeliwała pozycję brytyjską, a wokół niej gromadziły się zmasowane bataliony piechoty rewolucyjnej. Pociski armatnie przelatywały z wyciem nisko nad głowami.

— Niech sobie postrzelają — rzekł Edrington. — Im dłużej, tym lepiej.

Artyleria nie mogła uczynić większej szkody Brytyjczykom ukrytym w zagłębieniu gruntu i dowódca sił rewolucyjnych musiał zdawać sobie z tego sprawę jak również z faktu, że nie wolno mu tracić czasu. Rozległo się bicie bębnów — ich ton był pełen groźby — i kolumny falą ruszyły naprzód. Były już tak blisko, że Hornblower mógł rozróżnić rysy twarzy oficerów na czele, wymachujących kapeluszami i szpadami.

— Czterdziesty trzeci gotuj broń! — powiedział Edrington i wszystkie panewki muszkietów szczęknęły naraz. — Siedem kroków naprzód — marsz!

Jeden — dwa — trzy — siedem kroków, starannie odmierzonych i linia znalazła się na małym wzniesieniu.

— Cel! Pal!

Salwa, jakiej nic nie mogło przetrzymać. Kolumny stanęły w miejscu, zafalowały niepewnie, dostały jeszcze jedną morderczą salwę i następną i poszły w rozsypkę.

— Wspaniale! — mówił Edrington.

Bateria znów zagrziała; dwaj żołnierze w czerwonych mundurach przewrócili się jak lalki i legli rozdarci na krwawą miazgę tuż przy nogach konia, na którym siedział Hornblower.

— Zewrzeć szereg! — wykrzyknął sierżant i żołnierze po obu stronach wypełnili wyrwę.

— Czterdziesty trzeci, siedem kroków w tył — marsz!

Teraz linia znalazła się za wzniesieniem, marionetki w czerwonych mundurach wycofały się w porę. Później Hornblower nie umiał sobie przypomnieć, czy rewolucjoniści atakowali jeszcze dwa czy trzy razy, by za każdym razem cofnąć się przed zgranym ogniem muszkietów. Lecz słońce już prawie zapadło w ocean, gdy obejrzawszy się zobaczył opustoszałą prawie plażę i Bracegirdle'a galopującego ku nim z raportem.

— Mogę teraz zwolnić jedną kompanię — odpowiedział Edrington, nie odrywając oczu od Francuzów.

— Po jej zaokrętowaniu przygotujcie wszystkie łodzie j czekajcie.

Jedna kompania odeszła w dwuszeregu — jeszcze jeden atak został odparty. Po nieudanych próbach wystarczał słabszy ogień, żeby powstrzymać napierających. Teraz bateria skierowała uwagę na cypelek na flance i zaczęła ostrzeliwać żołnierzy brytyjskich, a równocześnie batalion Francuzów ruszył do ataku na ten punkt.

— To nam daje trochę czasu — zauważył Edrington. — Kapitanie Griffin, może pan odmaszerować z ludźmi. Poczёт sztandarowy niech tu zostanie.

Środkowe kompanie schodziły plażą do czekających na nie łodzi, a tymczasem sztandar powiewający na wietrze i widoczny dla Francuzów za wzniesieniem dalej markował ich dawną pozycję. Kompania zajmująca chatki opuściła je, uformowała się i też odmaszerowała. Edrington podjechał kłusem do nasady małego cypelka, obserwował przez chwilę Francuzów przygotowujących się do ataku i piechotę spieszącą w bród do łodzi.

— Teraz grenadierzy! — krzyknął nagle. — Biegiem! Poczёт sztandarowy!

Ostatnia kompania schodziła w dół do morza po stromym zboczu cypla, biegnąc, ślizgając się i potykając. Niedbale trzymany muszkiet wypalił niespodziewanie. Ostatni żołnierz zbiegł ze zbocza, gdy poczёт sztandarowy dotarł do skraju wody i zaczął wdrapywać się do łodzi ze swoim cennym ciężarem. Francuzi zawyli i rzucili się masą na opuszczoną pozycję.

— Ruszamy, sir — powiedział Edrington, zawracając konia ku morzu.

Hornblower spadł z siodła, gdy jego koń wjechał na płyciznę, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Wypuścił cugle z rąk i po pas, a potem po ramiona w wodzie, brnął do barkasa z czterofuntówką na dziobie i z czekającym tam Bracegirdlem, który go wciągnął na pokład. Podniósł

głowę w sam czas, aby zobaczyć ciekawą scenę: Edrington dotarł do gigu „Indefatigable” wciąż trzymając cugle w dłoni. Na widok Francuzów zalewających opuszczoną przez nich plażę, odwrócił się, wziął muszkiet od najbliższego żołnierza, przyłożył lufę do głowy wierzchowca i wystrzelił. Koń padł w płyciznę, wijąc się w agonii, i tylko deresz Hornblowera został jako przyz dla rewolucjonistów.

— Wiosłować wstecz! — rzucił Bracegirdle i barkas odbił się od brzegu. Leżąc na dziobie łodzi Hornblower miał wrażenie, że nie ma siły ruszyć ani ręką, ani nogą, a plaża roiła się od rozkrzyczanych, gestykulujących Francuzów, oświetlonych czerwienią zachodzącego słońca.

— Chwileczkę — powiedział Bracegirdle, sięgnął po sznur zapałowy czterofuntówki i szarpnął nim silnie.

Działko ryknęło nad uchem Hornblowera, a pocisk wykonał swoją porcję zniszczenia na plaży.

— To był kartacz — zauważył Bracegirdle. — Osiemdziesiąt cztery kulki. Lewa, przestać wiosłować! Prawa, mocno naprzód!

Barkas ruszył w stronę oczekujących go okrętów. Hornblower patrzył na ciemniejący brzeg Francji. Tak się skończył ten incydent; próba obalenia rewolucji podjęta przez jego kraj spotkała się z krwawym oporem. Gazety paryskie zachłysną się radością; londyńska „Gazette” poświęci wyprawie kilka chłodnych w tonie wierszy. W momencie jasnowidzenia Hornblower przewidział, że za rok świat prawie zapomni o tym wydarzeniu. A za lat dwadzieścia pójdzie ono całkiem w niepamięć. A przecież te trupy z odciętymi głowami w Muzillac; te rozdarte szkarłatne mundury; ci Francuzi zasypani odłamkami kartacza wystrzelonego z czterofuntówki — wszyscy padli ofiarą dnia, który mógłby zmienić bieg historii. On sam był tak strasznie znużony. A w kieszeni miał wciąż chleb, który włożył tam rano i zapomniał o nim zupełnie.

Rozdział siódmy

Hiszpańskie galery

Stara „Indefatigable” stała na kotwicy w Zatoce Kadyksu w czasie, gdy Hiszpania zawarła pokój z Francją. Hornblower pełnił właśnie służbę midszypmena wachtowego i on to zwrócił uwagę porucznika Chadda na zbliżającą się sześciowiosłową pinasę z czerwono-żółtą flagą hiszpańską na rufie. Przez lunetę Chadd dojrzał błysk złota na epoletach i trójgraniasty kapelusz, krzyknął więc do trapowych i kompanii honorowej, aby oddano honory przynależne kapitanowi w służbie armii sprzymierzonej. Powiadomiony spiesznie Pellew czekał przy trapie, by powitać przybysza, i tam właśnie miała miejsce cała rozmowa. Hiszpan, pochylając się w niskim ukłonie, z kapeluszem przyłożonym do brzucha, podał Anglikowi zapieczętowaną kopertę.

— Panie Hornblower — rzekł Pellew, z nie otwartą kopertą w ręku. — Proszę zwrócić się do tego człowieka po francusku i zaprosić go na dół na szklaneczkę wina.

Lecz Hiszpan, kłaniając się, odmówił poczęstunku i prosił, by Pellew niezwłocznie otworzył list. Pellew złamał pieczęć i przesyłabizował z trudem treść — francuski znał bardzo słabo i to tylko w

piśmie. Podał arkusz Hornblowerowi.

— To znaczy, że diegowie zawarli pokój?

Hornblower przebrnął przez dwanaście wierszy komplementów skierowanych przez eksceleńcę hrabiego Belchite (granda pierwszej klasy, z osiemnastu innymi tytułami, z generałem dowodzącym Andaluzji włącznie) do najdzielniejszego dowódcy okrętu, Sir Edwarda Pellewa, kawalera Orderu Łaźni. Ustęp drugi był krótki i zawierał jedynie wzmiankę o pokoju. Trzeci ustęp, zawierający rozwlekłe zakończenie, był równie długi jak pierwszy i powtarzał prawie słowo w słowo jego treść.

— To wszystko, sir — powiedział Hornblower.

Lecz kapitan hiszpański uzupełnił zawarte w liście informacje, mówiąc w sepleniącej hiszpańskiej francuszczyźnie:

— Proszę powiedzieć pańskiemu dowódcy, że obecnie, jako mocarstwo neutralne, Hiszpania musi egzekwować swoje prawa. Stoją tu panowie na kotwicy już od dwudziestu czterech godzin. Za sześć godzin od tej chwili — Hiszpan wyjął z kieszeni złoty zegarek i spojrzał na niego — jeśli pozostaniecie w zasięgu baterii w Puntales, otrzymają one rozkaz ostrzelania waszego okrętu.

Hornblower mógł jedynie przetłumaczyć te ostre słowa bez próby ich złagodzenia, a Pellew słuchał, blady z wściekłości.

— Niech mu pan powie... — zaczął, ale powściągnął gniew. — Niech mnie diabli, jeśli dam mu poznać, że mnie rozwścieczył.

Przyłożył kapelusz do brzucha i imitując, jak tylko umiał, szarmancki ukłon Hiszpana, zwrócił się do Hornblowera:

— Proszę mu powiedzieć, że przyjąłem wiadomość z zachwytem. Że żałuję, iż okoliczności rozdzielają nas i że mam nadzieję, iż zawsze cieszyć się będę jego osobistą przyjaźnią niezależnie od stosunków między naszymi krajami. Niech mu pan powie... och, potrafi pan przecież wymyślić coś takiego, co powinienem rzec w takiej sytuacji, prawda, Hornblower? I proszę go wysadzić za burtę z honorami. Trapowi! Zastępcy bosmana! Dobosze!

Hornblower sadył komplementami, jak tylko umiał, i przy każdym zwrocie obaj kapitanowie kłaniali się sobie, przy czym Hiszpan po każdym ukłonie cofał się o krok, a Pellew podążał za nim, nie dając się zdystansować w kurtuazji. Odezwały się werble, żołnierze piechoty morskiej sprezentowali broń, a gwizdki świergotały aż do chwili, gdy głowa Hiszpana znalazła się poniżej poziomu pokładu głównego. Wtedy Pellew zeszywniał, wbił kapelusz na głowę i zwrócił się do swojego zastępcy:

— Panie Eccles, proszę, żeby w ciągu godziny okręt był w drodze.

Potem zszedł na dół, aby w samotności odzyskać równowagę.

Załoga na masztach luzowała żagle, gotowa do wybierania szotów, a szcęk kabestanów oznajmił, że inna grupa wybiera linę kotwiczną. Hornblower stał przy trapie lewej burty z cieślą, panem Walesem, spoglądając na białe domy jednego z najpiękniejszych miast Europy.

— Dwa razy schodziłem tam na ląd — mówił Wales. — Wino mają dobre, naturalnie jeśli ktoś lubi to paskudztwo. Ale ich wódki niech pan za nic nie weźmie do ust, panie Hornblower. To trucizna, ohydna trucizna. Oho, widzę, że będziemy mieli eskortę.

Dwa statki o długich ostrych dziobach wynurzyły się z zatoki i szły w kierunku „Indefatigable”. Hornblower, idąc za wzrokiem Wałęsa, nie mógł opanować okrzyku zdziwienia. Nadpływające jednostki były galerami; po obu stronach każdej z nich wiosła unosiły się i opadały rytmicznie, odbijając promienie słoneczne w chwilach, gdy pióra przekręcały się na płask. Efekt jednoczesnej pracy setki wiosł był wspaniały. Hornblower przypomniał sobie urywek z wiersza poety łacińskiego, który tłumaczył w szkole, i jak go dziwiło, że dla Rzymianina wiosła okrętu wojennego były jego „białymi skrzydłami”. Teraz zrozumiał porównanie; nawet mewa, której lot Hornblower zawsze podziwiał, nie szybowała piękniej od tych galer. Leżały nisko w wodzie, nieproporcjonalnie długie w stosunku do swej szerokości. Na niewysokich, pochylonych ukośnie masztach nie było ani żagli, ani rei łacińskich. Lśniące od złocień dzioby stateczków, idących pod lekki wiatr, pruły spienioną wodę, a na rufie, na szczycie masztu powiewała czerwono-złota flaga hiszpańska. W górę — w przód — na dół, pracowały wiosła niezmiennym rytmem, a przez cały cykl wiosłowania ich pióra nie zmieniały ani na cal wzajemnej odległości od siebie. Na dziobie każdej galery dwa działa o długich lufach wycelowane były wprost do przodu.

— Dwudziestoczerofuntówki — stwierdził Wales. — Jeśli zaskoczą jakiś okręt w czas ciszy, rozwałą go na drzazgi. Stają w pewnej odległości od tej ćwiartki rufy, gdzie nie można wytoczyć działa i dotąd walą ogniem flankowym, aż statek opuści banderę. A wtedy, niech nas Bóg ma w swojej opiece — lepsze już więzienie tureckie od hiszpańskiego.

W szyku torowym, jakby wyznaczonym przy pomocy linijki i sznura, galery przeniknęły obok lewej burty „Indefatigable” i wysunęły się przed nią. Bicie werbli i gwizdki bosmańskie wezwały załogę „Indefatigable” do stanięcia na baczność i pozdrowienia przepływającej mimo bandery i porpczyka dowódcy, a oficerowie galer odwzajemnili pozdrowienie.

— Chyba nie powinno tak być — mruczał Wales pod nosem — żeby oddawać im honory, jakby byli fregatą.

Gdy galera czołowa zrównała się z bukszprytem „Indefatigable”, wiosła na jej prawej rufie zaczęły pracować wstecz i obróciwszy się w miejscu jak bak, mimo że nieproporcjonalnie długa w stosunku do małej szerokości, stanęła przed dziobem fregaty. Cuchnący fetor, niesiony lekkim wiatrem, który wiał na okręt prosto od dwu mijających go galer, uderzył w nozdrza Hornblowera i widocznie nie tylko jego, bo na pokładzie rozległy się okrzyki obrzydzenia.

— Oni wszyscy tak śmierdzą — wyjaśnił Wales. — Po czterech na wiosło, a wiosł jest pięćdziesiąt. Dwie setki galerników. I wszyscy przykuci do ławek. Kiedy się człowiek dostaje na pokład jako galernik, przykuwają go do ławy i nie rozkuwają łańcuchów do chwili, aż trzeba go wyrzucić za burtę. Czasami, kiedy marynarze nie mają co robić, opróżniają węzeł zęzy, ale to zdarza

się rzadko, bo diegowie to brudasy i lenie, a w dodatku jest ich niewielu.

Hornblower swoim zwyczajem chciał mieć dokładne dane.

— Ilu, panie Wales?

— Może ze trzydziestu. Dosyć do manipulowania żaglami, jak muszą gdzieś płynąć. Albo do obsadzenia dział — zwalają wtenczas reje, panie Hornblower — tłumaczył Wales, uroczysty jak zawsze, akcentując lekko słowo „pan”, którego musiał używać sześćdziesięcioletni podoficer, bez żadnej nadziei na dalszy awans, zwracając się do osiemnastoletniego podoficera (nominalnie równego mu rangą), który kiedyś mógł zostać admirałem. — Wie pan, jak to jest. Mając załogę złożoną z nie więcej niż trzydziestu ludzi i aż z dwustu niewolników, oni boją się ich w ogóle rozkuwać.

Galery znowu wykonały zwrot i przepłynęły teraz pod prawą burtą „Indefatigable”. Uderzenia wiosła stały się wolniejsze, i Hornblower miał dosyć czasu na przyjrzenie się z bliska stateczkom, niskiej dziobówce i wysokiej rufówce oraz przejściu łączącemu je poprzez całą długość galery; w tym przejściu chodził człowiek z biczem. Wioślarzy nie było widać, zasłaniały ich balustrady, a wiosła wystawały z otworów w burtach, uszczelnionych kawałkami skóry owiniętej wokoło trzonów, aby nie dopuścić do wlewania się wody morskiej do środka. Na rufówce było dwóch ludzi u rumpla i grupka oficerów, ze lśnącymi w słońcu złotymi galonami. Gdyby nie te galony i dwudziestoczerofuntowe pościgówki dziobowe, Hornblower miałby przed oczyma dokładnie takie same łodzie, jakich używali starożytni w swoich bitwach. Polibiusz i Tucydydes opisywali galery prawie zupełnie podobne do tych — w istocie upłynęło niewiele więcej ponad dwieście lat od ostatniej wielkiej bitwy galer z Turkami pod Lepanto. Lecz w takich bitwach setki ich brało udział po obu stronach.

— Ile mają teraz w służbie? — spytał Hornblower.

— Może z tuzin. Stoją zawsze w Kartagenie, za Gibem.

Jak się domyślił Hornblower, Wales chciał przez to powiedzieć: za Cieśniną Gibraltarską, na Morzu Śródziemnym.

— Za kruche na Atlantyk — zauważył Hornblower.

Łatwo było wydedukować przyczyny uchowania się tej niewielkiej liczby galer — w znacznym stopniu przyczynił się do tego wrodzony konserwatyzm Hiszpanów. Ponadto skazanie na galery było jedynym sposobem pozbycia się przestępców. Galera wciąż mogła się przydać w czas ciszy morskiej — uwięzione ciszą okręty handlowe, przechodzące przez Cieśninę Gibraltarską, można było opanować przy pomocy galer wysłanych z Kadyksu czy Kartageny. Wreszcie galery mogły też czasem, przy niepomysłnym wietrze, holować statki do portu i z portu.

— Panie Hornblower! — odezwał się Eccles. — Proszę przekazać dowódcy wyrazy szacunku i zawiadomić go, że jesteśmy gotowi do wyruszenia.

Hornblower zszedł pod pokład z tą informacją.

— Pozdrowienia dla pana Ecclesa — rzekł w odpowiedzi Pellew, podnosząc oczy znad biurka.

— Proszę mu powiedzieć, że już idę na pokład.

Południowy wiatr wiał z dostateczną siłą, aby umożliwić „Indefatigable” bezpieczne opłynięcie cypla po nawietrznej. Podciągnięto kotwicę, przebrasowano reje i okręt skierował się ku morzu; w zdyscyplinowanej ciszy panującej na pokładach słychać było wyraźnie plusk wody pod dziobnicą — niewinny, melodyjny szum, nie mówiący nic o nieokiełznanym, groźnym żywiole morza, na które wypływał okręt. Wlokąc się pod samymi marsłami „Indefatigable” nie robiła więcej niż trzy węzły i galery, szybciej pracując wiosłami, znów ją wyprzedziły, jak gdyby chciały pokazać swoją niezależność od żywiołów przyrody. Błysnęły w słońcu pozłotą, mijając okręt po nawietrznej, a wstrętny odór raz jeszcze podrażnił nozdrza załogi „Indefatigable”.

— Byłbym zobowiązany, gdyby przechodziły po naszej zawietrznej — burczał Pellew, obserwując je przez lunetę. — Ale obawiam się, że kurtuazja Hiszpanów nie posunie się tak daleko. Panie Cutler!

— Sir! — zgłosił się artylerzysta.

— Może pan zaczynać salut.

— Tak jest, sir.

Karonada dziobowa na burcie zawietrznej oddała pierwszy wystrzał pożegnany, na który wnet odpowiedział fort w Puntales. Huk salutu przetoczył się po pięknej zatoce; jeden naród pozdrawiał kurtuazyjnie drugi.

— Obawiam się, że gdy następnym razem usłyszymy te działa, będą one załadowane — powiedział Pellew, patrząc na Puntales i powiewającą nad fortem flagę hiszpańską.

W samej rzeczy fale wojny obracały się przeciwko Anglii. Naród za narodem wycofywały się z walki z Francją, jedne pokonane orężem, inne dyplomacją energicznej młodej republiki. Dla każdego człowieka myślącego było rzeczą oczywistą, że przeszedłszy od wojny do neutralności łatwo będzie zrobić następny krok, od neutralności do wojny po przeciwnej stronie. Hornblower przewidywał rychłe nadejście chwili, gdy cała Europa zewrze swe siły przeciwko Anglii, która będzie musiała walczyć o życie z odmłodzoną potęgą Francji i wrogością całego świata.

— Panie Eccles, proszę postawić żagle — rozkazał Pellew.

Dwieście sprawnych par nóg wbiegło na wanty; dwieście wyćwiczonych par rąk zluźowało płótna i „Indefatigable” ruszyła ze zdwojoną prędkością, lekko przechylona łagodnym wiatrem. Wpłynęła na długą, martwą falę Atlantyku w ślad za galerami, które szybko zostawiła za sobą. Hornblower zobaczył, jak galera wiodąca zaryła dziobem w długim wale wodnym, aż bryzgi wody chlusnęły na jej bak. To było za dużo jak na tak kruchą jednostkę. Wiosła z jednej burty poszły do tyłu, z drugiej do przodu. Przez chwilę galery kołysały się niebezpiecznie w dolinie fali, zanim zawróciły i

popłynęły z powrotem na wody Zatoki Kadyksu. Ktoś gwizdnął na dziobie „Indefatigable”, a cały okręt mu zawtórował. Krzyki, gwizdy i miauczenia ścigały galery, załogę na chwilę ogarnęło rozprężenie, aż Pellew na pokładzie rufowym wpadł we wściekłość, a podoficerowie daremnie próbowali dowiedzieć się nazwisk sprawców. Było to prorocze pożegnanie Hiszpanów.

Naprawdę prorocze. Już wkrótce kapitan Pellew poinformował okręt, że Hiszpania przeszła na stronę wroga; po bezpiecznym odpłynięciu konwoju ze skarbami wypowiedziała wojnę Anglii; rewolucyjna republika zyskała sprzymierzeńca w postaci najbardziej podupadłej monarchii Europy. Siły brytyjskie zostały rozciągnięte do granic możliwości; trzeba było kontrolować nowy tysiąc mil brzegu, blokować jeszcze jedną flotę, osłaniać się przed dalszą zgrają korsarzy, mając przy tym znacznie mniej portów, w których można by szukać ucieczki, brać słodką wodę i skąpe zapasy, pozwalające utrudzonym załogom trwać dalej na morzu. Stało się więc koniecznością zawarcie sojuszu z na pół dzikimi państwami berberyjskimi, tolerowanie buty bejów i sułtanów po to, by otrzymywać z Afryki Północnej chude woły i jęczmień dla stacjonujących na lądzie, w rejonie Morza Śródziemnego, garnizonów brytyjskich i dla okrętów zapewniających połączenie z nimi. Oran, Tetuan, Algier pławiły się w niezwyklej dla nich obfitości dóbr dzięki przyływowi brytyjskiego złota.

W Cieśninie Gibraltarskiej panowała tego dnia kompletna cisza. Morze przypominało srebrną tarczę, niebo misę z szafiru, a góry Afryki z jednej strony i Hiszpanii z drugiej ciemniały poszarpanymi plamami na horyzoncie. Sytuacja nie była dobra dla „Indefatigable”, lecz nie z powodu żaru słonecznego, który zmiękczał smołę w spoinach pokładu. Z Atlantyku w kierunku Morza Śródziemnego zawsze płynie słaby prąd, a wiatry wieją zazwyczaj w tym samym kierunku. W czasie ciszy morskiej zdarzało się nieraz, że powiew przepychał okręt daleko za cieśninę i Skalę Gibraltarską i trzeba było potem lawirować przez szereg dni, a nawet tygodni, żeby się dostać do Zatoki Gibraltarskiej. Nic więc dziwnego, że Pellew niepokoił się o swój konwój statków zbożowych z Oranu. Trzeba było zaopatrzyć Gibraltar w żywność — Hiszpania wysłała już tam armię z nakazem oblężenia — a on nie chciał dopuścić, aby prąd zepchnął go poza miejsce przeznaczenia. Rozkazy do opornego konwoju poparte zostały sygnałami flagowymi i armatnimi, gdyż żadnemu ze statków handlowych słabo obsadzonych załogą nie uśmiechało się wykonywanie tego, czego domagał się od nich Pellew. „Indefatigable”, tak jak statki konwoju, opuściła łodzie na wodę, gdyż trzeba było holować wszystkie unieruchomione jednostki. Była to mordercza praca, niemal ponad ludzkie siły; marynarze w pocie czoła trudzili się u wiosła, a liny holownicze napinały się i skręcały z przewrotną złośliwością, tak że statki zbaczały kapryśnie to w jedną stronę, to w drugą. Posuwano się w ten sposób pół mili na godzinę za cenę kompletnego wyczerpania wiosłarzy, lecz dzięki temu opóźniano przynajmniej chwilę, gdy prąd gibraltarski zacznie ich znosić na zawietrzną i zyskiwano szansę doczekania upragnionego wiatru południowego — nie chcieli niczego więcej, jak dwóch godzin tego wiatru — aby ich zaniósł do Mole.

Wiosłarze barkasa i kutra z „Indefatigable” tak byli otumanieni wysiłkiem, że nie zauważyli zamieszania na okręcie. Wiosłowali bez przerwy pod bezlitosnym niebem, aby odpracować swoje koszarne dwie godziny, lecz głos samego dowódcy, wołającego do nich z baku, wyrwał ich z letargu.

— Panie Bolton! Panie Chadd! Proszę zaprzestać holowania. Wracajcie natychmiast na okręt i

każcie swoim ludziom uzbroić się. Nadpływają nasi przyjaciele z Kadyksu.

Przeszedłszy na pokład rufowy Pellew wpatrzył się przez lunetę w zamglony widnokrąg; zobaczył to, o czym dano mu znać z salingu.

— Idą prosto na nas — stwierdził.

Dwie galery szły z Kadyksu; przypuszczalnie posłaniec konny z punktu obserwacyjnego w Tarifie przyniósł, im wiadomość o tej nadzwyczajnej okazji, o zupełnej ciszy na morzu i o rozproszonym konwoju. To był moment, gdy galery mogły wykazać swą przydatność. Nie będąc w stanie uprowadzić nieszczęsnych statków handlowych, mogły je przecież opanować i spalić na oczach i prawie w zasięgu dział unieruchomionej i bezsilnej „Indefatigable”. Pellew zmierzył wzrokiem dwa handlowce i trzy brygi; jeden z nich był oddalony o około pół mili i ten będzie można osłaniać ogniem armatnim, lecz inne — odległe o półtorej mili, a nawet dwie — nie mogły liczyć na ochronę.

— Chłopcy, pistolety i kordy! — krzyknął do marynarzy wlewających się tłumnie z łodzi na pokład. — Wybrać tę linę! Ostrożnie z karonadą, panie Cutler!

„Indefatigable” brała udział w wielu ekspedycjach, gdzie liczyły się minuty, i jej załoga nauczyła się już nie tracić czasu na przygotowania. Ci z marynarzy, którzy mieli obsadzić kuter i barkas, zafasowali broń, sześćofuntowe karonady opuszczono na dzioby i już po chwili łodzie pełne uzbrojonych mężczyzn i zaopatrzone na wypadek nieprzewidzianego zwrotu sytuacji odpłynęły na spotkanie galer.

— Panie Hornblower, co, u diabła, pan wyczynia?

Pellew spostrzegł właśnie, że Hornblower opuszcza na wodę łódź, która była powierzona jego pieczy. Zastanawiał się, co jego midszypmen zamierza zdziałać, wyruszając przeciw galerze wojennej na łódeczce o długości dwunastu stóp, z sześciuosobową zaledwie załogą.

— Możemy podpłynąć do któregoś z konwojowanych statków i wzmocnić jego załogę, sir — odpowiedział Hornblower.

— Jeżeli tak, to proszę jechać. Wierzę w pański zdrowy rozsądek, nawet choćby to miało nie zdać się na nic.

— Brawo, sir! — wykrzyknął Jackson entuzjastycznie, gdy łódź odbiła od fregaty. — Brawo! Nikomu innemu nie wpadłoby to do głowy!

Jackson, sternik łodzi, był widocznie przekonany, że Hornblower wcale nie zamierza realizować swojego projektu wzmocnienia załogi któregoś z transportowców.

— Ci śmierzący diegowie — rzucił wzorowy przez zęby.

Hornblower czuł, że jego załoga żywi to samo uczucie gwałtownej wrogości w stosunku do galer hiszpańskich co on, lecz przypisywał to uczucie okolicznościom, w jakich zetknęli się z galerami po

raz pierwszy, i smrodowi, który wlokły za sobą. Nigdy dotąd nie doświadczał „prywatnie” uczucia nienawiści; jeśli walczył, to bił się jako oficer w służbie króla, a nie wskutek osobistej animozji. A teraz, wychylony do przodu, ścisnął rumpel pod palącymi promieniami słońca i jednego tylko pragnął — jak najszybciej wziąć się za bary z nieprzyjacielem.

Barkas i kufer znacznie ich wyprzedziły i chociaż mieli załogę zaprawioną w wiosłowaniu, mknęły z taką szybkością że mimo gładkiej jak stół wody łódź bardzo wolno się do nich. Pióra wiosła ubijały na pianę wodę, która była tego dnia błękitna jak nigdy. Przed nimi statki konwoju stały unieruchomione w różnych miejscach, gdzie zastała je nagle zapadła cisza morska, a w tyle, tuż za nimi, Hornblower pochwycił wzrokiem błysk piór wiosła galer mknących, by porwać swój łup. Barkas i kuter rozeszły się, aby dać osłonę możliwie największej liczbie statków, a gig był ciągle daleko w tyle. Wyglądało, że nie będzie czasu na dostanie się na pokład jakiegokolwiek jednostki konwoju, nawet gdyby Hornblower miał istotnie taki zamiar. Przełożył ster, by dostosować swój kurs do kursu kutra; w tym momencie jedna z galer pojawiła się nagle w luce między dwoma statkami handlowymi. Hornblower zobaczył, że kuter zawraca i celuje swą sześćofuntową karonadą w dziób nadpływającej galery.

— Wiosłować, chłopcy! Mocno wiosłować! — krzyczał w najwyższym podnieceniu.

Nie miał pojęcia, jak się sprawy potoczą, ale pragnął gorąco znaleźć się w wirze walki. Sześćofuntowe działko strzelało bardzo niecelnie na każdy zasięg większy od zasięgu kuli z muszkietu. Nadawało się do miotania kartaczy w zbity tłum ludzi, lecz jego pociski nie mogły wiele zaszkodzić wzmocnionemu dziobowi galery wojennej.

— Mocniej wiosłować! — nawoływał Hornblower wysokim głosem. Już je prawie dochodził, gdy zaczęły zajmować pozycje za ćwiartką rufową kutra.

Rozległ się huk karonady. Hornblowerowi zdawało się, że widzi drzazgi z dziobu galery, ale strzał zrobił na niej takie wrażenie, co dmuchawka do strzelania grochem na atakującym bawole. Galera obróciła się nieznacznie, ustawiając się dokładnie w linii i wiosła jej zaczęły pracować ze wzmoczoną szybkością. Szła do uderzenia, jak greckie galery pod Salaminą.

— Mocniej! — darł się Hornblower.

Instynktownie ustawił rumpel tak, aby skierować łódź na flankę.

— Przestać wiosłować!

Wiosła zamarły, lecz łódź samym rozpędem minęła kuter. Hornblower zobaczył Soamesa stojącego na ławce rufowej i wpatrującego się w śmierć, która prując błękitną wodę pędziła w ich stronę. Przy zderzeniu dziób w dziób kuter miał pewne szansę wyjścia obronną ręką, lecz zbyt późno zdecydowano się na tę próbę uniknięcia ciosu. Hornblower widział, jak kuter obraca się, wystawiając swą słabą burtę na uderzenie. Tyle tylko mógł zobaczyć, bo w następnej chwili galera zasłoniła sobą widok finału tragedii. Prawostronne wiosła łodzi o mało się nie zetknęły z lewymi wiosłami atakującej galery. Hornblower usłyszał przeraźliwy krzyk i trzask i zobaczył, że w momencie zderzenia galera prawie stanęła w miejscu. Pałał obłąkaną żądzą walki, a mózg jego

pracował z szaleńczym pośpiechem.

— Lewa naprzód! — zawołał i łódź zawróciła pod rufą galery. — Obie naprzód!

Łódź skoczyła za galerą jak terier za buhajem.

— Jackson, u diabła, zahaczaj ich!

Jackson zaklął w odpowiedzi i przeskoczył przez wiosłarzy, nie zakłócając, zdało się, rytmu ich pracy. Znalazłszy się na dziobie chwycił kotwiczkę dziobową z długą linką i zarzucił ją z rozmachem, tak, że zaczepiła o jakąś misternie złoconą poręcz na rufie galery. Ciągnął linkę, a załoga wiosłowała jak opętana, starając się doprowadzić łódź pod rufę galery.

To co Hornblower ujrzał w tej chwili, miało go długo prześladować w snach — spod rufy galery wynurzył się strzaskany przód kutra, z ludźmi uczepionymi tych jego resztek, które ocalały po przejściu pod całą długością galery. Twarze jednych były wykrzywione z wysiłku, innych zalane krwią, a jeszcze inne, twarze martwych, miały w sobie wyraz ulgi. Pojawili się i znikli, a Hornblower poczuł szarpnięcie liny, gdy galera ruszyła naprzód.

— Nie daję rady trzymać! — wołał Jackson.

— Idioto, okręć ją o kołek!

Galera ciągnęła łódź za rufą na linie długości dwudziestu stóp, tuż za swym sterem. Płynęła w spienionym warcie rufowym, z dziobem zadartym w górę. Czuli się tak, jakby złapali wieloryba na harpun. Ktoś przybiegł na rufę hiszpana z nożem w ręce, aby odciąć linkę.

— Jackson, zastrzel go! — zakrzyczał Hornblower.

Rozległ się trzask pistoletu Jacksona i Hiszpan padłszy na pokład znikł im z oczu — wspaniały strzał. Opętany żądzą walki, zalewany wirem spienionej wody pod morderczo upalnym słońcem Hornblower usiłował obmyślić następny krok. Zarówno chęć, jak i zdrowy rozsądek doradzały mu wdać się w walkę z nieprzyjacielem, mimo ryzyka takiego planu.

— Podciągnąć się do nich! — krzyknął — wszyscy na łódce krzyczeli albo wyli. Marynarz na dziobie łodzi odwrócił się do przodu, pochwycił linkę i zaczął ją wciągać, lecz pęd łódki utrudniał to zadanie, a po zbliżeniu się o jard dalsze wybieranie liny stało się zupełnie niemożliwe, gdyż przy zarzucaniu kotwiczka zahaczyła o poręcz rufówki na wysokości dziesięciu czy jedenastu stóp nad wodą i w miarę zbliżania się łodzi do rufy galery kąt zaczepienia stawał się coraz większy. Dziób łódeczki podniósł się już bardzo wysoko nad wodę.

— Mocuj! — zawołał Hornblower, a potem jeszcze głośniej: — Chłopcy, wyjąć pistolety!

Na rufie galery pojawiło się kilka smagłych twarzy. Hiszpanie wycelowali muszkiety i nastąpiła krótka, lecz gwałtowna wymiana strzałów. Ktoś upadł z jękiem na dno łodzi, lecz ciemne twarze znikły. Stojąc niepewnie na kołyszącej się ławce rufowej Hornblower nie mógł dojrzeć niczego na rufowce galery poza dwoma głowami ludzi obsługujących rumpel.

— Załadować broń! — rzekł, przypomniawszy sobie jakimś cudem, że trzeba wydać taki rozkaz. Marynarze wsunęli pręty przybitek w lufy pistoletów.

— Róbcie to ostrożnie — dodał — jeśli chcecie pożyć na tym świecie.

Dygotał z podniecenia i pragnienia walki, a rozkazy wydawał automatycznie, dzięki wpojonej rutynie. Umysł jego był zamroczony żądzą krwi. Patrzył przez różowy tuman na to, co się działo wokół niego. Nagle rozległ się brzęk szkła. Ktoś uderzył lufą muszkietu w wielkie okno kabiny rufowej na galerze. Na szczęście zaraz się potem cofnął, by złożyć się do strzału, który oddał niemal jednocześnie z nieregularną salwą pistoletów. Nikt nie zauważył, dokąd poszła kula Hiszpana; on sam osunął się z okna w dół.

— Na Boga! Tędy możemy wejść! — zawołał Hornblower, a potem, zreflektował się, dorzucił: — Ładuj broń!

Podczas gdy marynarze wypluwali naboje w lufy, on wstał ze swego miejsca. W pasie tkwiły pistolety, których nie zdążył jeszcze użyć, do boku miał przypasany kord.

— Hej, ty, przechodź na rufę — powiedział do wzorowego; dziób łodzi nie wytrzyma dalszego wzrostu obciążenia. — I ty też.

Hornblower stał niepewnie na ławce rufowej, obserwując linię kotwiczki i okno kajuty.

— Jackson, przyślijcie wszystkich po kolei za mną — rozkazał.

Zebrał się w sobie i skoczył, chwytając się liny, która ugięła się pod nim, tak że nogi musnęły wodę, lecz wysiłkiem ramion dźwignął się do góry. Z boku miał strzaskane okno kajuty; skoczył, rozbił kopnięciem tkwiący jeszcze w ramie kawałek szyby, wsunął do środka nogi, a potem całe ciało. Zeskakując uderzył głucho o podłogę kabiny. Było tu ciemno w porównaniu z oślepiającą jasnością słońca. Podniósłszy się, nastąpił na coś, co wydało bolesny jęk — widocznie ranny Hiszpan — dłoń, którą sięgnął po kord, była lepka od krwi. Hiszpańskiej krwi. Wstając uderzył z hukiem głową o belki pokładu, gdyż niewielka kabina była bardzo niska, miała nieco ponad pięć stóp. Uderzenie było tak silne, że prawie stracił przytomność. Ale przed sobą miał drzwi, więc chwając się wyszedł przez nie z kordem w dłoni. Nad głową słyszał kroki, za sobą i w górze strzały — wymieniane, jak przypuszczał, w dalszym ciągu między łodzią a galerą. Drzwi z kabiny prowadziły na niski półpokład i Hornblower zataczając się wyszedł na światło słoneczne. Znajdował się na skrawku pokładu przy uskoku rufówki. Przed sobą miał wąskie przejście między dwoma rzędami wioślarzy; spojrzawszy w dół ujrzał dwa szeregi brodatych twarzy, skołtunione włosy i spalone słońcem postacie chylące się rytmicznie w przód i w tył w takt uderzeń wiosel.

To było całe wrażenie, jakie na nim zrobili w tym momencie. Na drugim końcu przejścia, przy uskoku dziobówki, stał dozorca z biczem, wykrzykiwał do niewolników jakieś słowa w rytmicznych odstępach — przypuszczalnie liczył po hiszpańsku, nadając tempo wiosłowania. Na baku było trzech czy czterech ludzi; niżej, w grodzi dziobowej kołysały się nie domknięte drzwi, i Hornblower dojrzał przez nie dwa duże działa oświetlone światłem wpadającym przez otwory w burtach, w które były wytoczone, prawie na poziomie wody. Przy działach stali artylerzyści, lecz było ich

znacznie mniej, niż powinna liczyć obsługa dwóch dwudziestoczerofuntowych. Hornblower przypomniał sobie, że według Wałęsa załoga galery liczy nie więcej niż trzydziestu ludzi. Obsługa jednej z armat musiała zostać odwołana na rufę dla obrony rufówki przed atakiem.

Na odgłos kroków za plecami zerwał się przerażony i odwrócił, z gotowym do uderzenia kordem w dłoni, aby zobaczyć Jacksona, który dzierżąc swój nóż gramolił się z półpokładu.

— Mało co nie rozwaliłem sobie makówki — odezwał się Jackson.

Mówił z trudem, jak człowiek pijany, a z jego słowami zmieszał się odgłos dalszych strzałów oddanych z rufówki tuż nad ich głowami.

— Następny idzie Oldroyd — ciągnął Jackson. — A Franklin zabity.

Po obu stronach przejścia prowadziły drabiny na pokład rufówki. Z logicznego punktu widzenia powinni wchodzić każdy po innej stronie, ale Hornblower uczynił inaczej.

— Chodźmy — rzekł i skierował się do drabiny po prawej stronie, a zobaczywszy nadchodzącego Oldroyda, kazał mu iść także.

Poręcze drabiny były skręcone z czerwonego i żółtego sznura — nawet taki szczegół zauważył, posuwając się szybko w górę z pistoletem w jednej ręce, a kordem w drugiej. Uczynił jeszcze jeden krok i głowa jego wynurzyła się nad poziom pokładu. Na pokładzie małej rufówki zebrało się przeszło dwunastu chłopów, ale dwóch z nich już zostało zabitych, jeden — ranny — jęczał głośno, plecami oparty o poręcz, a dwóch stało przy rumplu. Pozostali obserwowali przez balustradę łódź. Hornblower pałał nieprzytomną żądzą walki. Jak jeleń przesadził jednym susem ostatnie stopnie i wyjąc niczym obłąkany rzucił się na Hiszpanów. Pistolet wypalił sam, ale twarz człowieka oddalonego od niego o jard zalała się krwią; Hornblower odrzucił pistolet, chwycił drugi i kciukiem przycisnął spust, uderzając równocześnie z rozmachem kordem w szablę uniesioną przez Hiszpana w odruchu obrony. Walił raz za razem z siłą obłąkańca. Przy nim parł Jackson, krzycząc ochryple i bijąc na prawo i lewo.

— Śmierć im! Na pohybel! — darł się Jackson.

Hornblower zobaczył jego kord spadający ruchem błyskawicy na głowę bezbronnego mężczyzny u rumpla. A potem, gdy sam z kordem w dłoni nacierał na kolejnego Hiszpana, kątem oka zobaczył skierowany w siebie nóż, lecz uratował go wystrzał oddany automatycznie z pistoletu. Obok wypalił jeszcze jeden — Oldroyda, jak przypuszczał — i walka na rufówce skończyła się. Hornblower nie umiałby powiedzieć, co za niespodziewany cud sprawił, że Hiszpanie dali się zaskoczyć atakiem. Być może nie wiedzieli, że człowiek w kabinie został ranny i sądzili, że będzie ochraniał tamto wejście, a może nie przyszło im po prostu do głowy, że trzej marynarze mogą popaść w taką desperację, aby zaatakować dwunastu ludzi; być może zresztą nie zauważyli, że ci trzej przedostali się niebezpieczną drogą po linii kotwiczki, a najprawdopodobniej w tym całym zamęcie stracili zwyczajnie głowy, gdyż upłynęło zaledwie pięć minut między zahaczeniem się liną o galerę a oczyszczeniem rufówki z nieprzyjaciół. Kilku Hiszpanów zbiegło zejściówką na pokład główny, a stamtąd popędziło przejściem między rzędami niewolników. Jeden został dopadnięty przy

balustradzie, lecz zanim zdążył wykonać gest poddania, palce Jacksona zacisnęły się na jego gardle. Jackson był prawdziwym siłaczem; przełożył Hiszpana przez poręcz, a potem uniósł go za lędźwie i wyrzucił za burtę. Hiszpan leciał krzycząc rozpaczliwie. Pokład rufówki był zasłany wijącymi się z bólu mężczyznami, jak dno łodzi rzucającymi się rybami. Jeden z nich dźwigał się na kolana, gdy Jackson i Oldroyd pochwycili go w zamiarze wyrzucenia za burtę.

— Zostawić go! — krzyknął Hornblower i obaj opuścili potulnie Hiszpana, który z hukiem upadł na zakrwawione deski pokładu.

Jackson i Oldroyd zataczali się jak pijani, dysząc chrapliwie i tocząc szklistym wzrokiem. Hornblower otrząsał się już z szału walki. Postąpił naprzód, do uskoku rufówki, i otarł pot z oczu, pragnąc zetrzeć czerwony tuman, który przesłaniał mu wzrok. Na dziobie zebrała się spora grupka pozostałych Hiszpanów. Gdy Hornblower szedł w ich stronę, któryś strzelił z muszkietu, lecz kula przeszła mimo. W dole wioślarze schylali się dalej rytmicznie, w przód i w tył, w przód i w tył, a ich skudłacone głowy i nagie ciała poruszały się w takt uderzeń wiosł, a także w rytm głosu dozorczy, gdyż stał on dalej w przejściu — za nim tłoczyli się Hiszpanie — wołając w różnych odstępach: — Seis, siete, ocho.

— Stop! — krzyknął Hornblower.

Przeszedł na prawą burtę, by widzieć dobrze wioślarzy po tej stronie. Podniósł dłoń i powtórzył rozkaz. Kilka zarośniętych twarzy zwróciło się ku niemu, lecz wiosła pracowały dalej.

— Uno, dos, tres — dyrygował dozorca.

Jackson stanął u boku Hornblowera i zniżył pistolet w zamiarze zastrzelenia pierwszego z brzegu wioślarza.

— Och, dajcie spokój! — powiedział Hornblower z rozdrażnieniem. Miał już dość zabijania. — Poszukajcie moich pistoletów i załadujcie je.

Stał u góry zejściówki niczym zjawa z koszmarnego snu. Niewolnicy nie zaprzestali wiosłowania; przy uskoku dziobówki, w odległości trzydziestu jardów, tłoczyło się dwunastu Hiszpanów; z tyłu za nim ranni jęcząc oddawali ducha. Następny apel do wioślarzy został zignorowany podobnie jak poprzednie. Oldroyd musiał mieć najmocniejszą głowę lub najszybciej zdążył ochłonąć.

— Mogę ściągnąć banderę, sir? — zapytał.

Hornblower ocknął się ze snu. Na flagsztoku nad relingiem rufowym powiewała żółto-czerwona flaga.

— Tak, ściągnijcie ją natychmiast — rozkazał.

Umysł miał teraz jasny, a wąska galeria nie zasłaniała mu już pola widzenia. Rozejrzał się wokoło, spojrzął na błękitne morze. Zobaczył statki handlowe, a dalej „Indefatigable”. W tyle pienił się wart rufowy galery. Był zakrzywiony. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że trzyma za rumpel i że przez ostatnie trzy minuty galera cięła niebieskie wody bez udziału steru.

— Oldroyd, chodźcie do rumpla — rozkazał.

Czyżby było galera to, co zniknęło w zamglonej dali? Ależ tak, a daleko, na jej śladzie torowym, płynął barkas. Zaś na lewo od dziobu stał na wiosłach gig — Hornblower dojrzał małe postacie wymachujące rękami na dziobie i rufie i zaświtało mu w głowie, że to jest reakcja na opuszczenie bandery hiszpańskiej. Znów rozległ się strzał od strony dziobu i silne uderzenie w poręcz tuż przy nim wyrzuciło w powietrze strumień złożonych drzazg. Ale on już oprzytomniał zupełnie i pobiegł na rufę, deptając po ciałach konających. W tyle rufówki nie było widać go z przejścia, był więc zabezpieczony przed strzałami. Po lewej stronie dziobu wciąż widział gig.

— Oldroyd, ster w prawo.

Galera zawracała powoli — jej nieproporcjonalna długość utrudniała manewrowanie samym sterem, bez pomocy wiosła — lecz wkrótce dziób zakrył widok gigu.

— Ster zero!

Zabawne, że podskakując na wodzie pieniającej się pod rufą galery łódź trwała tam jeszcze, z jednym człowiekiem żywym i dwoma trupami na pokładzie.

— Co z resztą, Bromley, co z resztą? — krzyczał Jackson.

Bromley wskazał za burtę. Zastrzelono ich z relingu rufowego, w chwili gdy Hornblower z pozostałymi szykowali się do ataku na rufówkę.

— Czemu, u diabła, nie włączysz do nas?

Bromley podniósł lewą rękę, podtrzymując ją prawą; był bezradny. Od niego nie można więc było oczekiwać pomocy, a przecież galera musiała zostać opanowana całkowicie. W przeciwnym razie można się było obawiać, że powiozą ich do Algeciras; choćby mieli w swych rękach ster, dozorca wiosłarzy i tak będzie dyktował kurs, jeśli zechce. Można było spróbować jeszcze jednej drogi.

Teraz, gdy opuściła go już gorączka bitwy, Hornblower wpadł w ponury nastrój. Było mu wszystko jedno, co się z nim stanie; wraz z podnieceniem opuściła go i nadzieja, i obawa, popadł w zupełną rezygnację. Umysł jego, wciąż czynny, podpowiadał mu, że skoro została tylko jedna droga do zwycięstwa, musi jej spróbować. Obojętny i otepiały, wykonał tę próbę jak automat, spokojnie i bez emocji. Wrócił do balustrady rufówki; Hiszpanie stali wciąż w zbitej gromadzie na drugim końcu przejścia, a dozorca dalej podawał rytm wiosłarzom. Marynarze angielscy spojrzeli na Hornblowera, a on powoli i uważnie włożył do pochwy kord, który do tej chwili trzymał w ręku. Czyniąc to zauważył krew na mundurze i na rękach. Wolnymi ruchami przypiął kord do pasa.

— Jackson, moje pistolety — powiedział.

Jackson podał mu pistolety, które z tą samą dokładnością włożył do pasa. Odwrócił się do Oldroyda, a Hiszpanie zafascynowani obserwowali każdy jego ruch.

— Oldroyd, zostańcie przy rumplu. Jackson, za mną. Nie róbcie niczego bez mojego rozkazu.

Z twarzą oblaną słońcem zszedł po drabinie zejściówki, wszedł na przejście i kroczył w stronę Hiszpanów. Po obu stronach zarośnięte kudłami głowy i nagie ciała galerników dalej pochylały się w takt ruchu wiosła. Zbliżył się do Hiszpanów; zaczęli nerwowo manipulować przy szpadach, muszkietach i pistoletach, lecz oczy wszystkich spoczywały na jego twarzy. Jackson idący za nim zakaszłał. Dwa jardy przed Hiszpanami Hornblower zatrzymał się i obrzucił ich spojrzeniem. Potem wskazał na całą grupę, z wyjątkiem dozorca, i na bak.

— Ruszajcie wszyscy na dziób — powiedział.

Stali z oczyma wlepionymi w niego, chociaż musieli zrozumieć gest.

— Ruszać na dziób — powtórzył, czyniąc szeroki ruch ręką i tupiąc nogą.

Jeden tylko z grupy wyglądał na takiego, który czynnie mógłby się sprzeciwić, toteż Hornblower już miał wyrwać pistolet z pasa i położyć go trupem na miejscu, lecz pistolet mógł nie wypalić, a strzał mógł wytrącić Hiszpanów ze stanu zafascynowania. Obrzucił mężczyznę spojrzeniem.

— Dalej na dziób, słyszycie, co mówię.

Powoli ruszyli, powłócząc nogami. Hornblower obserwował, jak szli. Oblała go znów fala podniecenia, a serce waliło w piersi tak silnie, że trudno mu się było opanować. Ale nie wolno mu było działać pochopnie. Odczekał, aż wszyscy się oddalą, i wówczas dopiero zwrócił się do dozorca.

— Każ tym ludziom przestać — powiedział.

Patrzył mu w oczy i wskazywał na wiosłarzy; usta dozorca drgnęły, lecz nie wydały głosu.

— Każ im przestać — powtórzył, kładąc tym razem dłoń na kolbie pistoletu.

To wystarczyło. Dozorca rzucił komendę wysokim tonem i wiosła natychmiast zamarły. Dziwna rzecz, jaka cisza zapanowała nagle z chwilą, gdy wiosła przestały trzeć o dulki. Teraz słyhać było wyraźnie bulgotanie wody wokół galery posuwającej się dalej samym rozpędem. Hornblower odwrócił się i krzyknął:

— Oldroyd! Gdzie jest teraz gig?

— Blisko z lewej strony dziobu, sir!

— Jak blisko?

— Dwa kable, sir. Idzie w naszą stronę.

— Jeśli możesz, steruj na nich.

— Tak jest, sir.

Ile czasu będzie potrzebował gig na przejście dwóch kabli na wiosłach? Hornblower zaczął się obawiać przyływu ducha bojowego u Hiszpanów. Dalsze czekanie mogło się tym skończyć, nie wolno mu więc stać beczynnie. Słyszał szum wody pod sunącą naprzód galerą, toteż zwrócił się do Jacksona.

— Statek dobrze idzie, co, Jackson? — powiedział i roześmiał się najzwyczajniej w świecie.

— Tak jest, sir, chyba tak, sir — odpowiedział zaskoczony Jackson; bawił się nerwowo swoim pistoletem.

— A spójrzcie na tego człowieka — ciągnął Hornblower wskazując na galernika. — Czy widzieliście kiedyś w życiu taką brodę?

— N-nie, sir.

— Mów coś do mnie, idioto. Rozmawiaj ze mną zwyczajnie.

— Kiedy nie wiem co m-mówić, sir.

— Nie masz rozumu, Jackson, niech cię diabli. Widzisz pręgę na ramieniu galernika? Musiał dostać niedawno batem od dozorca.

— Może być, że ma pan rację, sir.

Hornblower zdławił zniecierpliwienie i miał już znowu się odezwać, gdy usłyszał, że coś zaszurało przy burcie i stuknęło głucho, a w chwilę później załoga gigu zaczęła wlewać się przez balustrady. Poczuł niewypowiedzianą ulgę, lecz przypomniał sobie o konieczności zachowania pozorów. Wyprostował się sztywno.

— Miło mi powitać pana na statku, sir — przemówił, gdy porucznik Chadd przerzucił nogi przez poręcz i wskoczył na pokład główny, przy uskoku dziobówki.

— To mnie jest miło spotkać **pana** — odrzekł Chadd, rozglądając się ciekawie dokoła.

— Ci na dziobie to jeńcy, sir — ciągnął Hornblower. — Warto by może ich zamknąć. To chyba wszystko, co zostało do zrobienia.

Teraz nie mógł pozwolić sobie na odprężenie; wydawało mu się, że już na zawsze zostanie z tym napięciem nerwów. Gdy galera podплыnęła do burty „Indefatigable”, witana okrzykami jej załogi, Hornblower z mętlikiem w głowie, jękając się, złożył raport kapitanowi Pellewowi, zmuszając się nie zapomnieć o podkreśleniu w najwyższych słowach odwagi Jacksona i Oldroyda.

— Admirał będzie zadowolony — rzekł Pellew, patrząc uważnie na Hornblowera.

— Cieszę się, sir — usłyszał Hornblower własną odpowiedź.

— Teraz, gdy straciliśmy biednego Soamesa — ciągnął Pellew — będziemy potrzebowali nowego oficera wachtowego. Myślę o tym, żeby mianować pana p.o. porucznikiem.

— Dziękuję, sir — odrzekł wciąż oszołomiony Hornblower.

Soames posiwiał w służbie i miał wielkie doświadczenie. Żeglował po siedmiu morzach, walczył w wielu bitwach, lecz w obliczu niecodziennej sytuacji nie potrafił myśleć na tyle szybko, by uchronić swą łódź od ciosu galery. Soames zginął, a p.o. porucznik zajmie jego miejsce. Hornblower nigdy nie przypuszczał, że obietnicę awansu zawdzięczał temu, że porwał go szal bojowy, że potrafi tak się poddać szaleństwu. Jak Soames, jak reszta załogi „Indefatigable” dał się ponieść ślepej nienawiści do nieprzyjaciela i tylko dobry los sprawił, że jeszcze żyje. To była rzecz warta zapamiętania.

Rozdział ósmy

Egzamin na porucznika

„Indefatigable”, fregata jego królewskiej mości, wpływała do Zatoki Gibraltarskiej. Na jej pokładzie rufowym p.o. porucznik Horatio Hornblower stał u boku Pellewa sztywny, onieśmielony. Lunetę miał skierowaną na Algeciras; dziwna to była sytuacja, że dwie duże bazy marynarki wojennej walczących ze sobą mocarstw znajdowały się w odległości nie więcej niż sześciu mil od siebie, i zbliżając się do portu należało obserwować Algeciras, gdyż zawsze mogła wyskoczyć stamtąd eskadra Hiszpanów i zaatakować nieostrożną fregatę.

— Osiem... nie, dziewięć statków gotowych do stawiania żagli, sir — zameldował Hornblower.

— Dziękuję panu — odparł Pellew. — Załoga do wykonania zwrotu.

„Indefatigable” halsując podchodziła do Mole. Port gibraltarski był jak zwykle zatłoczony statkami, gdyż z konieczności miały tu bazę wszystkie siły morskie Anglii znajdujące się na Morzu Śródziemnym. Pellew kazał wziąć marsie na gejtawy i przełożyć ster. Rozległ się łoskot wybiegającej liny kotwicznej i „Indefatigable” stanęła.

— Przygotować mój gig — rozkazał Pellew.

Pellew wybrał granatowy i biały na barwy swojej łodzi i uniformów jej załogi — granatowe bluzy i białe spodnie, białe kapelusze z niebieskimi wstążkami. Ciemnogrnatowy kolor łodzi podkreślała biel krawędzi, a wiosła miały pióra pomalowane na biało, trzonki zaś na niebiesko. Całość prezentowała się bardzo elegancko, gdy gig niesiony wiosłami muskał powierzchnię wody, wioząc Pellewa na kurtuazyjną wizytę u admirała komendanta portu. Wkrótce po jego powrocie przybiegł do Hornblowera posłaniec.

— Dowódca przesyła pozdrowienia, sir, i chce pana widzieć u siebie w kajucie.

— Zrób dokładny rachunek sumienia — zaśmiał się midszypmen Bracegirdle. — Jakie zbrodnie popełniłeś?

— Żebym to ja wiedział — odparł szczerze Hornblower.

Każdy, kto udaje się do dowódcy na jego wezwanie, przeżywa nerwowe chwile. Hornblower przełknął ślinę, zbliżając się do drzwi kajuty, i zmusił się, żeby zapukać i wejść. Ale nie było powodu do obawy; Pellew, uśmiechając się, patrzył na niego zza biurka.

— Panie Hornblower, sądzę, że ucieszy pana ta wiadomość. Jutro na „Santa Barbarze” odbędzie się egzamin na stopień porucznika. Mam nadzieję, że jest pan gotów przystąpić do niego?

Hornblower już miał rzec: „Sądzę, że tak, sir”, ale się zreflektował.

— Tak, sir — powiedział. Pellew nie znosił niezdecydowanych odpowiedzi.

— Doskonale. Zgłosi się pan tam o trzeciej po południu ze swoimi zaświadczeniami i dziennikami okrętowymi.

— Tak jest, sir.

Rozmowa była krótka jak na tak ważny temat. Od dwóch miesięcy na mocy rozkazu Pellewa Hornblower pełnił obowiązki porucznika. Jutro ma egzamin. Jeśli zda, następnego dnia admirał potwierdzi rozkaz i Hornblower będzie porucznikiem z dwumiesięcznym stażem służbowym. Ale jeśli nie zda! Będzie to oznaczało, że nie zasługuje na ten stopień. Wróci do rangi midszypmena, straci dwa miesiące stażu, a następną próbę będzie mógł podjąć dopiero po upływie sześciu miesięcy. Różnica ośmiu miesięcy w stażu była sprawą dużej wagi. Zaciążyłoby to na przebiegu całej jego późniejszej kariery.

— Proszę powiedzieć panu Boltonowi, że ma pan moje pozwolenie na opuszczenie okrętu w dniu jutrzejszym i skorzystanie z którejś z naszych łodzi.

— Dziękuję, sir.

— Powodzenia, Hornblower.

W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin Hornblower musiał nie tylko przejrzeć cały „Krótki podręcznik nawigacji” Norriego i „Podręcznik wiedzy okrętowej” Clarke'a, lecz dopilnować, aby jego mundur galowy był jak z pudełka. Ofiarował swoją rację alkoholu szefowi kuchni, żeby pozwolił stewardowi z mesy młodszych oficerów rozgrzać żelazko na płycie kuchennej i uprasować mu halsztuk. Od Bracegirdle'a pożyczył świeżą koszulę, lecz potem zdenerwował się, gdy stwierdził, że cały zapas szuwaksu w ich mesie wysechł na wiór. Obaj midszypmeni próbowali zmiękczyć go domieszką tłuszczu, lecz buty Hornblowera, wysmarowane uzyskaną w ten sposób mazią, za nic nie chciały błyszczeć; trzeba było polerować je długo wyleniała szczotką, a potem miękką szmatką, żeby nabrały połysku odpowiedniego na taką okazję jak egzamin na porucznika. A co do trójgraniastego kapelusza — to nakrycie głowy przechodzi ciężkie próby w mesie midszypmenów, toteż niektórych wgnieceń nie można było całkowicie usunąć.

— Zdejm go, jak tylko będzie można, i cały czas trzymaj pod pachą — doradzał Bracegirdle. — Może nie zauważą, jak będziesz włożył na pokład.

Wszyscy zbiegli się zobaczyć odpływającego Hornblowera, ze szpadą u boku, w białych spodniach i butach ze sprzączkami, z dziennikami okrętowymi pod pachą i zaświadczeniami trzeźwości i dobrego zachowania się w kieszeni. Było już późne popołudnie zimowe, gdy dowieszony łodzią do „Santa Barbary”, wszedł przez burtę i zgłosił oficerowi wachtowemu swoje przybycie.

„Santa Barbara” była hulkiem więziennym, jednym z przyzów zdobytych w bitwie Rodneya pod Kadyksem w roku 1780 i od tego czasu pozbawiona masztów gniła na kotwiczowisku, służąc w czasie pokoju za magazyn pływający, a w czasie wojny za więzienie. Trapów strzegli żołnierze w czerwonych mundurach, z załadowanymi muszkietami i bagnietami na broni; na dziobie i rufie stały karonady wycelowane na pokłady, z lufami obniżonymi tak, aby mogły ostrzeliwać śródokręcie, na którym kilku jeńców w łachmanach i z ponurymi minami odbywało spacer. Przeskakując przez burtę Hornblower poczuł smród od strony, gdzie zamkniętych było dwa tysiące jeńców. Zameldował oficerowi wachtowemu o swoim przybyciu i o jego celu.

— Któż by mógł się tego spodziewać? — powiedział oficer wachtowy, starszawy porucznik z siwymi włosami spadającymi na ramiona — przebiegając oczyma po nieposzlakowanym mundurze i teczce pod pachą Hornblowera. — Już piętnastu takich przybyło na pokład — a spójrzcie tylko tam, o święci pańscy!

W kierunku „Santa Barbary” płynęła cała flotylla małych łódek, a w każdej co najmniej jeden midszypmen w trójganiastym kapeluszu i białych bryczesach, w niektórych zaś nawet czterech i pięciu.

— Wszyscy elegancy młodzi ludzie na całym Morzu Śródziemnym umierają z chęci otrzymania epoletów — ciągnął porucznik. — Poczekajcie tylko, niech komisja egzaminacyjna zobaczy, ilu was jest! Nie chciałbym być w twojej skórze, młody kawalerze. Idźże na rufę i czekaj w kabinie na lewej burcie.

Już w tej chwili było tam ciasno; wchodzącego Hornblowera zmierzyło piętnaście par oczu. Byli tu oficerowie w różnym wieku, od osiemnastu do czterdziestu lat, wszyscy na galowo i wszyscy podenerwowani — ten i ów miał na kolanach otwarty „Krótki podręcznik” Norriego i pilnie czytał ustępy, w których nie czuł się pewny. Kilkuosobowa grupka podawała sobie butelkę z rąk do rąk, widocznie chcąc dodać sobie odwagi. Ale w ślad za Hornblowerem zaczął się wlewać strumień dalszych przybyszów. Kajuta, początkowo ciasna, wkrótce będzie przepełniona. Połowa z czterdziestu w niej obecnych zdołała ulokować się na siedząco, reszta musiała stać.

— Czterdzieści lat temu — rozległ się czyjś głos — mój pradziad maszerował pod dowództwem Clive'a pomścić Black Hole[9] w Kalkucie. Gdyby mógł widzieć los swego potomstwa!

— Napij się — odezwał się ktoś inny — i precz z troskami.

— Jest nas czterdziestu — mówił wysoki chudy oficer o wyglądzie urzędnika, licząc głowy obecnych. — Ilu przepuszczą, jak myślicie? Pięciu?

— Precz troski — powtórzył przepity głos z kąta i zaintonował pieśń. — Precz, precz smutek wszelki, zapal fajkę, staw butelki...

— Przestań, idioto! — powiedział któryś ostro. — Słyszycie?

Powietrze napełnił świergot gwizdków bosmańskich i ktoś na pokładzie wykrzyknął rozkaz.

— Kapitan przybywa na pokład — zauważył ktoś. Jeden z oficerów przyłożył oko do szpary w drzwiach.

— To Krążownik Foster — oświadczył.

— Lubi robić na złość, jak mało kto — zauważył młody tęgi oficer, siedzący wygodnie z plecami opartymi o grodz.

Znowu rozległy się gwizdki.

— Harvej ze stoczni — mówił ten przy drzwiach.

Zaraz też pojawił się trzeci kapitan. — To Czarny Charlie Hammond — poinformował obserwator. — Wygląda, jakby zgubił gwineę, a znalazł sześć pensów.

— Czarny Charlie? — zawołał któryś, zrywając się na nogi i przepychając do drzwi. — Dajcie mi zobaczyć! Tak, to on! A więc macie tu przed sobą młodego dżentelmena, który nie stanie do egzaminu. Bo za dobrze wiem, jaka będzie odpowiedź. „Jeszcze sześć miesięcy służby na morzu, sir, i co za bezczelność zgłaszać się na egzamin, mając tak mało wiadomości!” Czarny Charlie nie zapomni nigdy, że jego ulubiony pudel wypadł mi do morza z kutra w Port-o'-Spain, kiedy dowodził „Pegazem”. Żegnajcie, panowie. Pozdrówcie ode mnie komisję egzaminacyjną.

Powiedziawszy to, wyszedł, rzucił parę słów wyjaśnienia oficerowi wachtowemu i przywołał łódź, aby zabrała go z powrotem na jego okręt. — O jednego mniej — stwierdził oficer o wyglądzie urzędnika. — Cóż nam przynosisz, mój chłopcze?

— Pozdrowienia od komisji — rzekł posłaniec — i pierwszy z panów jest proszony na egzamin.

Nastąpił moment wahania; nikt nie chciał być pierwszą ofiarą.

— Ten najbliżej drzwi — powiedział starszawy oficer nawigacyjny. — Pójdzie pan na ochotnika, sir?

— Będę Danielem — powiedział midszypmen, który przed chwilą wyglądał przez szparę w drzwiach. — Pamiętajcie o mnie w waszych modlitwach.

Obciągnął mundur, poprawił halsztuk i wyszedł, a reszta czekała w ponurym milczeniu, zakłócanym tylko bulgotem płynu w butelce, z której znowu pociągał podpity midszypmen. Minęło całe dziesięć minut, zanim wrócił kandydat na awans, starając się uśmiechać dzielnie.

— Dalsze sześć miesięcy w morzu? — spytał któryś.

— Nie — zabrzmiała nieoczekiwana odpowiedź. — Trzy!... Proszono mnie o przysłanie następnego. Niech pan idzie.

— Ale o co pytali?

— Zaczęli od tego, żebym podał definicję loksodromy... Ale radzę panu nie kazać im czekać. — Ze trzydziestu oficerów otworzyło podręczniki, żeby przejrzeć ustęp o loksodromie.

— Był pan tam dziesięć minut — mówił oficer wyglądający na urzędnika, spoglądając na zegarek. — Jest nas czterdziestu, każdy po dziesięć minut — będzie północ, zanim dojdą do ostatniego z nas. Nie uda im się skończyć.

— Będą głodni — zauważył ktoś.

— Głodni naszej krwi — powiedział inny.

— Może będą brać po kilku — odezwał się trzeci — jak wojskowe trybunały francuskie.

Słuchając ich Hornblower pomyślał o arystokratkach francuskich dowcipkujących u stóp gilotyny. Kandydaci wychodzili i wracali, niektórzy chmurni, inni uśmiechnięci. W kajucie zrobiło się luźniej; Hornblower znalazł nawet miejsce, żeby usiąść i wyprostować nogi z nonszalanckim westchnieniem ulgi, natychmiast jednak uświadomił sobie, że zachował się jak na scenie. W istocie był ogromnie zdenerwowany. Zapadała zimowa noc i jakiś dobry Samarytanin przysłał parę łojówek dla jakiegoś takiego oświetlenia ciemnej kajuty.

— Przepuszczają jednego na trzech — stwierdził oficer o wyglądzie urzędnika, gotujący się na swoją kolejkę. — Może będę tym trzecim.

Po jego wyjściu Hornblower podniósł się; miał iść jako następny. Wyszedł pod półpokładem w ciemną noc i wciągnął w płuca czyste chłodne powietrze. Z południa wiał łagodny wiatr ochłodzony w czasie przelotu nad pokrytymi śniegiem górami Atlas w Afryce. Nie było widać ani gwiazd, ani księżyca. Właśnie wracał oficer przypominający wyglądem urzędnika.

— Niech pan się pośpieszy — rzekł. — Oni się niecierpliwiają.

Hornblower minął wartownika i skierował się do kabiny na rufie. Była jasno oświetlona, więc wchodząc zamrugał oczyma i potknął się o jakąś przeszkodę. I dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że nie wygładził halsztuka i nie sprawdził, czy szpada zwisa prawidłowo u boku. Szedł dalej, mrugając nerwowo, ku trzem srogim obliczom za stołem.

— No, sir? — odezwał się surowy głos. — Proszę się zameldować. Nie mamy czasu na tracenie.

— H-Hornblower, sir. H-Horatio Hornblower. M-midszypmen... to jest pełniący obowiązki porucznika, z fregaty „Indefatigable”.

— Proszę o pańskie świadectwa — przemówiła twarz po prawej stronie.

Hornblower podał jej i gdy czekał, aż zostaną przejrzone, odezwała się twarz z lewej strony. — Panie Hornblower, płynie pan przez Kanał bejdewindem na lewym halsie i przy silnym północno-wschodnim wietrze, mając Dover o dwie mile na północ. Czy to jasne?

— Tak, sir.

— Wiatr obraca się o cztery rumby i zastaje pana z wybranymi na sztywno szotami. Co pan zrobi, sir? Co pan wtedy zrobi?

Jeśli Hornblower myślał o czymkolwiek w tej chwili, to o loksodromach; pytanie to zaskoczyło go tak, jak zaskoczyłaby go opisana sytuacja. Otworzył usta i zamknął, nie wyrzekłszy słowa.

— W tej chwili już pan stracił maszty — odezwała się twarz w środku o smagłej cerze; Hornblower domyślał się, że należy do Czarnego Charliego Hammonda, ale w żaden sposób nie potrafił się zmusić do myślenia o egzaminie.

— Pozbawiony masztów — podjęła twarz z lewej strony, z uśmiechem Nerona napawającego się męką konających chrześcijan. — A po zawietrznej ma pan urwiste skały Dover. Jest pan w trudnej sytuacji, panie e... Hornblower.

To była prawda. Usta Hornblowera otwały się i znów zamknęły. Jego otępiały mózg pochwycił bezwiednie głuchy odgłos wystrzału armatniego oddanego gdzieś niedaleko. Komisja nie zareagowała na to, lecz w chwilę później rozległa się seria wystrzałów. Trzej kapitanowie porwali się na nogi. Bezceremonialnie wybiegli z kajuty, odsuwając po drodze wartownika przy drzwiach. Hornblower pobiegł za nimi; znaleźli się na śródokręciu na czas, aby dojrzeć błysk rakiety wylatującej wysoko w nocne niebo i rozpryskującej się w szkarłatne gwiazdki. To był alarm ogólny; przez wody kotwicowiska dobiegł ich łoskot werbli bijących na alarm bojowy na wszystkich okrętach. Na przejściu przy lewej burcie tłoczyli się pozostali kandydaci, mówiąc podnieconymi głosami.

— Patrzcie tam! — powiedział ktoś.

— W odległości pół mili na czarnej wodzie wykwitło żółte światelko, a wkrótce ujrzeli statek ogarnięty ogniem. Miał postawione wszystkie żagle i parł prosto między okręty stłoczone na kotwicowisku.

— Brandery!

— Oficer wachtowy! Przywołać mój gig! — ryczał Foster.

Szereg branderów płynęło fordewindem, prosto na gęstwą statków na kotwicach. Na „Santa Barbarze” zapanowała gorączkowa krzątanina; marynarze i żołnierze piechoty morskiej śpieszyli tłumnie na pokład, a kapitanowie i kandydaci do egzaminu przywoływali łodzie, by ich zabrały na macierzyste okręty. Wodę rozświetlił pomarańczowy błysk płomienia, po czym natychmiast rozległ się huk salwy burtowej; któryś okręt strzelał z dział, próbując zatopić brander. Niech tylko jeden z

tych zionących ogniem kadłubów zetknie się na moment z którymś z zakotwiczonych okrętów, płomień przeskoczy na suche, pokryte farbą drewno, smołowane liny i łatwopalne żagle, a nic go już nie ugasi. Dla załóg łatwopalnych statków wypełnionych środkami wybuchowymi pożar był najstraszniejszym spośród niebezpieczeństw grożących na morzu.

— Hej, łódź! — zawołał nagle Hammond. — Łódź! Podejść do burty! Podpływać do burty, u diabła!

Jego bystre oko zauważyło przepływającą mimo dwuwiosłową łódeczkę.

— Do burty albo strzelam do was! — dodał Foster. — Hej, wartowniku, przygotować się do oddania strzału!

Na tę groźbę łódka zawróciła i wsunęła się pod ławy wantowe.

— Proszę bardzo, panowie — rzekł Hammond.

Trzej kapitanowie ruszyli spieszenie ku ławom wantowym i uchwyciwszy się lin wskoczyli do łódki. Hornblower trzymał się tuż za nimi. Wiedział doskonale, że istnieje niewielka szansa, aby młodszy oficer dostał łódź dla przewiezienia go na okręt, gdzie jego powinnością było stawić się natychmiast. Gdy kapitanowie dotrą do swego miejsca przeznaczenia, będzie mógł użyć łodzi na dopłynięcie do „Indefatigable”. W momencie gdy łódka odbijała, wskoczył z rozpędem na ławkę rufową, prosto na kapitana Harveya, a pochwa jego szpady zawadziła ze zgrzytem o burtę. Lecz trzej kapitanowie przyjęli jego nieproszoną obecność bez żadnych komentarzy.

— Kierunek na „Dreadnought”! — rozkazał Foster.

— U diaska, ja jestem starszy szarżą — zareplikował Hammond. — Ruszajcie na „Calypso”.

— Jest „Calypso” — odparł Harvey, z ręką na rumplu, prowadząc łódź po czarnej wodzie.

— Wiosłować! Mocno wiosłować! — wołał w zdenerwowaniu Foster. Nie ma gorszej tortury psychicznej niż to, co czuje dowódca, nieobecny na swoim okręcie w chwili, gdy ten jest w niebezpieczeństwie.

— Mamy tu jeden z nich — powiedział Harvey.

W niewielkiej odległości płynął pod marsłami w ich kierunku mały bryg; zobaczyli na nim ogień, który wybuchł nagle z wściekłym trzaskiem i w jednej chwili spowił płomieniami cały statek, jak rusztowanie do fajerwerków. Płomienie buchały z otworów w burtach i hucząc kłębiły się nad przejściami nad lukami. Woda dookoła płonącej jednostki lśniła żywą czerwienią. Nagle okręt stanął i zaczął się powoli obracać.

— Najechał na linę kotwiczną „Santa Barbary” — stwierdził Foster.

— Nas już prawie minął — dodał Hammond. — Niech Bóg ma w opiece tych na „Santa Barbarze”. Za minutę będzie przy jej burcie.

Hornblower pomyślał o dwóch tysiącach jeńców hiszpańskich i francuskich stłoczonych pod pokładami hulka.

— Gdyby ktoś stanął u steru brandera, można by go odsunąć — powiedział Foster. — Powinniśmy to uczynić!

Po czym sprawy potoczyły się szybko. Harvey przełożył ster. — Mocno wiosłować! — krzyknął na wiosłarzy.

Ci jednak okazali niechęć do płynięcia prosto na buchający ogniem kadłub.

— Wiosłować! — powtórzył Harvey.

Wyciągnął szpadę z pochwy, a krwawy płomień odbił się groźnie w ostrzu przyłożonym do gardła wzorowego. Ze szlochem wiosłarz pociągnął za wiosło i łódka skoczyła do przodu.

— Podwieź nas pod jego nawis rufowy — powiedział Foster. — Będę skakać.

Hornblowerowi wreszcie rozwiązał się język. — Sir, ja pójdę. Odprowadzę go.

— Proszę ze mną, jeśli pan chce — odparł Foster. — Możemy obaj być potrzebni.

Jego przezwisko Krążownik Foster mogło pochodzić od nazwy okrętu[10], ale było zupełnie uzasadnione. Harvey ustawił łódkę pod rufą brandera; szedł on teraz fordewindem i nabierał prędkości, zmierzając prosto ku „Santa Barbarze”.

Przez moment Hornblower był najbliżej brygu ze wszystkich pasażerów łodzi, a nie było czasu do stracenia. Stanął na ławce i skoczył; chwycił za coś rękami i pomagając sobie nogami wciągnął swe niezgrabne ciało na pokład. Ponieważ bryg szedł fordewindem, płomienie były zdmuchiwane w stronę dziobu; tutaj, na samej rufie, było tylko strasznie gorąco, lecz uszy Hornblowera nappełnił ryk płomieni i trzask płonącego drewna. Podskoczył do koła i ujął dłońmi za szprychy; koło było unieruchomione pętlą liny. Odrzuciwszy ją i ujawszy szprychy, wyczuł opór wody na piórze steru. Nacisnął całym swoim ciężarem na szprychę i przekręcił koło. Bryg miał już za chwilę zderzyć się prawą stroną z dziobem „Santa Barbary” i płomienie oświetliły przerażony, rozgestykulowany tłum na jej baku.

— Na burtę! — ryknął Foster nad uchem Hornblowera.

— Jest na burtę! — odpowiedział Hornblower i w tym momencie bryg zareagował na ster i dziób odwrócił się bez zderzenia.

Z otworu łukowego za grotmasztem buchnęła olbrzymia fontanna ognia, obejmując płomieniami maszt i takielunek, a równocześnie powiew wiatru skierował ogień na rufę. Instynktownie, trzymając jedną ręką ster, Hornblower drugą dłonią podniósł kołnierz swojego munduru i ukrył w nim twarz. Płomień zawirował wokół niego i zgasł. Lecz ta zabawa zaczynała być niebezpieczna; bryg dalej obracał się pod działaniem steru i teraz groziło mu zderzenie rufą z dziobem „Santa Barbary. Hornblower desperacko przełożył ster na drugą burtę. Płomienie zapędziły Fostera na rufę,

do relingu, ale teraz wrócił do niego.

— Na nawietrzną!

Bryg reagował już na ster. Prawą stroną rufy uderzył w śródokręcie „Santa Barbary” i odbił się od niej.

— Ster na środek! — krzyczał Foster.

Brander przeszedł w odległości zaledwie dwóch do trzech jardów od burty „Santa Barbary”; wzdłuż burty biegła grupa przerażonych marynarzy, towarzysząc przesuwającemu się branderowi. Na pokładzie rufowym inna grupa czekała z bosakiem, aby go odepchnąć; Hornblower zobaczył ich kącikiem oka, przepływając mimo. Już byli bezpieczni.

— Po lewej stronie dziobu mamy „Dauntless” — powiedział Foster. — Proszę trzymać się z daleka.

— Tak jest, sir.

Ogień huczał straszliwie; trudno było uwierzyć, że na tym niewielkim skrawku pokładu można jeszcze było oddychać i żyć. Hornblower czuł potworny żar na dłoniach i twarzy. Oba maszty wyglądały jak olbrzymie piramidy płomieni.

— Rumb w prawo — powiedział Foster. — Wprowadzimy go na mieliznę w pobliże lądu.

— Jest rumb w prawo — odpowiedział Hornblower.

Poniosła go fala egzaltacji; ryk ognia upajał go i ani przez chwilę nie czuł lęku. A potem cały pokład w odległości zaledwie jarda albo dwóch od steru buchnął ogniem i pękł. Płomienie strzelały z otwartych spoin i żar stał się nie do zniesienia, a ogień przemieszczał się szybko w kierunku rufy wzdłuż pękających spoin.

Hornblower sięgnął po linę, żeby zamocować ster, lecz zanim zdążył to uczynić, ster obrócił mu się jałowo w dłoni, przypuszczalnie wskutek przepalenia się sterociągów na dole, a w tej chwili pokład pod jego nogami podniósł się do góry i wybrzuszył pod działaniem ognia. Instynktownie cofnął się do relingu rufowego. Był tam Foster.

— Sterociągi się przepaliły, sir — zameldował Hornblower.

Płomienie huczały wokół nich. Rękaw jego munduru zaczął się tlić.

— Skaczemy! — powiedział Foster.

Hornblower poczuł, że Foster spycha go w dół — to było szaleństwo. Wychylił się, wstrzymał z przerażenia oddech w momencie, gdy zawisł w powietrzu. Uderzenie o wodę pozbawiło go tchu i poznał, co to uczucie panicznego strachu, gdy fale zamknęły się nad nim i musiał walczyć o wydostanie się na powierzchnię. Było zimno — Morze Śródziemne w grudniu jest chłodne. Mimo

szpady ciężającej mu u boku przez chwilę utrzymywał się na wodzie dzięki powietrzu zawartemu w ubraniu, ale nic nie widział w ciemności, bo w oczach miał jeszcze blask płomieni. Ktoś trzepotał się w wodzie obok niego.

— Płynęli za nami w łodzi, żeby nas wyciągnąć — odezwał się głos Fostera. — Czy umie pan pływać?

— Tak, sir. Niezbyt dobrze.

— Tak samo jak ja — odparł Foster; a potem podniósł głos i zawołał! — Hej, tam! Hammond! Harvey!

Spróbował unieść się i krzyczeć głośniej, lecz opadł z chłupotem w wodę; powtórzył próbę raz i drugi, choć woda wlewała mu się do gardła nie dając krzyczeć. Utrzymując się na powierzchni z coraz większym trudem Hornblower był jednak w stanie myśleć, a myślał o tym interesującym fakcie, że nawet kapitanowie z długim stażem są tylko zwykłymi śmiertelnikami. Spróbował odpiąć pas ze szpadą, ale nie udało mu się; zapadł głęboko w wodę i z wielkim trudem wydobył się na powierzchnię. Pochwycił łyk powietrza i ponowiwszy próbę wyciągnął częściowo szpadę z pochwy, a potem sama wysunęła się własnym ciężarem; nie poczuł jednak żadnej ulgi.

I właśnie wtedy usłyszał plusk, skrzypienie wiosel i głośną rozmowę. Ujrawszy ciemny kształt nadpływającej łodzi krzyknął z całej siły. W sekundę czy dwie łódź była przy nim i Hornblower w panice uchwycił się burty.

Wciągali właśnie Fostera przez rufę i Hornblower wiedział, że musi zachowywać się spokojnie i nie próbować dostać się do łodzi, ale trzeba było zmobilizować cały rozsądek, żeby tak wisieć bez ruchu u burty łodzi, czekając na swoją kolej. Z zaciekawieniem analizował swój strach, a równocześnie pogardzał sobą za to, że go doznawał. Najwyższym wysiłkiem woli zmusił swe dłonie uczone burty do zluźnienia kurczowego uchwytu, aby ludzie w łodzi mogli go przeciągnąć przez rufę. Gdy wydobyli go na pokład, był na pół omdlały. Upadł twarzą na dno. Wtedy ktoś się odezwał i Hornblowerowi chłodny dreszcz przebiegł przez grzbiet, a osłabłe mięśnie napięły się, gdyż słowa te były wypowiedziane po hiszpańsku — w każdym razie w języku nieznanym, przypuszczalnie hiszpańskim.

Inny głos odpowiedział w tym samym języku. Hornblower spróbował się wyrwać, lecz ktoś położył mu silną dłoń na ramieniu. Potoczył się po dnie i teraz, gdy oczy jego przywykły do ciemności, dojrzał trzy smagłe twarze z długimi czarnymi wąsami. Ludzie ci nie byli z Gibraltaru. Nagle pojął, kim oni są — to załoga jednego z branderów, która doprowadziła statek do Mole, podpaliła go i teraz wycofywała się łodzią. Foster, na pół skulony na dnie łodzi, uniósł twarz i rozejrzał się wokoło.

— Co to za ludzie? — zapytał cicho. Walka z wodą osłabiła go tak samo jak Hornblowera.

— Wydaje mi się, że załoga hiszpańskiego brandera, sir — odpowiedział Hornblower. — Jesteśmy jeńcami.

— Niemożliwe!

Świadomość ta pobudziła ich obu do działania. Foster zaczął dźwigać się na nogi i Hiszpan przy rumplu pchnął go z powrotem w dół i przytrzymał ręką. Foster spróbował strząsnąć z siebie jego dłoń i zaczął krzyczeć słabym głosem, lecz człowiek u rumpla nie miał zamiaru pozwolić na żadne głupstwa. Ruchem szybkim jak błyskawica wy dobył nóż z za pasa. Blask z unieszkodliwionego brandera dopalającego się w oddali na płyciźnie zabarwił ostrze na czerwono. Foster zaprzestał walki. Ludzie mogli nazywać go Krążownikiem Fosterem, lecz uznawał on konieczność rozwagi.

— Dokąd płyniemy? — zapytał Hornblowera spokojnie, żeby nie drażnić Hiszpanów.

— Na północ, sir. Być może chcą wylądować na ziemi neutralnej i udać się do Linei.

— To byłoby najlepsze w ich sytuacji — zgodził się Foster.

Odwrócił z trudem szyję, żeby obejrzeć się w tył, na port.

— Dopalają się tam dwa inne brandery — powiedział. — O ile pamiętam, było ich trzy.

— Widziałem trzy, sir.

— A więc nie uczyniły żadnej szkody. Ale była to odważna próba. Kto mógłby pomyśleć, że diegowie są zdolni do czegoś takiego?

— Być może, sir, nauczyli się używać branderów od nas — zasugerował Hornblower.

— Myśli pan, że wyhodowaliśmy węża na swoim łonie?

— Bardzo możliwe, sir.

Foster musiał być człowiekiem zimnej krwi, żeby móc cytować przysłowia i rozważać problemy nautyczne w drodze do niewoli pod strażą Hiszpana z nożem wydobytym z pochwy. Zimnej — to może zbyt dosłowne określenie. Hornblower dygotał, wystawiony w swym przemoczonym ubraniu na chłodny wiatr nocy, czuł się słaby i wyczerpany po przeżyciach i przygodach tego dnia.

— Hej, łódź! — nadbiegło wołanie przez wodę; w ciemności zamajaczył jakiś ciemny kształt. Hiszpan na ławce rufowej błyskawicznie przełożył rumpel, kierując się dokładnie w przeciwnym kierunku, a dwaj inni u wiosł zdwoili swoje wysiłki.

— Łódź strażnicza... — powiedział Foster, lecz urwał pod groźbą noża.

Należało się oczywiście spodziewać łodzi strażniczej tu, na północnym krańcu kotwiczowiska; powinno było im to przyjść do głowy.

— Hej, łódź! — dobiegło ich ponowne wołanie. — Odłóżcie wiosła albo strzelamy do was!

Hiszpan nie odpowiedział i w sekundę później rozległ się błysk i huk strzału z muszkietu. Nie

usłyszeli uderzenia kuli, lecz strzał postawi flotę — w której kierunku teraz znowu płynęli — w stan alarmu. Hiszpanie postanowili jednak walczyć do końca i dalej wiosłowali zawzięcie.

— Hej, łódź!

Było to wołanie innej łodzi, na wprost przed nimi. Przerażeni Hiszpanie przerwali wiosłowanie, lecz na ryk sternika ujęli ponownie za wiosła. Hornblower zobaczył tę drugą łódź prawie dokładnie przed nimi i usłyszał jeszcze jedno obwołanie, gdy stanęła na wiosłach. Hiszpan u rumpla wykrzyknął rozkaz, wzorowy pociągnął wiosłami wstecz i łódź zawróciła ostro; na drugi rozkaz obaj wiosłarze zaczęli wiosłować do przodu i łódź ruszyła do zderzenia. Gdyby się udało im przewrócić łódź zagradzającą drogę, zdążyliby jeszcze się wymknąć, gdyż ścigająca ich łódź zatrzymałaby się, żeby wyłowić z wody swych towarzyszy.

Wszystko zaczęło się dziać naraz, zdawało się, że wszyscy krzyczą z całej siły. Rozległ się trzask zderzenia, obie łodzie zatoczyły się, gdy dziób łodzi hiszpańskiej uderzył w łódź brytyjską, lecz nie udało mu się jej wywrócić. Ktoś wystrzelił z pistoletu i w następnej chwili podpłynęła do burty ścigająca łódź strażnicza, i jej załoga w szaleńczym pośpiechu zaczęła wskakiwać do łodzi. Ktoś zwałił się na Hornblowera, przydusił go tak, że ledwie dyszał, i zacisnął mu rękę na gardle. Hornblower usłyszał protestacyjny wrzask zaatakowanego Fostera. Napastnik zluźnił chwyt, a w chwilę później midszypmen z łodzi strażniczej przeproszał za tak brutalne potraktowanie kapitana królewskiej marynarki wojennej. Ktoś odsłonił szybkę latarni strażniczej i w jej świetle ukazał się Foster przemoczony i potłuczony. Światło oświetliło ponure postacie jeńców.

— Hej, łodzie! — usłyszeli znów wołanie i jeszcze jedna łódź wynurzyła się z ciemności i podpłynęła do nich.

— Kapitan Hammond, jeśli się nie mylę? — zawołał Foster ochryplym głosem.

— Dzięki Bogu! — usłyszeli głos Hammonda i łódź wpłynęła w słaby krąg światła.

— Ale nie dzięki wam — powiedział gorzko Foster.

— Potem, jak wasz brander oddalił się od „Santa Barbary”, powiew wiatru odepchnął was i nie mogliśmy nadążyć za wami — wyjaśnił Harvey.

— Płynęliśmy tak szybko, jak tylko te skalne skorpiony potrafiły wiosłować — dorzucił Hammond.

— A przecież trzeba było Hiszpanów, żeby nas uratowali od utonięcia — rzucił złośliwie Foster. Wspomnienie walki o życie w odmętach wodnych rozgorczyło go wyraźnie. — Myślałem, że mogę polegać na dwóch kolegach kapitanach.

— Co nam pan implikuje, sir? — rzekł ostro Hammond.

— Nie czynię żadnych implikacji, lecz inni mogą doszukać się implikacji w zwykłym stwierdzeniu faktów.

— Uważam to za obraźliwą uwagę, sir — powiedział Harvey — skierowaną zarówno do mnie, jak

i do kapitana Hammonda.

— Gratuluję panu przenikliwości sir — odparł Foster.

— Rozumiem — powiedział Harvey. — To nie jest dyskusja, którą moglibyśmy kontynuować w obecności tych ludzi. Przyślę sekundanta do pana.

— Będzie mile widziany.

— A zatem życzę panu dobrej nocy, sir.

— Ja także, sir — powiedział Hammond. — Ej, wy tam, obie naprzód.

Łódź wypłynęła poza krąg światła, zostawiając świadków zajścia zaskoczonych dziwacznym kaprysem człowieka, który najpierw uratowany od śmierci, a następnie od niewoli, jeszcze raz dobrowolnie narażał się na niebezpieczeństwo. Foster patrzył za łodzią przez kilka sekund, zanim się odezwał; być może żałował już swojego histerycznego wybuchu.

— Będę miał wiele do roboty do rana — powiedział bardziej do siebie niż do otoczenia, a potem zwrócił się do midszypmena z łodzi strażniczej: — Pan, sir, zajmie się jeńcami i przewiezie mnie na mój okręt.

— Tak jest, sir.

— Czy jest tutaj ktoś, kto potrafi mówić ich językiem? Chciałbym, żeby im wyjaśniono, że odeślę ich z powrotem do Kartageny na statku jenieckim, bez żądania wymiany. Uratowali nam życie i przynajmniej w ten sam sposób możemy się im zrewanżować. — Ostatnie zdanie było skierowane do Hornblowera.

— Myślę, że to jest słuszne, sir.

— A pan, mój drogi połykaczu ognia. Czy mogę panu podziękować? Dobrze się pan spisał. Jeżeli dożyję do jutra, dopilnuję, żeby władze dowiedziały się o tym.

— Dziękuję, sir. — Na ustach Hornblowera drżało pytanie. Trzeba było odwagi, żeby je wypowiedzieć. — A mój egzamin, sir? Moje świadectwo?

Foster potrząsnął głową. — Obawiam się, że komisja egzaminacyjna nigdy się nie zbierze ponownie w tym samym składzie. Musi pan czekać na okazję, żeby stanąć przed inną.

— Tak jest, sir — powiedział Hornblower z wyraźnym przygnębieniem w głosie.

— Niech pan posłucha, panie Hornblower — przemówił Foster, obracając się do niego. — O ile sobie przypominam, stał pan ze sztywno wybranymi szotami i już pan tracił drzewce, a na zawietrznej miał pan urwiska Dover. Za minutę by pan oblał — uratował pana wystrzał ostrzegawczy. Czy nie tak?

— Chyba tak, sir.

— Niech więc pan będzie wdzięczny za drobne dowody łaski boskiej. A jeszcze bardziej za duże.

Rozdział dziewiąty

Arka Noego

P.o. porucznik Hornblower siedział na ławce rufowej barkasa, obok pana Taplinga ze służby dyplomatycznej, trzymając nogi na workach ze złotem. Wokoło wznosiły się strome brzegi zatoki orańskiej, a przed nimi leżało miasto, białe w świetle słońca, przypominające bloki marmuru rozrzucone niedbałą ręką na sterczących z wody zboczach wzgórz. Kilka chwil temu zostawili za sobą najbłękitniejszą wodę Morza Śródziemnego i teraz pióra poruszających się rytmicznie wiosł łodzi sunącej po łagodnej martwej fali wgrzyzały się w szmaragdową zieleń.

— Piękny stąd widok — zauważył Tapling, patrząc na miasto, do którego podpływali — lecz gdy znajdziemy się bliżej, okaże się, że zwiodło nas oko. A cóż dopiero nos! Trzeba poczuć smród prawdziwych wyznawców, żeby uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. Panie Hornblower, proszę ustawić ją tutaj, przy moło, obok tych szebek.

— Tak jest, sir — powiedział sternik, gdy Hornblower przekazał mu rozkaz.

— Przy baterii na nadbrzeżu stoi straż — zauważył Tapling, rozglądając się uważnie — i tylko na pół śpiąca. A proszę zauważyć te dwa działa w obu zamkach. Na pewno trzydziestodwufuntówki. Obok leżą przygotowane kule z kamienia, a taka kula rozpryskując się przy uderzeniu na kawałki powoduje zniszczenie nieproporcjonalne do jej rozmiaru. Ściany wydają się dosyć mocne. Obawiam się, że wzięcie Oranu przez coup de main nie byłoby rzeczą łatwą. Jeśli jego dostojność bej postanowi poderżnąć nam gardła i zabrać nasze złoto, to minie sporo czasu, panie Hornblower, zanim zostaniemy pomszczeni.

— Sir, nie sądzę, żebym znalazł w ogóle jakąś satysfakcję w świadomości, że zostanę pomszczony — odparł Hornblower.

— Ma pan niewątpliwie trochę racji. Ale tym razem jego dostojność na pewno nas oszczędzi. Złota kura znosi złote jajka — co miesiąc łódź wyładowana złotem to wspaniała perspektywa dla pirata-beja w tym okresie kursowania konwojów.

— Przestać wiosłować! — zawołał sternik. — Wiosła!

Barkas prześliznął się koło nabrzeża i zręcznie przycumował. Kilka postaci siedzących w cieniu obróciło oczy, a nawet głowy na załogę łodzi. Paru ciemnocich Maurów pojawiło się na pokładach szebek i patrzyło na nich, rzucając jakieś uwagi.

— Na pewno wyrażają się niepochlebnie o przodkach niewiernych — zauważył Tapling. — Nie lubię obrażeń fizycznych, ale nic sobie nie robię z wyzwisk, szczególnie gdy ich nie rozumiem. Gdzie się podziewa nasz człowiek?

Zrobił z dłoni daszek nad oczyma i patrzył po nabrzeżu.

— Nie widać nikogo, sir, kto by wyglądał na chrześcijanina — powiedział Hornblower.

— Nasz człowiek nie jest chrześcijaninem — wyjaśnił Tapling. — Biały, ale nie chrześcijanin. Właściwie mówi się o nim „biały” przez uprzejmość — to mieszaniec francusko-arabsko-lewantyński. Konsul honorowy jego brytyjskiej królewskiej mości w Oranie, a muzułmanin z wyrachowania. Chociaż żywot prawdziwego wyznawcy ma wiele złych stron. Kto chciałby mieć cztery żony naraz, płacąc, za ten wątpliwy przywilej wyrzeczeniem się picia wina?

Tapling wyszedł na molo, a Hornblower za nim. Delikatna fala martwa idąca po zatoce załamywała się w dole łagodnie, a oślepiający żar południowego słońca odbity od płyt kamiennych raził ich twarze. Daleko w głębi zatoki stały na kotwicach dwa okręty — zaopatrzeniowiec i „Indefatigable”, fregata jego królewskiej mości, pięknie kontrastując z błękitnosrebrną powierzchnią wody.

— A przecież wolałbym znajdować się na Drury Lane[11] w sobotnią noc — stwierdził Tapling.

Odwrócił się, by popatrzeć na mur miasta chroniący je przed atakiem od strony morza. Wąska brama z bastionami po bokach otwierała się na nabrzeże. Wartownicy w czerwonych kaftanach stali na jej szczycie. W głębokim cieniu bramy coś się poruszyło, ale oczy oślepione słońcem nie mogły dojrzeć, co. Potem z cienia wynurzyła się grupka zdążająca w ich kierunku — półnagi Murzyn prowadzący osła, na którym siedziała bokiem, blisko nasady ogona, zwalista postać w niebieskiej szacie.

— Czy wyjdziemy naprzeciw konsulowi jego brytyjskiej królewskiej mości? — zastanawiał się Tapling. — Nie, niech on przyjdzie do nas.

Murzyn zatrzymał osła, a przybyły na jego grzbiecie ześliznął się na ziemię i ruszył w ich stronę — ogromny mężczyzna, idący kołyszącym się krokiem na rozstawionych szeroko nogach, z białym turbanem nad dużą twarzą o barwie gliny. Nad wargami miał czarny wąsik, a jego policzki porastała rzadka broda.

— Pański sługa, panie Duras — przemówił Tapling. — Pozwoli pan, że przedstawię pełniącego obowiązki porucznika Horacego Hornblowera z fregaty „Indefatigable”.

Pan Duras skinął spoconą głową.

— Przywiózł pan pieniądze? — zapytał w gardłowej francuszczyźnie. Hornblower potrzebował paru chwil, żeby oswoić się z wymową i intonacją Durasa.

— Siedem tysięcy gwinei w złocie — odparł Tapling dość dobrą francuszczyzną.

— Dobrze — rzekł Duras, z wyrazem ulgi. — Ma je pan w łodzi?

— Złoto jest w łodzi i tam na razie zostanie — odpowiedział Tapling. — Pamięta pan umówione warunki? Czteryście sztuk tłustego bydła, tysiąc pięćset buszli jęczmienia. Przekażę je panu dopiero,

gdy zobaczę to wszystko załadowane na barki, a barki przy okrętach w zatoce. Czy zapasy gotowe?

— Będą niedługo.

— Tak się spodziewałem. Co znaczy niedługo?

— Zaraz. Wkrótce.

Tapling zrobił grymas rezygnacji.

— Będziemy musieli wrócić na okręty. Jutro, może pojutrze przyjedziemy znów ze złotem.

Na spływającej potem twarzy Durasa odmalowało się zaniepokojenie.

— Nie, niech pan tego nie czyni — zaprotestował pospiesznie. — Nie zna pan jego wysokości beja. Ma zmienne usposobienie. Jeśli będzie wiedział, że złoto jest tutaj, wyda rozkaz dostarczenia bydła. Zabierzecie złoto, to on palcem nie kiwnie. I... i... będzie zły na mnie.

— Ira principis mors est — zacytował Tapling i w odpowiedzi na nie rozumiejące spojrzenie Durasa raczył to przetłumaczyć. — Gniew książęcy oznacza śmierć. Nieprawdaż?

— Tak — zgodził się Duras i teraz on z kolei powiedział coś w nieznanym języku i uczynił w powietrzu dziwny znak palcami, a potem przetłumaczył. — Oby się to nie stało.

— Oczywiście mamy nadzieję, że nie — przytwierdził Tapling z rozbijającą serdecznością. — Sznur, hak czy nawet bastinado są jednakowo nieprzyjemne. Lepiej będzie, jeśli uda się pan do beja i nakłoni go do wydania rozkazu dostarczenia bydła i zboża. Jeśli nie, odpływamy o zmroku.

Tapling spojrzał na słońce, aby zaakcentować termin.

— Idę — odparł Duras, rozkładając ręce błagalnym gestem. — Idę. Ale błagam pana, nie odjeżdżajcie. Może jego wysokość będzie zajęty w haremie, wtedy nikomu nie wolno mu przeszkadzać. Ale spróbuję. Zboże mamy przygotowane — jest tam, w Kasbach. Trzeba tylko dostarczyć bydło. Proszę o cierpliwość. Błagam, Pan wie, że jego wysokość nie przywykł do handlu. A jeszcze mniej do handlu na modłę Franków.

Duras wytarł rogiem szaty spływającą potem twarz.

— Proszę wybaczyć — dodał. — Nie czuję się dobrze. Ale pójdę do jego wysokości. Pójdę na pewno. Proszę czekać na mnie.

— Do zachodu słońca — rzekł nieubłaganie Tapling.

Duras krzyknął na sługę murzyńskiego przykucniętego pod brzuchem osiołka, gdzie było trochę cienia. Z trudem wtaszczył swoje ciężkie ciało na zad osła. Otarł znowu twarz i spojrzał na nich jakoś nieprzytomnie.

— Czekajcie na mnie — to były ostatnie słowa wypowiedziane z grzbietu osła, którego służący skierował z powrotem ku bramie miasta.

— Boi się beja — stwierdził Tapling odprowadzając go wzrokiem. — A ja wolałbym mieć do czynienia z dwudziestoma bejami niż z admirałem Sir Johnem Jervisem, gdy ma swój napad złego humoru. Co robi, kiedy się dowie o dalszym opóźnieniu, gdy już i tak flota jest trzymana na obciążonych racjach? Wypruje ze mnie flaki.

— Nie można oczekiwać punktualności od tych ludzi — powiedział Hornblower z filozoficzną obojętnością człowieka, na którym nie ciąży żadna odpowiedzialność. Lecz pomyślał o flocie brytyjskiej, bez przyjaciół, bez sprzymierzeńców, desperacko utrzymującej blokadę nieprzyjaznej Europy w obliczu przewagi liczebnej, sztormów, chorób, a teraz w dodatku głodu.

— Niech pan spojrzy! — zawołał nagle Tapling wskazując na coś.

Wielki szary szczur pojawił się w wyschniętym rynsztoku, który przecinał nabrzeże w tym miejscu. Mimo jaskrawego słońca szczur przystanął i rozglądał się wokoło; nie okazał przestachu, nawet gdy Tapling tupnął nogą. Na ponowne tupnięcie wolno odwrócił się z zamiarem skrycia się w ścieku, pośliznął się i przez moment leżał, wijąc się u wejścia, aż dźwignął się na nogi i zniknął w ciemności.

— Jakieś stare szczurzyśko — zauważył Tapling w zamyśleniu. — Staruszek. Może nawet ślepy.

Hornblowera nic szczury nie obchodziły, stare czy młode. Cofnął się parę kroków w stronę barkasa, a Tapling za nim.

— Maxwell, ustawcie tak grotmarsel, żeby rzucał na nas cień — rozkazał. — Zostajemy tu do wieczora.

— Co za ulga — stwierdził Tapling, sadowiąc się na kamiennym pachole przy łodzi — znaleźć się tu w tym pogańskim porcie. Nie trzeba się martwić, że marynarze urwą się ze statku. Nie trzeba się kłopotać, skąd wziąć alkohol. Jedyne problemy to woły i jęczmień. I jak uzyskać iskrę z tej hubki.

Przedmuchał wyjętą z kieszeni fajkę i przygotował się do jej napełnienia. Grotmarsel ocieniał łódź, marynarze rozsiedli się na dziobie, opowiadając przyciszonymi głosami różne bajdy, inni starali się ułożyć jak najwygodniej na ławkach rufowych; barkas kołysał się lekko na drobnej martwej fali, rytmiczny skrzyp odbijaczy uderzających to o burty, to o nabrzeże działał kojąco, miasto zaś i port drzemały pod upalnym słońcem popołudnia. Jednakże młodemu człowiekowi o aktywnym usposobieniu Hornblowera trudno było znieść przedłużającą się bezczynność. Wyszedł na molo rozprostować nogi i przechadzał się tam i z powrotem; Maur w białej szacie i turbanie przekuśtykał w słońcu po nabrzeżu. Posuwał się nierównym krokiem, rozstawiając szeroko nogi dla większej równowagi.

— Sir, pan coś wspominał o wstępie muzułmanów do napojów alkoholowych — odezwał się Hornblower do Taplinga na ławce rufowej.

— To nie tylko wstręt — odparował Tapling — alkohol jest tu wyklęty, nielegalny, niedozwolony przez prawo i trudno go dostać.

— Komuś udało się jednak, sir — zauważył Hornblower.

— Niech no zobaczę — odrzekł Tapling gramoląc się. Marynarze, znużeni czekaniem i jak zawsze zainteresowani trunkami, też podeszli z dziobu, żeby popatrzeć.

— Wygląda na człowieka, co sobie wypił — zgodził się Tapling.

— Trzy żagle już w łopocie, sir — powiedział Maxwell, patrząc, jak Maur się zatacza.

— I już chwyciły wiatr od dziobu — dodał Tapling, gdy Maur przechylił się mocno na bok.

Zatoczywszy półkole Maur upadł twarzą na kamienie nabrzeża; brązowe nogi kilka razy wysuwały się spod szaty i znikwały, a on leżał bezwładnie z głową opartą na rękach; turban spadł na ziemię, ukazując wygoloną czaszkę z kępką włosów na czubku.

— Zupełnie pozbawiony masztów — rzekł Hornblower.

— I już na mieliźnie — kontynuował Tapling.

Lecz Maur leżał nieczuły na nic.

— A oto i Duras — rzekł Hornblower.

Z bramy wytoczyła się masywna postać na małym osiołku; za nimi posuwał się drugi osioł, wioząc jeszcze jedną dostojną osobę. Zwierzęta były prowadzone przez Murzynów, a za nimi szedł tuzin smagłolicych osobników, których muszkiety i umundurowanie wskazywały, że to żołnierze.

— Skarbnik jego dostojności — oznajmił Duras przedstawiając go, gdy obaj zsiadli z siodeł. — Przyjechał po złoto.

Dostojny Maur patrzył na nich wyniośle; Duras pocił się wciąż obficie na upalnym słońcu.

— Złoto jest tam — rzekł Tapling wskazując gestem. — Na rufie łodzi. Zobaczycie je z bliska, kiedy my zobaczymy z bliska zapasy, jakie macie nam sprzedać.

Duras przetłumaczył te słowa na arabski. Nastąpiła gwałtowna wymiana zdań, zanim skarbnik ustąpił. Odwrócił się i wykonał przywołujący gest w stronę bramy, co widocznie było uzgodnionym wcześniej sygnałem. Natychmiast wyszła stamtąd posępna procesja — długi rząd mężczyzn, wszyscy prawie nadzy, biali, czarni i mieszańcy, a każdy z nich ugiął się pod ciężarem worka ze zbożem. Obok szli dozorczy z kijami.

— Pieniądze — odezwał się Duras, wysłuchawszy czegoś, co mu powiedział skarbnik.

Na słówko Taplinga marynarze zaczęli wynosić ciężkie worki złota na molo.

— Gdy zboże znajdzie się na nabrzeżu, ja też położę tu złoto — powiedział Tapling do Hornblowera. — Proszę mieć na nie oko w czasie, kiedy będę sprawdzał worki ze zbożem.

Tapling podszedł do grupy niewolników. Otwierał niektóre worki, zaglądał do nich i nabrawszy na rękę złotego jęczmienia, sprawdzał jego jakość; inne worki obmacywał z zewnątrz.

— Nie ma mowy o zajrzeniu do każdego worka w ładunku złożonym ze stu ton jęczmienia — stwierdził wracając do Hornblowera. — Spodziewam się, że spory procent zawiera piasek. Ale tak to jest u tych pogan. Cena też została odpowiednio ustalona. Doskonale, efendi.

Na znak Durasa poganiani przez dozorców niewolnicy podeszli na skraj nabrzeża i zrzucili worki do czekającej tam barki. Z pierwszej dwunastki utworzono brygadę roboczą do równomiernego układania worków na dnie barki, a tymczasem inni, z plecami lśniącymi od potu, odeszli po nowy ładunek. Równocześnie w bramie ukazało się nieduże stado bydła poganiane przez paru smagłoliczych pasterzy.

— Małe i wynędzniałe sztuki — zauważył Tapling, patrząc na zwierzęta krytycznym okiem — ale i to zostało wzięte pod uwagę w cenie.

— Złoto — nastawał Duras.

W odpowiedzi Tapling otworzył jeden z worków u swoich stóp, zaczerpnął dłonią złotych gwinei i wypuścił je kaskadą między palcami z powrotem do worka.

— Jest w tym worku pięćset gwinei — powiedział — a worków, jak pan widzi, czternaście. Będą pańskie po załadowaniu i odcumowaniu barek.

Duras otarł twarz znużonym gestem. Musiał być słaby w kolanach, bo oparł się o stojącego za nim cierpliwie osiołka.

Bydło wpędzano po trapie na drugą barękę, a nowe stado, które nadeszło tymczasem, czekało opodal.

— Idzie szybciej, niż pan sądził — zauważył Hornblower.

— Proszę spojrzeć, jak oni gonią tych biedaków — odparł Tapling filozoficznie. — Widzi pan, wszystko idzie szybko, tam gdzie nikt się nad ludźmi nie rozczula.

Kolorowy niewolnik upadł na ziemię pod ciężarem i leżał nie reagując na uderzenia kijów dozorców, tylko nogi drgały mu lekko. Ktoś odciągnął go wreszcie na bok i dalej wnoszono worki na barękę, podczas gdy druga napełniała się szybko ryczącym bydłem, stłoczonym tak ciasno, że nie było mowy o poruszaniu się.

— Jego dostojność rzeczywiście dotrzymuje słowa — zdumiewał się Tapling. — Gdyby mnie przedtem spytano, powiedziałbym, że dostaniemy połowę tego.

Jeden z pasterzy siedzący na moło z twarzą w dłoniach osunął się bezwładnie na bok.

— Sir... — zaczął Hornblower zwracając się do Taplinga i obaj popatrzyli na siebie, gdyż ta sama okropna myśl przyszła im jednocześnie do głowy.

Duras zaczął coś mówić; trzymając jedną ręką za cugle, drugą gestykulował w powietrzu, jakby wygłaszając jakąś mowę, ale w słowach wyrzucanych ochryplym głosem nie było sensu. Jego tusta twarz była nienormalnie obrzmiała i okropnie wykrzywiona, a policzki pociemniały pod opalenizną od nabiegłej krwi. Zsunął się z osła i zaczął chwiać się na boki na oczach Maurów i Anglików. Krzyk jego przeszedł w szept, nogi ugięły się pod nim, przez chwilę klęczał podparty dłońmi, a potem zwałił się na twarz.

— To zaraza! — zawołał Tapling. — Czarna śmierć! Widziałem to w Smyrnie w dziewięćdziesiątym szóstym.

On i pozostali Brytyjczycy cofnęli się w jedną stronę, skarbnik w drugą, a miotane drgawkami ciało znalazło się w utworzonej w ten sposób luce.

— Na świętego Piotra, to zaraza! — wykrzyknął jeden z młodych marynarzy. Rzucił się w stronę barkasa.

— Stać! — ryknął Hornblower; mimo że sam był przerażony zarazą, miał tak silnie wpojony nawyk dyscypliny, iż automatycznie opanował panikę.

— Byłem idiotą, że nie pomyślałem o tym wcześniej — rzekł Tapling. — Zdychający szczur... tamten człowiek, który nam się wydawał pijany. Powinienem być wiedzieć!

Żołnierz, przypuszczalnie sierżant, dowódca eskorty skarbnika, toczył burzliwą rozmowę z głównym dozorcą niewolników; obaj wpatrywali się w konającego Durasa. Skarbnik owinał się ciałem szatą i patrzył zafascynowany strachem na ciało u swych stóp.

— I co, sir — skierował Hornblower pytanie do Taplinga — co teraz zrobimy?

Charakter Hornblowera zmuszał go do natychmiastowego działania w obliczu krytycznej sytuacji.

— Co zrobimy? — odparł Tapling z gorzkim uśmiechem. — Zostaniemy tu i zginiemy.

— Zostać **tutaj**?

— Żaden okręt nie przyjmie nas na pokład. Dopiero po trzech tygodniach kwarantanny. Trzech tygodniach, licząc od chwili ostatniego zgonu. Tu, w Oranie.

— Nonsens! — powiedział Hornblower — strach pozbawił go respektu wobec starszego ranga. — Nikt nie wyda takiego rozkazu.

— Czyżby? Widział pan już kiedyś epidemię we flocie?

Hornblower nie widział, lecz słyszał o tym sporo — o statkach z załogą zdziesiątkowaną tyfusem. Zatłoczone jednostki, gdzie każdy miał dwadzieścia dwa cale miejsca na swój hamak, były idealnym miejscem dla powstawania epidemii. Pojął, że żaden kapitan, żaden admirał nie poniesie takiego ryzyka dla dwudziestoosobowej załogi barkasa.

Dwie szebeki odcumowały nagle od nabrzeża i ruszyły na wiosłach w stronę portu.

— Zaraza mogła wybuchnąć dopiero dziś — powiedział w zadumie Hornblower, w którym mimo strachu dochodził do głosu nawyk dedukcji.

Pasterze porzucili pracę, zostawiając na opustoszałym molu powalonego chorobą towarzysza. Straż przy bramie zaganiała ludzi do miasta — widocznie szerzące się wieści o zarazie wywołały już panikę i strażnicy otrzymali rozkaz powstrzymania ludności miasta od rozejścia się po okolicy. Wkrótce w mieście zaczną się dziać dantejskie sceny. Skarbnik wsiadł na osła; po ucieczce dozorców gromada niewolników noszących zboże zaczynała topnieć.

— Muszę zameldować o tym na okręcie — oświadczył Hornblower; Tapling, jako cywilny urzędnik dyplomatyczny, nie miał nad nim władzy. Cała odpowiedzialność spadała na Hornblowera. Barkasy z załogą były pod jego dowództwem, powierzone mu przez kapitana Pellewa, którego władza pochodziła od króla.

Rzecz zadziwiająca, jak szybko szerzyła się panika. Skarbnik już był daleko, murzyński niewolnik Durasa odjeżdżał na osle swojego zmarłego pana; żołnierze oddalali się spieszenie zwartą gromadą. Nabrzeże było puste, z wyjątkiem zmarłych i konających; wzdłuż niego u stóp murów miejskich biegła droga w głąb kraju, na którą wszyscy pragnęli się dostać. Anglicy zostali sami z workami złota.

— Zaraza rozprzestrzenia się powietrzem — powiedział Tapling. — Zdychają od niej nawet szczury. Jesteśmy tutaj od paru godzin. Byliśmy dosyć blisko tego tam... — wskazał ruchem głowy na konającego Durasa — Rozmawialiśmy z nim, wdychaliśmy jego oddech. Który z nas będzie pierwszy?

— Przekonamy się we właściwym czasie — odparł Hornblower. Jego przekorny charakter cechował optymizm w obliczu trudności, ponadto nie chciał, żeby ludzie słyszeli, co mówi Tapling.

— A tam czeka flota! — rzekł Tapling z goryczą. — Te zapasy... — wskazał głową na opuszczone barki, jedną prawie pełną bydła, drugą wyładowaną workami zboża — spadłyby im jak z nieba. Załogi są na dwóch trzecich racji.

— U diabła, możemy jednak chyba coś z tym zrobić — powiedział Hornblower. — Maxwell, załadujcie złoto z powrotem do łodzi i zwińcie daszek.

Oficer wachtowy z „Indefatigable” ujrzał barkas wracający z Oranu. Lekki powiew kołysał fregatę i „Caroline” (bryg transportowy) na kotwicach, a łódź, zamiast podejść do burty, stanęła przed rufą „Indefatigable” od zawietrznej.

— Panie Christie! — zawołał Hornblower, stojąc na dziobie łodzi.

Oficer wachtowy podszedł na rufę do relingu.

— Co to znaczy? — zapytał zdziwiony.

— Muszę mówić z kapitanem.

— Niech pan przyjdzie na pokład i rozmawia z nim. Co, u diabła?...

— Proszę zapytać kapitana, czy mogę z nim mówić.

Pellew pojawił się w oknie kabiny rufowej; musiał słyszeć głośną rozmowę.

— Tak, panie Hornblower?

Hornblower powiedział mu, co się stało.

— Proszę trzymać się po zawietrznej, panie Hornblower.

— Tak, sir. Ale zapasy...

— A cóż z nimi?

Hornblower nakreślił sytuację i wyłuszczył swoją prośbę.

— To jest trochę nie w zgodzie z przepisami — medytował Pellew. — Ponadto...

Nie chciał wypowiedzieć na głos tego, co pomyślał, że przypuszczalnie wkrótce wszyscy z łodzi umrą od zarazy.

— Nic nam się nie stanie, sir. Tu chodzi o racje żywnościowe na tydzień dla całej eskadry.

To było ważne. Pellew musiał rozważyć ewentualną stratę brygu transportowego na tle możliwości uzyskania zapasów, stokroć ważniejszych, bo umożliwiłyby eskadrze trzymać dalej straż przy wejściu na Morze Śródziemne. Z tego punktu widzenia propozycja Hornblowera była jeszcze bardziej uzasadniona.

— Cóż, zgadzam się, panie Hornblower. Zabiorę załogę, zanim zaczniecie przenosić zapasy. Mianuję pana dowódcą „Caroline”.

— Dziękuję, sir.

— Pan Tapling zostaje z panem jako pasażer.

— Bardzo dobrze, sir.

Gdy więc załoga barkasu, trudząc się i ociekając potem przy długich wiosłach, doprowadziła obie barki do zatoki, znaleźli tam „Caroline” na kotwicy, bez żywego ducha na pokładzie, a tymczasem tuzin lunet z „Indefatigable” z zaciekawieniem obserwowało ich pracę. Hornblower przeszedł przez burtę brygu z sześcioma marynarzami.

— Zupełnie jak jakaś zatracona arka Noego, sir — rzekł Maxwell.

Porównanie było trafne; gładki pokład „Caroline” był cały poprzedzielany przegrodami na zagrody dla bydła, a lekkie przejścia zbudowane nad boksami dla potrzeb obsługi statku tworzyły faktycznie ciągły pokład górny.

— „I wszystkie bydłeta”[12], sir — dorzucił inny marynarz.

— Ale zwierzęta Noego wchodziły parami — sprostował Hornblower. — My nie mamy tyle szczęścia. W dodatku musimy najpierw załadować zboże na pokład. Poodkrywajcie luki.

W normalnych warunkach brygady robocze utworzone z dwustu, a nawet trzystu ludzi z załogi „Indefatigable” uwinęłyby się szybko z przeniesieniem zboża z barek, ale teraz całą tę pracę musiała wykonać osiemnastoosobowa załoga barkasa. Na szczęście Pellew był na tyle przewidujący i łaskawy, że kazał wyrzucić z ładowni cały balast, gdyż w przeciwnym razie musieliby sami wykonać tę męczącą robotę.

— Wybierać liny — rozkazał Hornblower.

Pellew obserwował, jak pierwszą wiązkę worków, ze zbożem uniesiono ostrożnie z barki i opuszczono do luku „Caroline”.

— Da sobie radę — zdecydował. — Panie Bolton, proszę posłać ludzi do kabestanu i ruszać w drogę.

Pilnując ludzi przy linach Hornblower usłyszał głos Pellewa przez tubę.

— Powodzenia, panie Hornblower. Proszę się zgłosić w Gibraltarze za trzy tygodnie.

— Rozkaz, sir. Dziękuję, sir.

Odwróciwszy się Hornblower zobaczył marynarza, który zasalutował i rzekł:

— Przepraszani, sir. Ale słyszy pan, jak oni ryczą, te krowy, sir? Okrutny gorąc, to im się chce wody, sir.

— Niech to wszyscy diabli! — rzekł Hornblower.

Nie było mowy o przetransportowaniu bydła na pokład przed nocą. Zostawił cześć ludzi do przeładunku zboża, a z pozostałymi zajął się pojeniem nieszczęsnych zwierząt na barce. Połowa ładowni „Caroline” wypełniona była beczkami z wodą i paszą, ale nie było wcale łatwo przepompowywać wodę węzłem na barkę, gdzie udręczone bydłeta poczuwszy wodę zaczęły tłoczyć się beładnie. Hornblower ujrzał, jak barka przechyliła się i omal nie przewróciła dnem do góry; jeden z załogi — na szczęście umiejący pływać — wyskoczył za burtę, aby uniknąć stratowania na śmierć.

— Niech to diabli wezmą — powtórzył Hornblower, i wcale nie ostatni raz.

Nie mając nikogo, kto by znał się na rzeczy, musiał uczyć się obchodzenia z żywcem na morzu;

każda chwila była nową lekcją. To czysta prawda, że oficer marynarki wojennej w czynnej służbie nigdy nie wie, jakie obowiązki spadną na niego. Było już dobrze ciemno, gdy Hornblower nakazał ludziom przerwać pracę, a przed świtem znowu ich zapędził do roboty. Wczesnym rankiem załadowano ostatnie worki ze zbożem, a Hornblower musiał teraz przystąpić do przetransportowania bydła z barki. Po nocy bez dostatecznej ilości wody i paszy zwierzęta były rozdrażnione, ale początkowo, gdy stały jeszcze w zbitej gromadzie, praca szła dość łatwo. Pierwszej sztuce z brzegu zakładano pas pod brzuch, przyczepiano do liny i wciągano na pokład, gdzie ją następnie opuszczano przez któryś otwór w przejściach przyburtowych i bez trudu umieszczano w zagrodzie. Początkowo marynarze dobrze się bawili przy tym zajęciu, wydając okrzyki i wymachując bluzami, ale miny im zrzedły, gdy któreś zwierzę wyrwawszy się z uchwytu pasów, wpadło w szal i zaczęło ich gonić po pokładzie, grożąc zabodzeniem na śmierć, aż trafiło do zagrody, gdzie opuszczony spiesznie drąg zamknął mu wejście. Hornblower spoglądając na słońce szybko wznoszące się od wschodu na nieboskłon pomyślał, że to wszystko wcale nie jest zabawne.

Im bardziej opróżniała się barka, tym więcej miejsca miały zwierzęta do ucieczki i tym trudniej było je chwycić i zakładać pasy. Widok towarzyszy unoszonych kolejno w powietrze i dyndających z rykiem nad głowami nie wpływał bynajmniej uspokajająco na wpół zdziczałe byczki. Nie było jeszcze południa, a już ludzie byli tak zmęczeni, jakby stoczyli bitwę, i każdy z radością rzuciłby to zajęcie dla jakiegokolwiek zadania z dziedziny żeglarstwa, na przykład wspięcia się na wanty, żeby zrefować marsie w burzliwą noc. Gdy Hornblower wpadł na pomysł, aby pokład barki podzielić przy pomocy potężnych drzewc na sektory, praca od razu stała się lżejsza, lecz trwała długo, a zanim dobiegła końca, kilka sztuk bydła uległo wypadkom — co słabsze połamały sobie nogi w trakcie dzikich pogoni po barce.

Pewnym urozmaiceniem było przybycie łodzi z brzegu, z ciemnoczarnymi Maurami u wiosła i skarbnikiem na ławce rufowej. Hornblower zostawił rozmowę z nim Taplingowi — widocznie bej nie na tyle przestraszył się zarazy, aby zrezygnować ze swoich pieniędzy. Hornblower nalegał jedynie, aby łódź trzymała się daleko po zawietrznej; pieniądze załadowano w pustą baryłkę po rumie i przerzucono po wodzie. Noc zapadła, a ledwie połowa bydła znalazła się na statku. Hornblower pilnował pojenia i karmienia i rzucał wskazówki sprytnie wydobyte od tych członków załogi, którzy mieli jakieś doświadczenie w sprawach wiejskich. Ledwie świt, już znowu zerwał ludzi do pracy i przeżył chwilę satysfakcji na widok Taplinga uskakującego przed rozwścieczonym bykiem szalejącym po pokładzie i nie dającym się zagnać do zagrody. Ledwie ostatnia sztuka znalazła się cało na pokładzie, Hornblower stanął przed innym zadaniem — elegancko określonym przez któregoś z marynarzy jako „usuwanie gnoju”. Pasza... woda... usuwanie gnoju; sam pokład załadowany był bydlęm i obiecywał dość zajęcia dla całej osiemnastoosobowej załogi, nie zostawiając wolnej chwili na obsługę statku.

Lecz ten nieustanny nawał zajęć miał swoje dobre strony, jak zauważył Hornblower; od chwili rozpoczęcia pracy nie padło ani jedno słowo na temat zarazy. Kotwicowisko, na którym stała „Carolina”, wystawione było na północno-wschodnie wiatry, i trzeba było przed ich nadejściem wyprowadzić statek w morze. Podzielił załogę na wachty; będąc jedynym nawigatorem, musiał mianować sternika i jego zastępcę, Jordana, podoficerami wachtowymi. Ktoś zgłosił się dobrowolnie na kucharza, a Hornblower przebiegłszy wzrokiem komplet swojej załogi, wyznaczył Taplinga jako jego pomocnika. Tapling otworzył usta, by zaprotestować, lecz widząc wyraz twarzy

Hornblowera, porzucił ten zamiar. Nie było bosmana, cieśli ani lekarza, miał jednak nadzieję, że jeśli zajdzie potrzeba pomocy doktora, to na krótko.

— Wachta lewej burty, zluzować kliwry i grotmarsel — rozkazał Hornblower. — Wachta prawej burty, obsadzić kabestan.

Tak rozpoczęła się ta podróż „Caroline”, brygu transportowego jego królewskiej mości, która dzięki mocno podkolorowanym opowieściom załogi w czasie wacht łamanych na innych jednostkach przeszła do legendy w marynarce wojennej. „Caroline” spędziła swoje trzy tygodnie kwarantanny na włóczędztwie po zachodniej części Morza Śródziemnego. Musiała trzymać się blisko cieśniny, w obawie żeby wiatry zachodnie i prąd spychający na morze nie utrudniły jej dotarcia do Gibraltaru we właściwym czasie. Lawirowała więc między brzegami Hiszpanii i Afryki, ciągnąc za sobą coraz silniejszy fetor obory. „Caroline” była wysłużoną jednostką; przy mocniej rozkołysanym morzu ciekła jak sito; zawsze ktoś z załogi pracował przy pompach, to wypompowując wodę, to pompując ją z morza do zmycia pokładów albo tłocząc słodką wodę dla bydła.

Hamujący wpływ nadbudówek powodował ogromne trudności w manewrowaniu brygiem przy gwałtowniejszym wietrze; spoiny pokładu przeciekały oczywiście, gdy pracował na fali, i strugi brudu nieustannie ciekły pod pokład. Jediną pociechą były stałe dostawy świeżego mięsa, którego niektórzy z ludzi Hornblowera nie kosztowali od trzech miesięcy. Hornblower poświęcał lekkomyślnie jednego wołu dziennie, gdyż w klimacie śródziemnomorskim trudno było magazynować świeże mięso. Załoga obżerała się więc stekami i ozorkami; wielu spośród nich nie jadło dotąd nigdy steku wołowego.

Kłopot był tylko ze słodką wodą — Hornblower więcej miał z tym utrapienia niż zazwyczaj dowódca okrętu, gdyż bydło wciąż chciało pić. Dwukrotnie musiał wysadzać o świcie oddziałek na ląd hiszpański z rozkazem opanowania wioski rybackiej i napełnienia beczek wodą ze strumienia.

Było to ryzykowne przedsięwzięcie, a jego niebezpieczeństwo ujawniło się w czasie drugiego wypadu. Gdy „Caroline” miała już odpłynąć od lądu, hiszpański lugier strażniczy wyszedł z za cypla na wszystkich żaglach. Pierwszy zobaczył go Maxwell, lecz zanim przyszedł, by o tym zameldować, Hornblower też go dojrzał.

— Bardzo dobrze, Maxwell — odparł Hornblower, starając się mówić opanowanym tonem.

Skierował lunetę na lugier. Był oddalony o nie więcej niż trzy mile, nieco po nawietrznej, „Caroline” zaś była uwięziona w zatoce, odcięta przez ląd od wszelkich szans ucieczki. Na dwa węzły brygu lugier robił trzy, a kanciaste nadbudówki „Caroline” nie pozwalały jej na większe zbliżenie się do wiatru niż o osiem rumbów. Hornblower patrzył, a rozdrażnienie narastające w ciągu ubiegłych siedemnastu dni doszło w nim do szczytu. Był wściekły na los za to, że narzucił mu tę operetkową misję. Nienawidził „Caroline”, jej niezdarnych kształtów, smrodu i ładunku. Czuł gniew na przeznaczenie, które postawiło go w tym beznadziejnym położeniu.

— Niech to wszyscy diabli! — zaklął, waląc ze złości butem w deski przejścia przy burtowego. — Do diabła! Niech to piekło pochłonie!

Sam był zdziwiony, że miota się z wściekłości. Lecz nie było mowy, żeby poddał się bez walki, i w pracującym z wytężeniem mózgu wyłonił się plan działania. Jaką załogę może mieć hiszpańska łódź strażnicza? Dwudziestu ludzi? Chyba nie aż tyle — te lugry miały zwykle za zadanie zwalczać drobnych przemytników. Działając przez zaskoczenie miał jeszcze jakąś szansę, mimo czterech ośmioletek, w jakie był uzbrojony lugier.

— Chłopcy, pistolety i kordy — rozkazał. — Jordan, wybierzcie dwóch ludzi i pokazujcie się z nimi na pokładzie. Reszta niech siedzi w ukryciu. Pochowajcie się. Tak, panie Tapling, może pan być z nami. Tylko proszę zaopatrzyć się w broń.

Nikt nie będzie oczekiwał oporu od załadowanego byłym transportowca; Hiszpanie będą sądzili, że jeśli ma on w ogóle jakąś załogę, to najwyżej z tuzin marynarzy, a nie zdyscyplinowaną siłę dwudziestu ludzi. Problem polegał na zwabieniu lugra w zasięg brygu.

— Na wiatr! — krzyknął Hornblower na dół do sternika. — Marynarze, przygotować się do skoku. Maxwell, jeśli któryś wystawi głowę, zanim wydam rozkaz, zastrzelcie go własnoręcznie. Słyszycie mnie? To rozkaz i niewykonanie go grozi wam niebezpieczeństwem.

— Tak jest, sir — odpowiedział Maxwell.

Lugier skacząc na falach posuwał się ku nim; nawet przy tym słabym powiewie woda pieniała się pod jego ostrym dziobem. Hornblower spojrział na maszty, aby sprawdzić, czy na „Caroline” nie ma żadnej flagi. Dzięki temu jego plan był zgodny z przepisami w świetle prawa wojennego. Rozległ się huk działa i kłębek dymu ukazał się nad lugrem strzelającym ponad dziobem „Caroline”.

— Jordan, podchodzimy do niego — powiedział Hornblower. — Brasy grotmarsła. Ster na nawietrzną!

„Caroline” skręciła na wiatr i nurzała się w falach pozornie bezbronna i zdana na łaskę zdobywcy, jeśli nawet był ktoś na jej pokładzie.

— Chłopcy, ani mru-mru — przypomniał Hornblower.

Bydło ryczało żałośnie. Lugier zbliżył się i widać już było wyraźnie jego załogę. Hornblower zobaczył, że jakiś oficer chwycił się grotwant, gotowy do skoku, ale poza tym wyglądało na to, że nikt się brygiem nie przejmuje. Wszyscy gapili się na niezdarną nadbudówkę i śmieli się z dochodzącego z niej ryku krów.

— Czekać, chłopcy, czekać — wstrzymywał Hornblower.

Lugier już podchodził do ich burty, gdy nagle, cały czerwony ze wstydu, Hornblower uświadomił sobie, że jest bez broni. Kazał marynarzom wziąć pistolety i kordy; doradził Taplingowi, żeby się uzbroił, a sam zapomniał o broni dla siebie. Ale teraz było już za późno. Ktoś na lugrze obwoływał bryg po hiszpańsku i Hornblower pokazał gestem, że nie rozumie. Teraz już byli burta w burzę.

— Za mną, chłopcy! — wrzasnął Hornblower.

Przebiegł nadbudówką i potykając się, ze ściśniętym gardłem, skoczył w przerwę koło oficera na wantach. Lecąc przełknął jeszcze raz ślinę; całym swoim ciężarem zwałił się na nieszczęśnika, uczeplił się jego ramion i obaj padli na pokład. Z krzykiem i wyciem załoga „Caroline” skakała za nim na lugier. Tupot nóg, łoskot i brzęk. Hornblower dźwignął się na nogi, bezbronny, z pustymi rękami. Maxwell obok uderzał właśnie kordem jakiegoś mężczyznę. Tapling na czele grupki marynarzy pędził na dziób, wywijając kordem i wyjąc jak szaleniec. A potem wszystko ucichło; zaskoczeni Hiszpanie nie zdążyli podnieść Teki w swojej obronie.

Tak więc dwudziestego drugiego dnia kwarantanny „Caroline” zjawiała się w Gibraltarze ze zdobytym lugrem strażniczym prowadzonym pod burtą zawietrzną. Włókł się za nią zatęchły zaduch obory, ale za to, przybywszy na pokład „Indefatigable” dla złożenia raportu, Hornblower miał przygotowaną odpowiedź na pytanie midszypmena Bracegirdle'a.

— Halo, Noe, jak się miewa Sem i Cham? — zapytał Bracegirdle.

— Sem i Cham zdobyli przyz — odparł Hornblower. — Szkoda, że pan Bracegirdle nie może tego o sobie powiedzieć.

Ale główny intendent eskadry, u którego zameldował się Hornblower, uczynił uwagę, na którą nawet Hornblower nie potrafił znaleźć odprawy.

— Chce mi pan powiedzieć, panie Hornblower — mówił intendent — że pozwolił pan, aby pańska załoga żywiła się świeżym mięsem? Jeden wół dziennie na osiemnastu ludzi? Na statku było na pewno dosyć starych zapasów. To była nieusprawiedliwiona rozrzutność, panie Hornblower, jestem tym zaskoczony.

Rozdział dziesiąty

Księżna i diabeł

P.o. porucznik Hornblower doprowadzał korwetę „La Reue”, przyz fregaty „Indefatigable”, do kotwicowiska w Zatoce Gibraltarskiej. Był zdenerwowany; gdyby ktoś zapytał go, czy sądzi, że wszystkie lunety floty śródziemnomorskiej są skierowane na niego, roześmiałby się z tego absurdu przypuszczenia, ale takie właśnie miał uczucie. Nikt nie badał nigdy tak starannie siły popychającego ich powiewu, nie oceniał uważniej odległości od wielkich okrętów liniowych stojących na kotwicach i nie obliczał z większą dokładnością przestrzeni potrzebnej dla zakotwiczenia „La Reue”. Jackson, jego podoficer stał na dziobie, czekając na rozkaz zwinięcia kliwra, i błyskawicznie reagował na polecenia Hornblowera.

— Ster na wiatr — zawołał Hornblower i „La Reue” skręciła na wiatr. — Brać na gejtawy!

„La Reue” posuwała się naprzód pędem hamowanym przez wiatr.

— Kotwicę rzuć!

Jęczała lina wyciągana z kluzy przez kotwicę — miły plusk oznajmiający koniec podróży. Hornblower obserwował przez chwilę uważnie napinanie się liny kotwicznej, a potem odetchnął.

Doprowadził przyz bezpiecznie do portu. Komodor — kapitan Sir Edward Pellew z fregaty „Indefatigable” — widocznie jeszcze nie powrócił, więc obowiązek zameldowania się u admirała, dowódcy portu, spadł na Hornblowera.

— Spuścić gig na wodę — rozkazał, a potem, przypomniawszy sobie o obowiązkach humanitaryzmu, dodał: — Jeńców możecie wypuścić na pokład.

Ostatnie czterdzieści osiem godzin spędzili stłoczeni pod pokładem, ponieważ każdy dowódca przyz bał się jak ognia odbicia zdobyczy. Lecz tutaj, w zatoce, w otoczeniu jednostek floty śródziemnomorskiej, niebezpieczeństwo minęło. Gig ślizgał się po wodzie, niesiony wiosłami dwóch marynarzy, i po dziesięciu minutach Hornblower meldował swoje przybycie admirałowi.

— Mówi pan, że rozwija niezłą prędkość? — powiedział admirał patrząc na przyz.

— Tak, sir. I jest dość zwrotna — dodał Hornblower.

— Kupię ją dla potrzeb służbowych. Nigdy nie ma się dosyć statków łącznościowych — powiedział z zadumą admirał.

Mimo tej uwagi Hornblower poczuł się przyjemnie zaskoczony, kiedy otrzymał rozkazy urzędowe z licznymi pieczęciami i otwarty je przeczytał, że „niniejszym prosi się i nakazuje panu” objąć dowództwo nad korwetą „La Reve” i podążyć „z jak największym pośpiechem” do Plymouth, gdy tylko poczta do Anglii zostanie przekazana jego pieczy. Była to misja samodzielna; dawała okazję ujrzenia znowu Anglii (minęło trzy lata od czasu, gdy Hornblower ostatni raz postawił stopę na wybrzeżu angielskim), a ponadto była dowodem wysokiego uznania dla jego umiejętności zawodowych. Równocześnie jednak Hornblower otrzymał inny list, który przeczytał z mniejszym entuzjazmem.

„Ich ekscelencje generał-major Sir Hew i Lady Dalrymple mają przyjemność prosić p.o. porucznika Horatio Hornblowera na obiad w dniu dzisiejszym o godzinie trzeciej w gmachu rządowym”.

Mogło być rzeczą przyjemną spożywać obiad z gubernatorem Gibraltaru i jego małżonką, ale dla p.o. porucznika, który miał tylko jedną skrzynkę z rzeczami, a musiał się ubrać odpowiednio do swojej funkcji, była to przyjemność dość problematyczna. Mimo to trudno sobie było wyobrazić, żeby młody człowiek, schodząc z mola w stronę budynku będącego siedzibą przedstawiciela rządu, nie odczuwał podniecenia, szczególnie że jego przyjaciel, pan midszypmen Bracegirdle, który pochodził z zamożnej rodziny i miał piękną pensję, pożyczył mu parę swoich najlepszych białych pończoch z jedwabiu chińskiego — łydki Bracegirdle'a były pełne, a Hornblowera bardzo chude, ale ta trudność została pokonana w sposób prawdziwie artystyczny. Dwie małe wkładki z pakuł, parę kawałków plastra z zapasów lekarza okrętowego i łydki Hornblowera przybrały kształty, których nie musiał się wstydzić. Mógł wysunąć lewą nogę do przodu dla wykonania ukłonu bez obawy, że pończochy się poskręcą, świadom tego, że — jak to określił Bracegirdle — jest to noga, z której każdy dżentelmen byłby dumny.

Na miejscu elegancki i wymowny adiutant zaopiekował się Hornblowerem i poprowadził go

naprzód. Hornblower złożył ukłon Sir Hewowi, staremu zręcznie o czerwonej twarzy, i Lady Dalrymple, zrędlivej staruszce o równie czerwonym obliczu.

— Panie Hornblower — powiedziała Lady Dalrymple — muszę pana przedstawić. Wasza łaskawość, to jest pan Hornblower, nowy kapitan „Le Reçe”. Jej wysokość księżna Wharfedale.

Aż księżna! Hornblower wystawił do przodu swoją wywatowaną nogę, położył dłoń na sercu i skłonił się tak głęboko, jak tylko mu na to pozwoliły spodnie — rósł jeszcze, gdy je kupowano, szykując go do zaokrętownia na „Indefatigable”. Dumne niebieskie oczy i niegdyś piękna twarz osoby w średnim wieku.

— To ten młodzik, o którym ześta mówili? — powiedziała księżna. — Matylde, moja droga, chcesz oddać mnie w rence szczeniaka, co ledwo odrosnął od ziemi?

Nieoczekiwanie wulgarny sposób wymowy zdumiał Hornblowera. Był przygotowany na wszystko, z wyjątkiem tego, że wspaniale odziana księżna będzie mówiła akcentem przedmieścia. Podniósł oczy, żeby na nią spojrzeć, zapomniawszy się przedtem wyprostować, i stał tak z wysuniętym podbródkiem i ręką na sercu.

— Wyglądasz jak gonsior na polu — powiedziała księżna. — Ojejku, bo zara zaczniesz syczeć.

Wysunęła podbródek i oparłszy dłonie na kolanach zaczęła się kiwać na boki, doskonale naśladowując wojowniczego gąsiora, a przy tym tak bardzo przypominając Hornblowera, że wywołało to wybuch śmiechu ze strony innych gości. Hornblower stał obłany rumieńcem.

— Nie śmieją się z chłopaczka — powiedziała księżna, biorąc go w obronę i klepiąc po ramieniu. — On młodziutki i nie ma się co wstydać. Może se nawet zadzierać nosa, że chociaż taki smarkacz, a trafił mu się okręt.

Szczęśliwie się stało, że zaproszenie na obiad wybawiło Hornblowera z zakłopotania, w jakie popadł po tej uwadze. Hornblower znalazł się oczywiście w licznym gronie ludzi pośledniejszego stanu, posadzonych po obu stronach środkowej części stołu, z innymi młodszymi oficerami — Sir Hew siedział z księżną u szczytu stołu z jednej strony, a Lady Dalrymple z komodorem z drugiej. W dodatku kobiet było mniej niż mężczyzn, czego można się było zresztą spodziewać, ponieważ Gibraltar, przynajmniej z punktu widzenia technicznego, był oblężoną fortecą. Tak więc Hornblower nie miał kobiety z żadnej strony; po jego prawej ręce siedział młody adiutant, który zaopiekował się nim na początku.

— Pani zdrowie, wasza miłość — rzekł komodor patrząc przez stół i podnosząc szklanę.

— Dziękuję ci — powiedziała księżna. — W sam czas, żeby uratować mnie życie. Nawet sobie myślałam, któren z was ruszy się na ratunek.

Podniosła przepełniony kielich do ust, a gdy go odstawiła, był pusty.

— Będzie pan miał pierwszorzędną towarzyszkę — powiedział adiutant do Hornblowera.

— Jakże to, ona ma być moją towarzyszką — zapytał przerażony Hornblower.

Adiutant patrzył na niego z politowaniem.

— A więc pana nie powiadomiono? — zapytał. — Jak zwykle, człowiek, którego dana sprawa najbardziej obchodzi, dowiaduje się o niej ostatni. Jutro, kiedy będzie pan odpływał z pocztą, przypadnie panu zaszczyt zabrania jej łaskowości do Anglii.

— Niech Bóg ma mnie w opiece — westchnął Hornblower.

— Miejmy nadzieję, że zechce — rzekł pobożnie adiutant, wachając zapach wina. — Marna ta słodka malaga. Stary Zając kupił jej mnóstwo w dziewięćdziesiątym piątym i od tego czasu każdy gubernator uważa za swój obowiązek ją podawać.

— Ale kto to **jest**? — zapytał Hornblower.

— Jej wysokość księżna Wharfedale — powiedział adiutant. — Czy nie słyszał pan, jak ją przedstawiała Lady Dalrymple?

— Ależ ona nie mówi jak księżna — zaprotestował Hornblower.

— Nie. Stary książę był już dziecinnieły, kiedy ją poślubił. Była wdową po właścicielu gospody, tak mówią jej przyjaciele. Może pan sobie wyobrazić, jeśli pan chce, co mówią jej wrogowie.

— Ale co ona tutaj robi? — nastawał Hornblower.

— Jest w drodze powrotnej do Anglii. O ile wiem, była we Florencji, kiedy weszli tam Francuzi. Dotarła do Liworno i przekupiła statek przybrzeżny, żeby ją tutaj dowiózł. Prosiła Sir Hewa o umożliwienie powrotu i Sir Hew poprosił admirała — Sir Hew poprosi każdego o wszystko dla księżny, nawet takiej, o której jej przyjaciele mówią, że jest wdową po właścicielu gospody.

— Rozumiem — rzekł Hornblower.

U szczytu stołu rozległ się wybuch wesołości i księżna trzonkiem noża szturchnęła w plecy odzianego w szkarłatny mundur gubernatora, prawdopodobnie żeby się upewnić, że pojął dowcip.

— Sądzę, że będzie panu wesoło w podróży powrotnej — zauważył adiutant.

W tej chwili postawiono przed Hornblowerem kawał dymiącej polędwicy wołowej i wszystkie inne zmartwienia uleciały wobec konieczności pokrojenia jej w sposób elegancki. Ujął nóż i widelec w drżące dłonie i podniósł wzrok na towarzystwo zebrane przy stole.

— Czy mogę podać pani wołowiny, wasza miłość? Madam? Sir? Przypieczonej czy miękkiej, sir? Odrobinę sosu?

W dobrze ogrzanym pokoju pot spływał mu z twarzy, gdy zmagał się z pieczeniem. Miał szczęście, że większość gości wołała inne dania i nie musiał wiele kroić. Położył sobie kilka poszarpanych

płatów na talerzu, by w ten najprostszy sposób ukryć marne rezultaty swojej pracy.

— Wołowina z Tetuanu — powąchał adiutant. — Twarda i żylasta.

Adiutant gubernatora mógł tak mówić — nie wiedział, jak wspaniałe wydawało się to jedzenie młodemu oficerowi marynarki wojennej, przybyłemu wprost z dryfującej po morzu, przepelnionej załogą fregaty. Nawet myśl o występowaniu w roli gospodarza wobec księżnej nie mogła zepsuć całkowicie apetytu Hornblowera. A podane na końcu desery: bezy i makaronik, kremy i owoce wprawiły w zachwyt młodego człowieka, który tydzień temu w niedzielę jadł na deser zwykły budyń.

— Te słodczyce psują podniebienie mężczyzny — narzekał adiutant — ale co to obchodziło Hornblowera.

Pili teraz oficjalne toasty. Hornblower wznosił toast za króla i rodzinę królewską i uniósł szklankę w stronę księżnej.

— A teraz wrogowi na pohybel — rzekł Sir Hew. — Niech jego galeony ze skarbami spróbują przepłynąć Atlantyck.

— Uzupełnię pański toast, Sir Hewie — odezwał się komodor z drugiego końca stołu. — Niech diegowie zdecydują się wysadzić nos z Kadyksu.

Wokół stołu podniósł się ryk podobny do ryku dzikich zwierząt. Większość obecnych tu oficerów marynarki pochodziła z eskadry śródziemnomorskiej Jervisa, która dryfowała po Atlantyku przez ostatnie kilka miesięcy w nadziei przechwycenia Hiszpanów, gdyby przyszło im do głowy wypłynąć z portu. Jervis musiał wysyłać swoje okręty do Gibraltaru po dwa na raz dla uzupełnienia zapasów, a oficerowie ci pochodzili właśnie z dwóch okrętów liniowych obecnych w tej chwili w Gibraltarze.

— Johnny Jervis powiedziałby na to: amen — rzekł Sir Hew. — A więc, panowie, na pohybel diegom. I niech spróbują wyjść z Kadyksu.

Potem damy wyszły, skupiły się wokół Lady Dalrymple, i gdy tylko przyzwoitość pozwoliła, Hornblower przeprosił i wymknął się, nie chcąc wypić za dużo wina w noc przed odjazdem w samodzielną podróż.

Denerwująca perspektywa przybycia księżnej na pokład prawdopodobnie uchroniła Hornblowera od zbytniego przejmowania się swoją pierwszą wyprawą w charakterze dowódcy okrętu. Wstał przed świtem — zanim jeszcze jutrzienka śródziemnomorska pojawiła się na niebie — żeby sprawdzić, czy jego cenny okręt jest przygotowany do wyjścia w drogę i stawienia czoła wrogim jednostkom, od których roiło się na morzu. Miał cztery małe czterofuntówki dla obrony przed nieprzyjacielem, czyli tyle co nic. Jego okręt był najsłabszą jednostką żeglującą po morzu, gdyż nawet najmniejszy bryg handlowy był lepiej uzbrojony. Jak wszystkie słabe stworzenia, będzie musiał szukać bezpieczeństwa w ucieczce — Hornblower oglądał w półświecie maszty, które będą nieść żagle, a od nich tyle mogło zależeć. Przejrzał rozkład wacht z dwoma oficerami wachtowymi,

midszymenem Hunterem i zastępcą sternika Winyattem, aby się upewnić, że każdy członek jego jedenastoosobowej załogi wie, jakie ma obowiązki. W końcu pozostało mu tylko włożyć swój najelegantszy mundur okrętowy, zjeść śniadanie i czekać na księżną.

Na szczęście przybyła wcześniej; ich ekscelencje musiały wstać o bardzo niedogodnej godzinie, żeby ją odprowadzić. Pan Hunter z ledwie skrywanym podnieceniem zameldował o zbliżaniu się szalupy gubernatora.

— Dziękuję, panie Hunter — rzekł chłodno Hornblower — tego wymagała dyscyplina, nawet jeśli kilka tygodni temu bawili się razem w wyścigi na wantach „Indefatigable”.

Szalupa podeszła do burty i dwaj pięknie odziani marynarze przygotowali trap. „La Reve” miała tak niską wolną burtę, że przejście na nią nie przedstawiało żadnej trudności nawet dla dam. Gubernator wszedł na pokład przy dźwięku dwóch tylko gwizdków bosmańskich, jakie miała „La Reve”. A Lady Dalrymple wkroczyła za nim. Potem szła księżna i jej towarzyszka; ta ostatnia była młodsza i tak piękna, jak kiedyś musiała być księżna. Za nimi podążało paru adiutantów i mały pokład „La Reve” zappełnił się tak, że nie było miejsca na bagaż księżnej.

— Pokażemy pani jej lokum, wasza miłość — rzekł gubernator.

Lady Dalrymple skrzekliwym głosem wyraziła swoje ubolewanie na widok maleńkiej kajuty, prawie całkowicie wypełnionej przez dwie koje, gdzie każdy musiał uderzyć głową o niskie belki pokładu.

— Jakoś tam przeżyjemy — powiedziała księżna ze stoicyzmem. — Czego nie mogliby rzec ludzie prowadzeni na spacer do Tyburn[13].

W ostatniej minucie jeden z adiutantów wyjął pakiet poczty i prosił Hornblowera o pokwitowanie odbioru; wypowiedziano ostatnie słowa pożegnania i Sir Hew i Lady Dalrymple zeszli przed burtę przy dźwięku gwizdków.

— Załoga do kabestanu! — krzyknął Hornblower w momencie, gdy wiosłarze w szalupie ujęli za wiosła.

Kilka chwil spiesznej pracy wystarczyło na wybranie kotwicy „La Reve”.

— Kotwica pion, sir — zameldował Winyatt.

— Kliwry staw! — wołał Hornblower. — Żagle staw!

Po postawieniu żagli ster zanurzył się w wodzie i „La Reve” ruszyła fordewindem. Wszyscy byli tak zajęci mocowaniem kotwicy i stawianiem żagli, że Hornblower musiał sam salutować banderą, gdy „La Reve” wyszła za falochron na łagodnym wietrze północno-wschodnim i zanurzyła dziób w pierwszych długich falach Atlantyku wpadających tu przez Cieśninę Gibraltarską.

Obok ze świetlika doleciał trzask, jakby coś spadło w kabinie przy tym pierwszym przechyle, ale Hornblower nie miał czasu zajmować się zakwaterowaną w kabinie niewiastą. Stał z lunetą przy

oczach, kierując ją w pierw na Algeciras, a potem na Tarifę — jakiś okręt wojenny lub korsarz z liczną załogą mógłby z łatwością wyskoczyć i zaatakować bezbronny łup, jakim była „La Reye”. Nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek nawet po zmianie wachty przedpołudniowej. Okrążyli przylądek Marroqui i Hornblower ustalił kurs na Przylądek Św. Wincentego, a potem góry południowej Hiszpanii zaczęły zapadać za horyzont. Przylądek Trafalgar ledwie majaczył po prawej stronie dziobu, kiedy Hornblower zamknął wreszcie lunetę i zaczął myśleć o obiedzie; było rzeczą przyjemną być kapitanem własnego okrętu i móc zamówić obiad wtedy, kiedy się chciało. Poczł ból w stopach; był na nogach zbyt długo — jedenaście godzin bez przerwy. Jeśli przyszłość przyniesie mu wiele samodzielnych misji, straci zdrowie przez takie zachowanie.

Zszedł pod pokład, wyciągnął się wygodnie na skrzyni i posłał kucharza, żeby zapukał do drzwi kabiny księżnej, przekazał jego pozdrowienia i zapytał, czy wszystko jest w porządku; usłyszał ostry głos księżnej mówiącej, że nie potrzebuje niczego, nawet obiadu. Hornblower wzruszył ramionami filozoficznie i zjadł swój posiłek z apetytem młodego człowieka. Wyszedł znowu na pokład, gdy już zapadła noc; Winyatt miał wachtę.

— Robi się mgła, sir — powiedział.

Tak było w istocie. Słońce na horyzoncie było przesłonięte mgłą. Wiedział, że to jest cena, jaką płaci za sprzyjający wiatr; w miesiącach zimowych na tych szerokościach geograficznych zawsze można się było spodziewać mgły, tam gdzie chłodny wiatr od lądu docierał do Atlantyku.

— Rano będzie jeszcze gęstsza — zauważył ponuro i zmienił rozkazy wydane w nocy, ustalając kurs na zachód, zamiast na północny zachód, jak początkowo zamierzał. Chciał mieć pewność, że w wypadku mgły będzie w dostatecznej odległości od Przylądka Św. Wincentego.

Był to jeden z tych drobiazgów, które mogą wpłynąć na całe późniejsze życie człowieka — Hornblower miał później dosyć czasu, żeby się zastanawiać, co by się stało, gdyby nie zarządził tej zmiany kursu. W nocy często wychodził na pokład i wlepił wzrok w coraz to gęstszą mgłę, lecz w momencie decydującym był w kajucie, dokąd poszedł przedzemać się chwilę. Obudził go marynarz, potrząsając gwałtownie za ramię.

— Proszę, sir. Proszę, sir. Pan Hunter przysłał mnie. Proszę, sir, niech pan przyjdzie na pokład, on tak mówił, sir.

— Idę — powiedział Hornblower, budząc się natychmiast i wyskakując z koi.

Nadchodzący świt rozświetlił nieco otaczającą ich mgłę. „La Reye” przebijała się przez nieprzyjazne morze przy wietrze ledwie zapewniającym sterowną szybkość. Hunter stał oparty o ster z wyrazem niepokoju na twarzy.

— Niech pan posłucha — powiedział, gdy pojawił się Hornblower.

Słowa te wyrzekł szeptem i w podnieceniu zapomniał dodać słowo „sir”, które należało się dowódcy — w tym zdenerwowaniu Hornblower też nie zauważył tego przeoczenia. Hornblower zaczął nasłuchiwać. Usłyszał normalne odgłosy okrętowe — grzechot bloków towarzyszących

przechylił „La Reye” i szum wody pod dziobem. Potem dobiegły go inne odgłosy, z innego okrętu. To był grzechot innych bloków, inny dziób pruł morze.

— Przy naszej burcie jest okręt — rzekł Hornblower.

— Tak, sir — powiedział Hunter. — A kiedy posłałem po pana, usłyszałem rozkaz. To było po hiszpańsku — w każdym razie w jakimś obcym języku.

Na okręcie zapanował niepokój.

— Wywołać całą załogę. Spokojnie — rozkazał Hornblower.

Ale gdy wydał ten rozkaz, zaczął wątpić, czy to coś da. Mógł posłać ludzi na stanowiska, mógł obsadzić i kazać załadować swoje czterofuntówki, ale jeśli ten okręt we mgle jest silniej uzbrojony, niż bywa okręt handlowy, to stoją w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Potem spróbował się pocieszyć — może to jakiś opasły, pełen skarbów galeon hiszpański i jeśli weźmie go odważnie przez abordaż, może otrzymać przyz i stać się bogatym na całe życie.

— Szczęśliwego dzionka wiosennego życzę panu[14] — odezwał się czyjś głos obok i Hornblower omal nie wyskoczył ze skóry ze zdziwienia. Zapomniał właściwie o obecności księżnej na pokładzie.

— Cicho! — powiedział gniewnym szeptem, a ona natychmiast przerwała, zdziwiona. Była owinięta w płaszcz i miała postawiony kołnierz dla ochrony przed wilgocią; nic więcej nie mógł dojrzeć w ciemności i mgle.

— Można się o coś zapytać... — zaczęła.

— Milczeć! — powtórzył szeptem Hornblower.

Przez mgłę usłyszeli ochryply głos, inne głosy powtórzyły rozkaz, rozległ się dźwięk gwizdków, dużo hałasu i zamieszania.

— To hiszpan, prawda? — spytał szeptem Hunter.

— Na pewno hiszpan. Wzywają wachtę. Słuchajcie!

Dwa podwójne uderzenia dzwonu okrętowego dobiegły przez wodę. Cztery dzwony na wachtę poranną. I natychmiast niby echo ze wszystkich stron rozległ się dźwięk innych dzwonów.

— Jesteśmy w środku floty, o Boże! — szepnął Hunter.

— Duże statki też tu są, sir — dodał Winyatt, który podszedł do nich przy zwoływaniu całej załogi. — Słyszę sześć różnych gwizdków, którymi zwołują wachtę.

— A więc diegowie wysadzili nos — rzekł Hunter.

I kurs, który ustaliłem, wprowadził nas w sam środek między nich — pomyślał gorzko Hornblower. To był okropny zbieg okoliczności, wprost idiotyczny. Ale nie pozwolił sobie trwonić na to energii. Słumi) drzenie warg na wspomnienie toastu Sir Hewa, który życzył, aby Hiszpanie wyszli z Kadyksu.

— Stawiają więcej żagli — powiedział. — Nocą diegowie skracają żagle, jak te opasłe statki z Kompanii Indyjskiej. Stawiają marsie dopiero o świcie.

Wokoło nich we mgle rozbrzmiewało skrzywienie krążków w blokach, kroki ludzi przy fałach, odgłos lin rzuconych na pokłady i słowa wielu rozmawiających ze sobą ludzi.

— Robią przy tym dużo szumu, niech ich diabli — zauważył Hunter.

Widać było tłumione napięcie, gdy stał tak usiłując przebić wzrokiem mgłę.

— Prośmy Boga, żeby byli na innym kursie niż my — powiedział Winyatt rzeczowo. — Wówczas szybko ich minjemy.

— Nie wygląda na to — rzekł Hornblower.

„La Rève” szła prawie prosto słabym fordewindem; gdyby Hiszpanie płynęli w przeciwnym kierunku lub znaleźli się na trawersie, odgłosy z najbliższego statku już by przycichły lub bardzo się nasiliły do tego czasu, ale nic na to nie wskazywało. Istniało dużo większe prawdopodobieństwo, że „La Rève” wysunęła się przed flotyllę hiszpańską idącą pod dolnymi żaglami i teraz znalazła się w samym jej środku. Nie wiadomo było, co dalej robić w takiej sytuacji, czy stanąć w dryf i pozwolić Hiszpanom się wyprzedzić, czy też postawić więcej żagli i próbować ich wyminąć. Lecz w miarę upływu minut stawało się rzeczą coraz jaśniejszą, że flotylla i korweta idą właściwie tym samym kursem, gdyż w przeciwnym razie musieliby już zbliżyć się do któregoś okrętu. Byli na tym kursie najbezpieczniejsi, dopóki utrzymywała się mgła. Ale mgła zniknie z nadejściem dnia.

— Czy nie moglibyśmy zmienić kursu, sir? — zapytał Winyatt.

— Czekaście — rzekł Hornblower.

W słabym, ledwie rozjaśniającym się świetle poranka zauważył strzępy gęściejszej mgły przepływającej mimo — oczywisty znak, że nie należało oczekiwać utrzymywania się jej przez czas dłuższy. W tej chwili wpłynęli na niezamglony skrawek wody.

— Tam on jest, na Boga! — zawołał Hunter.

Obaj oficerowie i wszyscy marynarze wpadli nagle w panikę.

— Stać spokojnie, u diabła! — krzyknął ostro Hornblower, wyładowując napięcie w tych gwałtownych słowach. W odległości mniej niż kabla trójpokładowy okręt liniowy szedł równoległym kursem po ich prawej burcie. Przed nimi i po lewej stronie widać było mgliste jeszcze zarysy innych okrętów wojennych. Nic ich nie uratuje, jeśli ściągną na siebie uwagę; wszystko co mogli zrobić, to płynąć dalej, jak gdyby mieli takie samo prawo co okręty liniowe znajdować się

tutaj. Jeśli mają szczęście, to oficer wachtowy nie będzie wiedział, że w ich flocie nie ma żadnej korwety w rodzaju „La Rêve” lub pomyśli, że mogą mieć taką jednostkę. Ostatecznie „La Rêve” miała konstrukcję francuską i francuski takielunek. Burta w burtę korweta i okręt wojenny płynęły przez sfalowane morze. Znajdowali się w zasięgu pięćdziesięciu armat dużego kalibru i jeden dobrze wycelowany strzał mógł ich zatopić. Hunter kłął paskudnie przyciszonym głosem, ale dyscyplina robiła swoje; luneta z pokładu hiszpana nie wykryłaby żadnego podejrzanego zamieszania na pokładzie korwety. Minął ich jeszcze jeden strzęp mgły i weszli w grubą jej ławicę.

— Dzięki Bogu! — wykrzyknął Hunter, nieświadom kontrastu między tym pobożnym westchnieniem a miotanymi przed chwilą bluźnierstwami.

— Załoga do zwrotu przez rufę — powiedział Hornblower. — Przechodzimy na lewy hals.

Nie było potrzeby przestrzegać marynarzy, żeby uczynili to jak najciszej. Wszyscy jak jeden zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa. „La Rêve” zawróciła bezgłośnie; równie cicho wybrano i zlurowano szoty i korweta, trzymając się możliwie najbliżej wiatru, zmieniła hals, wystawiając się na fale lewą częścią dziobową.

— Przecinamy teraz ich kurs — powiedział Hornblower.

— Prośmy Boga, żebyśmy byli za ich rufą, a nie przed dziobem — powiedział Winyatt.

Księżna wciąż była na pokładzie; w płaszczu i kapturze stała cofnąwszy się daleko na rufę.

— Czy wasza miłość nie uważa, że lepiej zejść na dół? — zapytał Hornblower, usiłując przemawiać do niej w sposób oficjalny.

— O nie, **proszę** — powiedziała. — Nie mogłabym tego znieść.

Hornblower wzruszył ramionami i zapomniał o jej obecności, gdyż nagle przypomniał sobie o czymś ważnym. Pobiegł szybko na dół i wrócił z dwiema wielkimi zapieczętowanymi kopertami z pocztą. Wziął kołek do mocowania lin i zaczął przywiązywać do niego koperty.

— Proszę — rzekła księżna — proszę, panie Hornblower, niech mi pan powie, co pan robi?

— Chcę mieć pewność, że zatoną, gdy je wyrzucę za burtę w chwili poddania się — wyjaśnił ponuro Hornblower.

— To znaczy że przepadną na zawsze?

— Lepiej to, niż żeby Hiszpanie mieli je przeczytać — powiedział Hornblower z całą cierpliwością, na jaką potrafił się zdobyć.

— Mogłabym zaopiekować się nimi dla pana — powiedziała księżna — naprawdę.

Hornblower popatrzył na nią uważnie.

— Nie — powiedział — mogą przeszukać pani bagaż. Prawdopodobnie to uczynią.

— Bagaż! Jakbym miała zamiar pakować je do bagażu! Schowam je przy sobie — mnie na pewno nie będą rewidować. Nigdy ich nie znajdą, jeśli je włożę za bieliznę.

W słowach tych był brutalny realizm, który zaskoczył Hornblowera, ale sprawił jednocześnie, iż musiał przyznać przed sobą, że było coś w propozycji księżnej.

— Jeśli nas pochwyca — ciągnęła księżna — a modłę się, żeby się to nie stało, lecz jeśli im się to uda — mnie na pewno nie zatrzymają jako jeńca. Pan wie o tym. Odeślą mnie do Lizbony i czym prędzej wsadzą na któryś okręt królewski. Wtedy poczta będzie mogła być dostarczona. Późno, lecz lepiej niż wcale.

To prawda — pomyślał Hornblower.

— Będę strzec tych listów jak własnego życia — zapewniała księżna. — Przysięgam, że nigdy się z nimi nie rozstanę. Nikomu nie powiem, że je mam, dopiero gdy je doręczę oficerowi królewskiemu.

Patrzyła w oczy Hornblowera uczciwym spojrzeniem.

— Mgła przerzedza się, sir — powiedział Winyatt.

— Szybko! — rzekła księżna.

Nie było czasu na dalszą dyskusję. Hornblower wyciągnął koperty spod sznurka i wręczył je księżnej, a kołek włożył na miejsce w kołkownicy.

— Ta przekłeta moda francuska — mówiła księżna. — Będę jednak musiała schować te koperty pod halkę. Bo na piersiach nie ma gdzie.

Niewątpliwie górna część jej stroju nie nadawała się do tego; wbrew prawom anatomii suknia miała talię prawie pod pachami.

— Proszę mi dać kawałek liny, szybko! — rzekła księżna.

Winyatt odciął nożem kawałek liny i podał jej. Sięgała właśnie pod halkę, Hornblower z przerażeniem dojrzał skrawek białego uda nad pończochami i odwrócił czym prędzej wzrok. Mgła wyraźnie stawała się rzadsza.

— Może już pan patrzeć — oświadczyła księżna, ale halka opadła dopiero w momencie, kiedy Hornblower znowu spojrzał w jej stronę. — Wsadziłam je pod bieliznę, przy samym ciele. Moda dyrektoriańska nie przewiduje noszenia gorsetów. Obwiązałam się więc liną w talii pod koszulą i zawiesiłam jedną kopertę do przodu, a drugą na plecach. Czy pan podejrzewałby cokolwiek?

Obróciła się, żeby Hornblower mógł zobaczyć.

— Nie, nic nie widać — odparł. — Muszę podziękować waszej miłości.

— Trochę mnie to pogrubia — zauważyła księżna — ale nic mnie nie obchodzi, co Hiszpanie o tym pomyślą, byleby nie domyślili się prawdy.

Teraz, gdy już nic nie zostało do zrobienia, Hornblower poczuł zakłopotanie. Rozmowa z kobietą na temat koszul i gorsetów czy też ich braku była dla niego czymś nowym.

Zamglone słońce, jeszcze nisko nad horyzontem, przebijało się przez mgłę i świeciło mu w oczy. Marsel rzuca) słaby cień na pokład. Z każdą sekundą słońce rozjaśniało się.

— Nadchodzi — powiedział Hunter.

Przed nimi widnokrąg poszerzał się w szybkim tempie z kilku jardów do stu, ze stu do pół mili. Morze było usiane okrętami. Widać było wyraźnie co najmniej sześć — cztery liniowce i dwie duże fregaty z czerwono-złotą flagą hiszpańską na masztach i wielkimi drewnianymi krzyżami na topach, co jeszcze wyraźniej mówiło o tym, że to są statki hiszpańskie.

— Jeszcze raz zwrot przez rufę, panie Hunter — powiedział Hornblower. — Z powrotem we mgłę.

To była jedyna szansa ratunku. Zbliżając się ku nim okręty będą sygnalizować pytania i nie było mowy, żeby tego uniknąć. „La Rêve” obróciła się w miejscu, ale ławica mgły, z której się wynurzyła, już ścieniała, wessana przez spragnione słońce. Mieli jeszcze przed sobą jej pasmo, ale i ono rzedło i rozplýwało się. Głuchy odgłos wystrzału armatniego doleciał ich uszu i tuż przy ćwiartce rufowej pocisk wyrzucił fontannę wody, zanim pogrążył się w fali. Hornblower obejrzał się na rufę w sam czas, żeby zobaczyć obłoczek dymu z dziobu ścigającej ich fregaty.

— Dwa rumby w prawo — powiedział do sternika, usiłując przy tym ustalić kurs fregaty, kierunek wiatru, zamiar innych statków i położenie ostatniego, gęściejszego pasma mgły.

— Jest dwa rumby w prawo — powtórzył sternik.

— Wybrać szoty foka i grot! — zawołał Hunter.

Następny strzał, tym razem daleko za rufą, lecz dobrze wycelowany; Hornblower przypomniał sobie nagle o księżnej.

— Wasza miłość, proszę zaraz zejść pod pokład — rzekł szorstko.

— O nie, nie! — zawołała księżna gwałtownie. — Niech pan mi pozwoli zostać tutaj. Nie zejdem na dół, gdzie moja pokojówka leży nękana chorobą morską i jęczy, że chce umrzeć. Nie wytrzymam w tym zatęchłym pudle kabiny.

W kabynie nie będzie bezpieczna — pomyślał Hornblower. — Belki „La Rêve” były zbyt kruche, aby mogły w ogóle wytrzymać uderzenie pocisku. Niewiasty byłyby bezpieczne w ładowni, poniżej linii wodnej, ale tam musiałyby leżeć na baryłkach z wołowiną.

— Widać statek! — rozległ się głos z salingu.

Mgła się rozeszła, ukazując zarysy liniowca odległego od „La Reve” mniej niż o milę oraz idącego prawie tym samym kursem. Bum-bum — rozległ się głuchy odgłos z fregaty za rufą. W tej chwili strzały armatnie musiały już oznajmić całej flotylli hiszpańskiej, że dzieje się coś niezwykłego. Idący przed nimi okręt wojenny zorientuje się, że to pościg za tą małą korwetą. Pocisk przeleciał obok, rozdzierając powietrze z przeraźliwym hukiem. Okręt w przodzie czekał na nich; Hornblower zobaczył, że jego marsie obracają się powoli.

— Marynarze do szotów! — zawołał. — Panie Hunter, wykonać zwrot.

„La Reve” zawróciła znowu, kierując się w stronę zwężającej się luki po lewej burcie. Fregata płynęła za rufą, by odciąć im drogę. Następne smugi dymu z jej dziobu. Z przerażającym wyciem przeleciał pocisk o kilka stóp od Hornblowera, który zachwiał się na nogach od podmuchu. W grotzagli pojawiła się dziura.

— Wasza miłość — powiedział Hornblower — to nie są strzały ostrzegawcze...

Ostrzeliwał ich liniowiec, który zdążył wytoczyć kilka armat na pokładzie górnym i obsadzić je załogą. Zdawało się, że nadszedł koniec świata. Jedna z kul uderzyła w kadłub „La Reve” i poczuli, że pokład zakołysał się pod stopami, jakby stateczek rozpadał się na kawałki, a w tej samej chwili inny pocisk trafił w maszt. Pękły sztagi i wanty i deszcz odłamków posypał się wokoło. Maszt, żagle, bom, gafel i cała reszta zwała się z góry w morze, za burtę nawietrzną. Szczątki takielunku wlokły się za nimi i obracały bezradny wrak, wytracający resztki szybkości. Grupa na rufie stała przez chwilę oszołomiona.

— Czy ktoś ranny? — zapytał Hornblower, wracając do siebie.

— Tylko draśnięcie, sir — powiedział czyjś głos. Zakrawało na cud, że nikt nie został zabity.

— Pomocnik cieśli, opuścić sondę do ładowni — rozkazał, a potem, opamiętawszy się, zmienił rozkaz. — Nie, do diabła z tym. Cofam rozkaz. Niech diegowie próbują ratować statek, jeśli potrafią.

Liniowiec, którego salwa wyrządziła te szkody, brał już wiatr w marsie i oddalał się, natomiast ścigająca fregata dopadła ich szybko. Z luku rufowego wyłoniła się zapłakana postać. Była to pokojówka księżnej, tak przestraszona, że zapomniała o chorobie morskiej. Księżna otoczywszy dziewczynę opiekuńczym ramieniem próbowała ją pocieszać.

— Wasza miłość zechce może raczej zająć się swoimi bagażami — odezwał się Hornblower. — Już wkrótce opuści nas pani z diegami, udając się na inną kwaterę. Mam nadzieję, że wygodniejszą.

Starał się mówić rzeczowym tonem, jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego, jakby nie miał za chwilę stać się jeńcem Hiszpanów, lecz księżna zauważyła drzenie spokojnych zwykle warg i zaciśnięte pięści.

— Nie umiem powiedzieć, jak bardzo mnie to martwi — rzekła miękko, pełnym współczucia

głosem.

— Tym trudniej mi to znieść — odparł Hornblower, zmuszając się do uśmiechu.

Fregata hiszpańska zachodziła im właśnie drogę w odległości kabla po nawietrznej.

— Proszę pana — wtrącił Hunter.

— Co?

— Możemy walczyć, sir. Niech pan tylko rozkaże. Obrzucimy łodzie kartaczami, jak będą podchodzić do abordażu. Może choć raz uda się nam ich odegnać.

Znekany Hornblower już miał rzucić: „Nie gadajcie głupstw”, ale się opanował. Wskazał tylko na fregatę. Odległa mniej niż o strzał wycelowała w nich wyzywająco dwadzieścia armat. Opuszczana właśnie łódź zabierze co najmniej dwa razy tyle marynarzy, ile było na „La Rève”, nie większej od jachtu. Mieli szansę nie jedną do dziesięciu czy nawet do stu, lecz jedną do tysiąca.

— Rozumiem, sir — zgodził się Hunter.

Łódź z fregaty hiszpańskiej już była na wodzie, gotowa do odpłynięcia.

— Panie Hornblower, chcę zamienić z panem słówko na osobności — rzekła nagle księżna.

Na te słowa Hunter i Winyatt oddalili się.

— Słucham, wasza miłość? — zwrócił się do niej Hornblower.

Księżna patrzyła mu prosto w oczy, wciąż obejmując ramieniem piękną pokojówkę.

— Jestem taką samą księżną jak pan księciem — powiedziała.

— Wielki Boże! — westchnął Hornblower. — Więc kim... kim pani jest?

— Kitty Cobham.

Nazwisko to nic nie mówiło Hornblowerowi.

— Widzę, panie Hornblower, że jest pan za młody, żeby pamiętać to nazwisko. Ostatni raz występowałam na deskach pięć lat temu.

Otóż to. Kitty Cobham, aktorka.

— Teraz mogę już to powiedzieć — ciągnęła księżna — tańcząc na falach łódź hiszpańska szła w ich stronę. — Wejście Francuzów do Florencji dopełniło czary moich nieszczęść. Zostałam bez grosza, gdy się wymknęłam z ich rąk. Kto ruszyłby palcem dla byłej artystki — w dodatku zdradzonej i opuszczonej? Co mogłam zrobić? Ale księżna — to co innego. Stary Dalrymple sam już

nie wiedział, jak się przysłużyć księżnej Wharfedale.

— Czemu wybrała pani ten tytuł? — zapytał mimo woli Hornblower.

— Znałam ją — odparła księżna ze wzruszeniem ramion. — To znaczy cechy jej charakteru. Dlatego wybrałam właśnie ją — zawsze lepiej mi wychodziły role charakterystyczne niż zwykłe komediowe. I nie bywałam w nich tak nudna jak w dużej roli.

— Ale moja poczta! — wykrzyknął przerażony Hornblower. — Proszę ją zwrócić, szybko.

— Jeśli pan sobie tego życzy — odparła księżna. — Ale po przybyciu Hiszpanów mogę dalej grać rolę księżnej. Uwolnią mnie przy najbliższej okazji. Będę tych kopert strzec bardziej niż własnego życia — przysięgam, przysięgam! Jeśli mi je pan zawierzy, zostaną doręczone przed upływem miesiąca.

Hornblower widział jej błagalny wzrok. Mogła być przebiegłym szpiegiem, usiłującym uchronić pocztę od wyrzucenia za burtę, zanim Hiszpanie ją dostaną. Ale żaden szpieg nie mógł przewidzieć, że „La Reve” wpakuje się w środek flotylli hiszpańskiej.

— Wiem, zaglądałam do butelki — przyznała księżna. — Piłam. Tak, to prawda. Ale w Gibraltarze byłam trzeźwa, nieprawdaż? I nie wezmę kropli, ani jednej kropli, póki nie znajdę się w Anglii. Przysięgam. Proszę, sir... proszę. Niech mi pan pozwoli uczynić coś dla kraju.

Była to trudna decyzja dla człowieka dziewiętnastoletniego, który nigdy dotąd nie zamienił słowa z aktorką. Ochrypiły głos oznajmił że łódź hiszpańska przybiła do ich burty.

— A więc niech ją pani zatrzyma — postanowił — i doręczy, kiedy to będzie możliwe.

Nie odrywał oczu od jej twarzy. Szukał w niej śladu triumfu. Gdyby go dostrzegł, natychmiast wydarłby jej pocztę. Ale zobaczył tylko naturalny wyraz radości i dopiero wtedy — nie wcześniej — uznał, że może jej zaufać.

— Och, dziękuję panu, sir — powiedziała księżna.

Łódź zahaczyła bosakiem i porucznik hiszpański zaczął gramolić się przez burtę. Właził na pokład na czworakach, a gdy się podniósł, Hornblower ruszył w jego stronę, aby go przyjąć. Pokonany i zwycięzca wymienili ukłony. Hornblower nie rozumiał słów Hiszpana, ale najprawdopodobniej wypowiadał on jakieś oficjalne frazesy. Spostrzegłszy dwie niewiasty, Hiszpan osłupiał. Hornblower spiesznie przedstawił ich sobie w języku, który wydawał mu się hiszpańskim.

— Señor el tenente Espanol — rzekł. — Señora la Duquesa de Wharfedale.

Tytuł wyraźnie wywarł wrażenie; porucznik skłonił się głęboko, a księżna przyjęła ukłon z wyniosłą miną. Hornblower mógł być pewien, że poczta jest bezpieczna. Była to jakaś ulga w tej nieszczęsnej sytuacji, gdy jako jeniec hiszpański stał na pokładzie nasiąkłego wodą stateczku. Usłyszał odgłos huku, daleko po zawietrznej. Żaden grzmot nie mógł trwać tak długo. To co usłyszał, musiało być hukiem salw burtowych z walczących okrętów — czy nawet flotylli. Gdzieś w okolicy

Przylądka Św. Wincentego eskadra brytyjska musiała wreszcie dopaść Hiszpanów. Coraz groźniej rozbrzmiewał łoskot artylerii. Hiszpanie, którzy wdrapali się na pokład „La Reye”, zaczęli przejawiać zdenerwowanie, a tymczasem Hornblower stał z odkrytą głową i czekał, aż wezmą go do niewoli.

Niewola — to straszna rzecz. Gdy minęło otępienie, Hornblower uświadomił sobie, jak straszna. Nawet wieści o porządnym laniu, jakie dostała flotylla hiszpańska pod Św. Wincentym, nie złagodziły niedoli i udręki wegetacji więziennej. Nie chodziło tu tylko o warunki fizyczne — o te dziesięć stóp kwadratowych miejsca na człowieka na opuszczonym statku w Ferrol, wraz z innymi podoficerami wziętymi do niewoli, gdyż nie były one gorsze od tych, w jakich młodszy oficer musiał często przebywać na morzu — najstraszniejszą rzeczą była utrata wolności, sam fakt bycia jeńcem.

Upłynęły cztery miesiące, zanim pierwszy list dotarł do Hornblowera; rząd hiszpański, niezaradny pod każdym względem, miał najgorszy system pocztowy w Europie. Lecz oto trzymał ten list, adresowany i preadresowany, bezpieczny w jego rękach, wyrwany podoficerowi hiszpańskiemu, sylabizującemu obce nazwisko. Pismo nie było znane Hornblowerowi, a gdy złamał pieczęć, otworzył list i przeczytał nagłówek, zdawało mu się przez chwilę, że to list do kogoś innego.

„Drogi chłopcze” — zaczynał się list. Któż u licha, może go tak nazywać? Czytał dalej jak we śnie.

Drogi chłopcze!

Spodziewam się, że będziesz uszczęśliwiony, gdy dowiesz się, że to, co mi dałeś, dotarło do miejsca przeznaczenia. Gdy to oddałam, powiedziano mi, że jesteś w niewoli i moje serce płacze nad Tobą. Oznajmili mi też, że są zadowoleni z Twoich czynów. A jeden z tych admirałów jest udziałowcem Drury Lane. Któż by mógł się tego spodziewać? Uśmiechnął się do mnie, a ja do niego. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że ma udziały, i uśmiechałam się z samej dobroci serca. To, co mu naopowiadałam o niebezpieczeństwach, jakie przeżyłam, strzegąc cennej przesyłki, było czystą bujną teatralną. Ale on uwierzył i był tak wzruszony moim uśmiechem i moimi przygodami, że zażądał, aby Sherry dał mi rolę, i nie uwierzysz, gram teraz większe role, zwykle tragicznych matek, i zyskuję poklask niewybrednych widzów. Odkrywam również dobre strony starzenia się. Od czasu, gdy się rozstaliśmy, nie wzięłam wina do ust i nie wezmę już nigdy. Jako dodatkową nagrodę mój admirał dał mi przyrzeczenie, że wyśle ten list następnym statkiem wiozącym jeńców na wymianę. Mam nadzieję, że dotrze do Ciebie i przyniesie pociechę w Twych rozterkach.

Co wieczór modłę się za Ciebie.

Oddana przyjaciółka

Catherine Cobham

Pociecha w rozterkach? Może i tak. Była pewna pociecha w świadomości, że poczta dotarła, gdzie trzeba, a także wiadomości — chociaż z drugiej ręki — że lordowie Admiralicji są z niego zadowoleni. Była pewna pociecha nawet w tym, że księżna wróciła na scenę. Ale wszystko to razem było niczym w porównaniu z jego niedolą.

Przyszedł strażnik, aby zabrać go do komendanta, któremu irlandzki renegat służył za tłumacza. Na biurku komendanta leżały jeszcze jakieś papiery — widocznie statek z jeńcami, który przywiózł list od Kitty Cobham, dostarczył również pocztę dla komendanta.

— Witam pana, sir — powiedział komendant, uprzejmy jak zawsze, wskazując krzesło.

— Dzień dobry, sir, i bardzo dziękuję — odparł Hornblower. Uczył się hiszpańskiego powoli i z wielkim trudem.

— Otrzymał pan awans — oznajmił Irlandczyk po angielsku.

— C-co? — zdumiał się Hornblower.

— Awans — powtórzył Irlandczyk. — Tu jest list. „Informuje się władze hiszpańskie, że w związku z zasługami służbowymi zatwierdza się p.o. dowódcę okrętu pana Horatia Hornblowera, midszypmena i p.o. porucznika, jako dowódcę okrętu. Lordowie Admiralicji wyrażają przekonanie, że panu Horatiowi Hornblowerowi przyznane zostaną od razu przywileje związane z tym stanowiskiem". Widzi pan teraz, młody człowieku.

— Moje gratulacje, sir — rzekł komendant.

— Bardzo dziękuję, sir — odpowiedział Hornblower.

Komendant, miły starszy pan, uśmiechał się przyjaźnie do zakłopotanego młodzieńca. Zaczął mówić coś jeszcze, ale Hornblower był za słaby w hiszpańskim, żeby mógł rozumieć bardziej skomplikowane zdania i w rozpaczy poszukał wzrokiem pomocy tłumacza.

— Teraz, gdy został pan mianowany oficerem — wyjaśnił ten ostatni — będzie pan przeniesiony do pomieszczeń oficerów przebywających w niewoli.

— Dziękuję — rzekł Hornblower.

— Będzie pan otrzymywał połowę pensji należnej oficerowi w pańskiej randze.

— Dziękuję.

— Honorowany będzie również pański parol. Dawszy go, będzie pan mógł codziennie wychodzić na dwie godziny do miasta i w okolice.

— Dziękuję — powtarzał Hornblower.

W ciągu następnych długich miesięcy jego niedola została nieco złagodzona być może właśnie dzięki temu, że parol dawał mu codziennie dwie godziny swobody; swobody błądzenia ulicami miasteczka, wypijania filiżanki czekolady czy szklanki wina — jeśli miał za co — i uprzejmej, choć przychodzącej mu z trudem rozmowy z hiszpańskimi żołnierzami, marynarzami czy cywilami. Przyjemniej jednak było spędzać te dwie godziny, wędrując po ścieżkach górskich, wydeptanych przez kozice, wystawiając twarz na wiatr i słońce, w bliskości morza, które łagodziło udrękę

niewoli. Poprawiło się też trochę jedzenie i warunki mieszkaniowe. Do tego dochodziła świadomość, że jest teraz porucznikiem mianowanym przez króla i że jeśli kiedyś, kiedyś skończy się wojna i jego niewola, będzie mógł wegetować na połowie pensji — gdyż po wojnie nie będzie zatrudnienia dla młodszych poruczników. Lecz zdobył swój awans. Zasłużył na uznanie władz i to było coś, o czym mógł rozmyślać w czasie samotnych przechadzek.

A potem nadszedł czas sztormów południowozachodnich, z wyciem wichru nadlatującego zza Atlantyku. Przelatywał bez przeszkód nad wodą trzy tysiące mil, nasilając się po drodze i rozkołysując morze w olbrzymie fale, przypominające grzbiety górskie, które pędząc z ogromną szybkością załamywały się z hukiem i fontanną bryzgów na brzegu hiszpańskim. Hornblower stał na cyplu nad portem Ferrol, przytrzymując opończę i pochylając się do przodu, aby utrzymać się na nogach na wietrze tak silnym, że zatykał dech w piersiach. Odwróciwszy się tyłem mógł łatwiej oddychać, lecz wtedy wichur zwiewał mu rozwichrzone włosy na oczy, targał opończę i spychał w dół, zmuszając do posuwania się drobnymi, niepewnymi krokami w kierunku Ferrol, choćby Hornblower nie miał jeszcze chęci wracać. Przez dwie godziny bywał wolny i sam, toteż cenne były te dwie godziny. Przez cały czas mógł wdychać powietrze Atlantyku, spacerować, robić co mu się podobało. Mógł wpatrywać się w morze i nieraz zdarzało mu się pochwycić z cypla widok brytyjskiego okrętu wojennego sunącego powoli wzdłuż wybrzeża w nadziei, że obserwując ruchy Hiszpanów na morzu zdoła dostać w swe ręce jakiś ich kabotażowiec. Gdy taki okręt przepływał podczas codziennych dwóch godzin swobody, Hornblower stał i wpatrywał się w niego, jak człowiek konający z pragnienia patrzy na wiadro wody stojące poza zasięgiem jego rąk; notował w pamięci drobne szczegóły, krój marsli i kolor burt, a udręka skręcała jego wnętrzności. Dobiegał właśnie drugi rok jego pobytu w niewoli. Każdego dnia przez dwadzieścia dwa miesiące i dwadzieścia dwie godziny przebywał zamknięty w ciasnej celi fortecy Ferrol z pięcioma innymi młodszymi oficerami. A dziś wiatr przelatywał górą z szumem, chełpiąc się swoją swobodą. Wystawił twarz na jego powiew; w dole rozciągała się Coruña, jej białe domki przypominały kostki cukru rozrzucone po zboczu. Między nim i Coruñą leżała otwarta przestrzeń zatoki Coruña, z powierzchnią białą od spienionych przez wichur fal, po lewej zaś ręce miał wąskie przejście do zatoczki Ferrol. Po prawej rozpościerały się otwarte wody Atlantyku; spod niskiego urwiska sterczała ku północy długa, niebezpieczna rafa Dientes del Diablo — Diabelskie Kły — przecinając bieg długich, gnanych wiatrem fal oceanicznych. Co pół minuty fale te rozbijały się o rafę z siłą wstrząsającą cypel, na którym stał Hornblower. A każda rozpryskiwała się w fontannę bryzgów, które natychmiast porywał wiatr, odsłaniając znów długie czarne kły głazów rafy.

Hornblower nie był sam na cyplu; artylerzysta z milicji hiszpańskiej, stojący na straży o kilka jardów od niego, patrzył zażawionymi oczyma przez lunetę, obserwując nieustannie widnokrąg od strony morza. Będąc w stanie wojny z Anglią trzeba wciąż było zachowywać czujność; spoza horyzontu mogła nagle wypłynąć flotylla i wysadzić desant na ląd z zadaniem wzięcia Ferrol i spalenia urządzeń portowych i statków. Dziś nie ma co czekać na to — pomyślał Hornblower — nie było mowy o wylądowaniu oddziału na wzburzonym brzegu zawietrznym.

Mimo to jednak strażnik patrzył bardzo uważnie przez lunetę w kierunku nawietrznym; otarł zaszle mgłą oczy rękawem płaszcza i kontynuował obserwację. Hornblower skierował wzrok w tę samą stronę, ale nie potrafił dojrzeć, co zwróciło uwagę strażnika. Żołnierz zamruczał coś do siebie, odwrócił się i pobiegł ciężkim krokiem w kierunku niewielkiej strażnicy z kamienia, gdzie

stacjonowała reszta oddziału obsługującego baterię dział na cyplu. Powrócił z sierżantem straży, który wziął lunetę i zaczął patrzeć w kierunku nawietrznym wskazanym przez strażnika. Obaj zagadali do siebie w barbarzyńskim narzeczu galicyjskim. W czasie dwóch lat pilnej nauki Hornblower opanował zarówno narzecze galicyjskie, jak i kastylijskie, lecz wycie wiatru zagłuszało rozmowę. Wreszcie, w momencie gdy sierżant skinął głową potakująco, Hornblower zobaczył gołym okiem to, o czym rozmawiali. Jasnoszary prostokąt na widnokreśgu nad siwym morzem — marsie okrętu. Szedł pełnym wiatrem, aby schronić się w Coruni lub w Ferrol.

Był to nierozważny krok z jego strony, nie będzie bowiem łatwą sprawą ustawić się dziobem do wiatru, aby móc wejść do zatoki Coruña i stanąć na kotwicy, a jeszcze trudniej trafić w wąskie wejście do zatoczki Ferrol. Roztropny kapitan odszedłby w morze i położył się w dryf w dostatecznej odległości od lądu, aż wiatr się nieco uciszy. Ci hiszpańscy kapitanowie, pomyślał Hornblower, wzruszając ramionami; oni oczywiście zawsze będą się starali wejść do portu jak najszybciej w obawie przed królewską flotą wojenną. Lecz strażnik i sierżant okazywali większe zdenerwowanie, niż by to usprawiedliwiało pojawienie się jednego statku. Hornblower nie mógł się już dłużej opanowywać i zaczął podsuwać się nieznacznie do rozmawiających, układając w myśli zdania w ciągle jeszcze obcym dla niego języku.

— Przepraszam panów — zaczął — przepraszam — powtórzył przekrzykując wiatr. — Co tam widzicie?

Sierżant spojrział na niego, a potem, dla jakiegoś nieznanego powodu, podał mu lunetę. Hornblower ledwo mógł powstrzymać się od wyrwania mu jej z rąk.

Przez lunetę widział znacznie lepiej; dojrzał jednostkę z takielunkiem okrętowym, pod ciasno zrefowanymi marsłami (postawionych żagli było więcej, niż należało) gnającą w ich stronę. A w chwilę później zobaczył następny szary prostokąt. Jeszcze jeden marsel. Jeszcze jeden okręt. Stenga fokmasztu była znacznie krótsza niż w grotmaszcie i nie tylko to, ale cały wygląd był mu znajomy — to był brytyjski okręt wojenny, fregata brytyjska w pościgu za statkiem, który wyglądał na hiszpański statek korsarski. Pogoń była blisko; było rzeczą bardzo wątpliwą, czy hiszpan zdoła umknąć pod osłonę baterii brzegowych, zanim fregata go prześcignie. Opuścił lunetę, by dać odpocząć oczom, i natychmiast sierżant wyrwał mu ją z rąk. Obserwował twarz Anglika i wyraz malujący się na obliczu Hornblowera powiedział mu to, co chciał wiedzieć. Zachowanie się tych dwóch statków uprawniało go do obudzenia oficera i wszczęcia alarmu. Sierżant ze strażnikiem puścili się pędem w stronę strażnicy i w kilka chwil później zaczęli z niej wybiegać artylerzyści, by obsadzić działa na krawędzi zbocza. Wkrótce, poganiając konia, nadjechał ścieżką oficer; wystarczył mu jeden rzut oka przez lunetę. Dudniąc kopytami popędził do baterii i w następnej chwili huk działa zaalarmował resztę stanowisk obronnych. Flaga hiszpańska wzniosła się na maszt obok baterii i Hornblower zobaczył podobną flagę wciąganą w San Antonio, gdzie druga bateria strzegła zatoki Coruña. Już wszystkie działa broniące portu zostały obsadzone i nie będzie litości dla okrętu angielskiego, który podejdzie w ich zasięg.

Ścigający i ścigany przebyli połowę odległości do Coruni. Stojąc na cyplu Hornblower widział już w horyzoncie ich kadłuby nurzające się wściekle dziobami w szarym morzu — przez moment spodziewał się, że zobaczy, jak zdejmują stengi lub jak ich żagle zostaną wydmuchane z lików. Fregata wciąż była pół mili za rufą hiszpana, a musiałaby podejść znacznie bliżej, żeby móc strzelać

celnie z dział przy obecnym stanie morza. Ze stukotem kopyt końskich nadjeżdżał ścieżką komendant ze sztabem, by zobaczyć punkt kulminacyjny dramatu; zauważył Hornblowera i zdjął kapelusz z hiszpańską kurtuazją, a Hornblower, nie mając nakrycia głowy, usiłował oddać mu równie kurtuazyjny ukłon. Podszedł do niego z pilną prośbą — musiał położyć dłoń na łęku siodła Hiszpana i wykrzyknąć mu swą prośbę prosto w twarz, aby zostać zrozumianym.

— Za dziesięć minut kończy się mój parol, sir — wołał. — Czy mogę go przedłużyć? Czy mógłbym zostać?

— Tak, proszę zostać, señor — zgodził się łaskawie komendant.

Hornblower obserwował pogoń, a przy tym przyglądał się z bliska przygotowaniom do obrony. Dał parol, ale żaden punkt umowy dżentelmeńskiej nie zabraniał mu notowania w pamięci wszystkiego, co widział. Któregoś dnia będzie wolny i znajomość urządzeń obronnych Ferrol może się wówczas przydać. Cała grupa zebrana na cyplu obserwowała pogoń i zdenerwowanie rosło w miarę zbliżania się okrętów. Dowódca angielski trzymał się po stronie odmorskiej hiszpana w odległości stu jardów, a może nieco więcej, ale nie był w stanie go prześcignąć — Hornblowerowi wydawało się nawet, że hiszpan zwiększał odległość. Ale fakt, że fregata angielska znajdowała się po stronie morza, oznaczał, że droga ucieczki w tamtym kierunku była odcięta. Każde odsunięcie się od lądu będzie zmniejszać wyprzedzenie hiszpana. Jeśli nie wejdzie do zatoki Coruña lub wąskiego wejścia do Ferrol, jest zgubiony.

Zrównał się teraz z cyplem Coruña i był już czas przełożyć ostro ster i skrócić w zatokę z nadzieją, że kotwice będą trzymały po zawietrznej cypla. Lecz przy silnej wichurze atakującej urwiska i cyple mogły się zdarzyć dziwne rzeczy. Przy próbie ustawiania się dziobem do wiatru podmuch od zatoki sprawił widocznie, że żagle zapracowały wstecz. Hornblower ujrzał, jak statek się zachwiał, przechylił silnie na burtę, gdy podmuch ustał, a potem znowu wichura pochwyciła go w swe szpony. Położył się prawie zupełnie na burtę, a gdy się prostował, Hornblowerowi mignęła dziura w grotmarslu. Mignęła, bo żywot samego marsla był krótki, gdyż rozdarty, rozleciał się natychmiast na strzępy. Bez jego równoważącego nacisku statek przestał reagować na manewry, wichura napierająca na fokmarsel obracała nim jak wiatrowskazem. Gdyby zdążyli postawić kawałek żagla w dalsze części rufy, byłby uratowany, lecz na tych zamkniętych wodach nie było czasu do stracenia. Był moment, gdy stateczek prawie mijał cypel Coruña, w chwilę później stracił tę okazję bezpowrotnie.

Wciąż jednak istniała szansa, że wejdzie jakoś do wąskiej zatoki Ferrol; wiatr był prawie sprzyjający — prawie. Stojąc na cyplu Ferrol, Hornblower szedł za tokiem myśli kapitana hiszpańskiego na wznoszącym się i opadającym pokładzie. Widział, jak próbuje ustawić swój statek tak, żeby mógł go skierować do wąskiego wejścia, znanego wśród marynarzy jako bardzo trudne. Widział, jak rusza tym kursem i przez kilka sekund, gdy przecinał ujście zatoki, wyglądało, że (wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu) uda mu się chyba trafić prosto w wąskie wejście. Potem znów podmuch szarpnął statkiem wstecz. Gdyby reakcja statku na działanie steru była szybka, mogliby się jeszcze uratować, ale przy braku zrównoważenia nacisku wiatru na żagle statek wolno reagował na jego ruchy. Wiatr odwrócił dziób i już było wiadomo, że to koniec, lecz kapitan hiszpański walczył do ostatka. Nie chciał, by jego statek legł u stóp niskiego urwiska. Wychylił ostro ster, wspomagany przez odbity od urwiska podmuch wiatru, uczynił próbę odejścia od cypla Ferrol i

wyjścia na pełne morze.

Próba była zręczna, lecz od samego początku skazana na niepowodzenie; właściwie nawet odsunął się od cypla, ale pod nowym podmuchem wichury statek poleciał dziobem prosto na poszarpaną linię Diabelskich Kłków. Hornblower, komendant i wszyscy pozostali widzowie pobiegli na drugą stronę cypla, by obejrzyć końcowy akt tragedii. Stateczek pędził fordewindem prosto na rafę. Gdy już był blisko, wielki wał wodny uniósł go w górę i zdawało się, że przydał mu jeszcze szybkości. Statek uderzył o rafę i na sekundę znikł pod załamującą się nad nim olbrzymią falą. Gdy fontanna wody opadła, zobaczyli go, leżącego, lecz w jakim stanie! Wszystkie maszty poszły przy uderzeniu i tylko czarny kadłub sterczał nad białą pianą. Pędząc szybko, popchany jeszcze falą, nieomal przeleciał przez rafę — na pewno rozdzierając o nią dno, z dziobem zanurzonym w stosunkowo spokojnej wodzie po zawietrznej rafy.

Byli tam jeszcze żywi ludzie. Hornblower widział, jak pełzną w stronę uskoku rufówki, szukając pod nim schronienia. Nadleciała następna wysoka fala atlantycka i rozbiwszy się na Diabelskich Kłkach zalała wrak potokiem wody. Lecz on znów się wynurzył, czarny na tle spienionej bieli. Przerzucony przez rafę zawisnął większą częścią nad spokojniejszą, zawietrzną stroną przeszkody, na której się roztrzaskał. Hornblower widział postacie ludzkie przykucnięte na pokładzie. Mieli pożyć jeszcze trochę — może pięć minut, jeśli szczęście im dopisze. Jeśli nie, pięć godzin.

Otoczający go Hiszpanie miotali złorzeczenia. Kobiety łkały, kilku mężczyzn potrzasało pięściami w kierunku fregaty brytyjskiej, która, zadowolona ze zniszczenia swej ofiary i zdążywszy ustawić się dziobem do wiatru, wypływała na pełne morze pod żaglami sztormowymi. To było straszne patrzeć, jak ci biedacy tam giną. Jeśli nawet jakaś większa niż normalnie fala uderzając o rafę nie podniesie rufy tak, że cały wrak zatonie, to mimo wszystko rozpadnie się on wkrótce na szczątki, pociągając za sobą tych, co ocaleli. Gdyby nawet dosyć długo opierał się rozbiciu, nie wytrzymałby ciągłego zalewania lodowatą wodą. Należało coś zrobić, aby ich ratować, ale nie było mowy, żeby jakakolwiek łódź zdołała okrążyć cypel i podejść od nawietrznej do wraku przy Diabelskich Kłkach. To była rzecz tak oczywista, że nie warto było o tym więcej myśleć. Ale... Hornblower spiesznie analizował inne alternatywy. Komendant na koniu mówił coś ze wzburzeniem do hiszpańskiego oficera marynarki wojennej, niewątpliwie na ten sam temat, a oficer rozkładał ręce na znak, że wszelka próba byłaby beznadziejna. A jednak... Od dwóch lat Hornblower przebywał w niewoli; niespokojny duch, dławiony przez tak długi okres szukał ujścia dla swej aktywności, a po dwóch latach udręki niewoli było mu już wszystko jedno, czy będzie żył, czy nie. Poszedł do komendanta i wmieszał się w spór.

— Sir — rzekł — niech mi pan pozwoli iść im na ratunek. Może od strony tamtej zatoczki... Niech kilku rybaków popłynie za mną.

Komendant spojrzał na oficera, który wzruszył ramionami.

— Co pan radzi, sir? — zapytał komendant Hornblowera.

— Moglibyśmy wziąć łódź ze stoczni i przenieść ją przez cypel — mówił Hornblower, starając się przedstawić swój plan po hiszpańsku, tak, aby został zrozumiany. — Ale musimy działać szybko — szybko!

Wskazał na wrak, a słowom jego przydała wagi potężna fala przewalająca się właśnie przez Diabelskie Kły.

— Jak pan chce przenieść łódź? — spytał komendant.

Nawet po angielsku trudno byłoby wyjaśnić plan na tym wietrze, po hiszpańsku było to zupełnie niemożliwe.

— Pokażę panu w stoczni, sir — krzyczał. — Tu nie potrafię wytłumaczyć. Ale musimy się pospieszyć.

— Chce pan więc udać się do stoczni?

— Tak... o, tak!

— Proszę siadać za mną — rzekł komendant.

Hornblower wdrapał się niezdarnie na zad konia, usadowił się okrakiem i uchwycił pasa komendanta. Wierzchowiec zawrócił i pokłusował w dół zbocza, a przerażony Hornblower podskakiwał na jego kłębach. Wszyscy wałkonie z całego miasteczka i garnizonu biegli za nimi.

Stocznia w Ferrol była właściwie organizmem prawie nie istniejącym, uwiędłym, jak drzewo z podciętymi korzeniami, wskutek blokady brytyjskiej. Położona na najdalej wysuniętym krańcu Hiszpanii, połączona z resztą kraju bardzo podłym traktem, musiała polegać na dostawach drogą morską, a te były zawodne przy obecności okrętów brytyjskich patrolujących brzeg. W czasie ostatniej wizyty hiszpańskie jednostki wojenne pozbawiły stocznię prawie wszystkich jej zapasów, zabierając równocześnie siłą na swe pokłady wielu jej pracowników. Ale z własnych obserwacji Hornblower wiedział, że to, czego potrzebowali, było tam na pewno. Zsunął się z konia — jakimś cudem unikając instynktownie kopnięcia przez rozdrażnione zwierzę — i przystanął, aby zebrać myśli. Wskazał na niski wóz — właściwie platformę na dwóch kołach — używany do przewozu beczek z wołowiną i baryłek z wódką na molo.

— Konie — rzekł i tuzin ochotnych rąk zaczął je zaprzęgać do wozu.

Przy nabrzeżu unosiło się na wodzie kilka łódek. Była tam też talia i kozioł, wszystko, czego potrzeba do wciągania dużych ciężarów. Przesunięcie stropów pod łódką i wciągnięcie jej na górę zajęło nie więcej niż dwie minuty, Hiszpanie mogli być na ogół opieszali i leniwi, lecz wystarczyło pobudzić ich do natychmiastowego działania, wzniecić ich zapał, przedstawić ciekawy plan, a pracowali jak szaleni — niektórzy z nich byli przy tym dobrymi fachowcami. Znalazły się wiosła, maszt i żagiel (mimo że go nie potrzebowali), ster, rumpel i czerpaki. Z magazynu biegła grupa z klinami do podłożenia pod łódź; w jednej chwili ułożono je na wozie, wóz podprowadzono pod talię i opuszczono łódź.

— Puste beczułki — zawołał Hornblower. — Małe... tak.

Ciemnolicy rybak galicyjski w lot pojął jego myśl i uzupełniał nieporadną hiszpańszczyznę Hornblowera potokiem słów. Przyniesiono tuzin pustych beczulek na wodę z dobrze wbitymi

szpuntami, smagli rybacy wdrapali się na wóz i zaczęli przymocowywać je pod ławki. Jeśli będą dobrze przytwierdzone, utrzymają łódkę na powierzchni, nawet gdy wypełni się wodą po brzegi burt.

— Potrzebuję sześciu ludzi — odezwał się Hornblower, stając na wozie i patrząc po tłumie. — Sześciu rybaków umiejących obchodzić się z małymi łódkami.

Smagły rybak galicyjski, zajęty przywiązywaniem baryłek, podniósł głowę znad roboty i spojrzał na niego.

— Wiem, kogo nam potrzeba, sir — rzekł.

Wywołał kilka nazwisk i pół tuzina mężczyzn wystąpiło z tłumu, krzepkich, ogorzałych osiłków, z malującym się na ich twarzach wyrazem pewności siebie ludzi przywykłych do stawiania czoła trudnościom. Było rzeczą jasną, że smagły Galijczyk to ich szef.

— Ruszamy więc — powiedział Hornblower, Gali język jednak go powstrzymał.

Hornblower nie dosłyszał jego słów, lecz paru z tłumu skinąwszy głowami pobiegło gdzieś i wróciło z naczyniem pełnym słodkiej wody i pudłem, w którym musiały być suchary. Hornblower był zły na siebie, że nie pomyślał o możliwości zniesienia ich na otwarte morze. A komendant, wciąż na koniu, obserwując uważnie przygotowania, również zauważył te zapasy.

— Sir, proszę pamiętać, że mam pańskie słowo honoru — rzekł.

— Tak, ma je pan — odpowiedział Hornblower; przez kilka błogosławionych chwil zapomniał, że jest jeńcem.

Ułożono bezpiecznie zapasy na rufie i sternik łodzi rybackiej skierował wzrok na Hornblowera, który skinął głową przyzwalająco.

— Jedziemy — krzyknął do tłumu.

Żelazne podkowy zaklekotały na kocich łbach i wóz podskakując ruszył naprzód — jedni prowadzili konie, inni szli obok, a Hornblower ze sternikiem jechali na platformie niczym generałowie w triumfalnym pochodzie. Minęli bramę stoczni i przejechawszy główną uliczką miasta o dosyć równej nawierzchni skręcili na ścieżkę pnącą się stromo w górę na grań cypla. Tłum wciąż był pełen zapału. Gdy konie zwolniły na wzniesieniu, setka ludzi zaczęła popychać wóz z boków i ciągnąc za liny, windowała go w górę. Na szczycie ścieżka przeszła w trakt, lecz wóz wciąż podskakiwał i trzął się jak przedtem. Od traktu w dół zbocza odchodziła jeszcze gorsza droga, wijąca się między mącznikami i drzewami mirtowymi, prowadząc w stronę piaszczystego nawisu, o którym Hornblower myślał od samego początku — w czasie pogodnych dni widywał tam rybaków ciągnących po plaży sieci z krewetkami i uznał to miejsce za nadające się do wylądowania oddziału desantowego, gdyby marynarka brytyjska zaplanowała kiedyś atak na Ferrol.

Wiatr, jak zwykle, dał tu silnie, napełniając wyciem uszy Hornblowera. Gdy otworzył się widok na morze, zobaczyli grzebienie fal, a skręciwszy na skarpe zbocza, ujrzeli linię Diabelskich Kłów,

ciągnącą się od brzegu w kierunku nawietrznym, a na nich wrak zawisły niebezpiecznie, czarny na tle kipiącej piany. Ktoś krzyknął na ten widok, wszyscy rzucili się pchać wóz, aż konie przeszły w trucht, a platforma podskakiwała i zataczała się na wybojach.

— Powoli! — ryknął Hornblower. — Powoli!

Gdyby w tej chwili złamali oś lub roztrzaskali koło, cały wysiłek poszedłby na marne. Jadący konno komendant przydał mocy słowom Hornblowera wykrzykiwanymi głośno rozkazami i powściągnął nierozważny entuzjazm tłumu. Wóz zaczął posuwać się bardziej statecznie po wyboistej ścieżce do skraju piaszczystej plaży. Wiatr porywał wilgotny, ostry piasek i ciskał go w ich twarze, lecz w tym miejscu załamywały się tylko mniejsze fale, gdyż plaża stanowiła wgłębienie w linii brzegowej i wiatr południowo-zachodni dał tu nieco od brzegu, a po nawietrznej potężne fale biegnące w kierunku prawie równoległym do linii brzegowej rozбивały się o Diabelskie Kły. Koła zanurzyły się w piach i konie stanęły nad wodą. Dwadzieścia chętnych rąk wyprzęgło je, a setka ochotnych ramion wciągnęła platformę do wody — wszystko to było łatwe przy tej liczbie ludzi do pomocy. Gdy pierwsza fala załamała się nad wozem, załoga wdrapała się na niego. Pełno tu było głazów, lecz silne ramiona milicjantów i robotników stocznioowych po pas w wodzie przeciągnęły wóz przez nie. Łódź prawie już spłynęła z podłożonych pod nią klinów, załoga więc ściągnęła ją z platformy i wdrapała się do wnętrza, a wiatr natychmiast zaczął nią rzucać. Chwycili za wiosła i kilkoma mocnymi pociągnięciami zapanowali nad łodzią. Galijczyk włożył wiosło sterowe w nacięcie w rufie, nie tracąc czasu na zakładanie steru i rumpla. Zabierając się do sterowania spojrzał na Hornblowera, który bez słowa zostawił mu to zadanie.

Hornblower, wychylony pod wiatr, stał na ławce rufowej, wybierając między głazami drogę do wraka. Brzeg i przyjazna plaża zostały niewiarygodnie daleko w tyle i łódź wśród wycia wiatru przebijała się przez kotłującą się wodę. Na tych rozszalałych falach przechylała się co chwila w innym kierunku. Dobrze się złożyło, że wiosłarze potrafili wiosłować na kipieli i łódź posuwała się naprzód, a sternik manipulując wiosłem sterowym prowadził ją przez ten szaleńczy zamęt. Hornblower wybrawszy kurs dawał sternikowi znaki gestami, aby mógł on zapobiegać przewróceniu się łodzi do góry dnem pod uderzeniem niespodziewanej fali. Wiatr wył, łódź nurzała się dziobem i przechylała na boki na zbitej fali, lecz jard po jardzie zbliżała się do wraka. Jeśli w tym chaosie fale poruszały się w ogóle w jakąś określoną stronę, to spychały ich na zewnętrzny koniec Diabelskich Kłów, tak że trzeba było sterować łodzią bardzo uważnie, to ustawiając się dziobem do fal to idąc z wiatrem, aby z wielkim ryzykiem posunąć się w ten sposób o kilka jardów. Hornblower rzucił okiem na ludzi u wiosła; pracowali z ogromnym wysiłkiem. Nie było mowy o chwili wytchnienia — wiosłowali z całej siły, aż Hornblower dziwił się, jak serca i stawy ludzkie mogą to wytrzymać.

Jednakże zbliżali się do wraka. Gdy wiatr i rozbryzgi pozwalały na to, Hornblower dostrzegał już cały jego skośnie przechylony pokład. Widział postacie ludzkie kryjące się pod uskokiem rufówki. Zobaczył, że ktoś stamtąd macha do niego ręką. W następnej chwili uwagę jego odwrócił monstrualny kształt, który nagle wynurzył się z morza w odległości dwudziestu jardów. Przez moment nie miał pojęcia, co to mogło być, lecz potem kształt ukazał się znowu i wtedy go rozpoznał — był to dolny koniec złamanego masztu, wciąż trzymający się statku na jednej ocalałej wancie przytwierdzonej do jego topu i do statku; dryfując na zawietrznej podskakiwał i rzucał się na falach, jakby jakiś bóg morza ukryty pod powierzchnią groził im swoim gniewem. Hornblower zwrócił

uwagę sternika na tę groźbę i ten skinął głową na znak zrozumienia. Wiatr porwał okrzyk sternika „Nombre de Dios”. Przepływali teraz obok masztu i obserwując ten tkwiący w miejscu przedmiot Hornblower mógł łatwiej ocenić prędkość łodzi. Widział, jak szalonym wysiłkiem wiosłarzy posuwali się o kilka cali i jak łódź stawała w miejscu, a nawet cofała się przy silniejszych porywach wiatru, pióra wiosła mieszały wtedy wodę bez żadnego skutku. Każdy cal naprzód był owocem wyjątkowej pracy.

Minęli maszt i znaleźli się w pobliżu pogrążonego w wodzie dziobu statku, ale przy tym tak blisko Diabelskich Klów, że zalewały ich potoki bryzgów za każdym razem, gdy fala rozbijała się po drugiej stronie rafy. W łodzi chlupało kilka cali wody, ale nie było ani czasu, ani okazji aby ją wyczerpać. Był to najbardziej skomplikowany moment całego przedsięwzięcia, dojście do burty wraku na tyle blisko, aby można było zabrać tych, co przeżyli, bez uszkodzenia łodzi; za rufą wraka sterczały zdradliwe głazy, z przodu zaś, mimo że bak wystawał z wody, przednia część śródokręcia czasem się w niej zanurzała. Lecz okręt był przechylony nieco na lewą burtę, w ich kierunku, co ułatwiało podejście. Gdy tuż przed załamaniem się następnej fali na rafie poziom wody obniżył się na chwilę, Hornblower stojąc z wyciągniętą szyją nie zobaczył żadnych głazów przy wraku obok środkowej części śródokręcia, tam gdzie pokład zniżał się do powierzchni wody. Łatwo było skierować sternika w to właśnie miejsce, a potem, gdy już się łódź tam wsunęła, gestami zwrócić uwagę grupki ludzi pod uskokiem rufówki i wskazać miejsce, w którym chcieli podejść do statku. Fala runęła na rafę, załamała się nad rufą wraka i wypełniała wodą łódkę nieomal po brzegi. Porwana wirem łódka kręciła się na wszystkie strony, ale baryłki utrzymywały ją na powierzchni, a natychmiastowa reakcja sternika i wiosłarzy uchroniły ją od rozbicia o wrak lub skały.

— Teraz! — krzyknął Hornblower — nie miało znaczenia, że w tym decydującym momencie użył angielskiego słowa. Łódź podsunęła się do wraka, a rozbitkowie uwolniwszy się od lin, którymi przywiązali się w miejscu schronienia, ślizgając się, biegli pokładem w ich stronę. Było ich tylko czterech! Dwudziestu, a może i trzydziestu ludzi musiało zostać zmiecionych za burtę, gdy statek uderzył o rafę. Dziób łodzi podszedł pod wrak. Na rozkaz sternika wiosła zamarły. Jeden z rozbitków zebrał się w sobie i skoczył na dziób. Pociągnięcie wiosła, jeden ruch wiosłem sterowym i łódka znowu ustawiła się dziobem do statku i następny rozbitek wskoczył do niej. Potem obserwując morze Hornblower zobaczył następny wał morski przelewający się przez rafę. Na jego ostrzegający okrzyk łódź cofnęła się w bezpieczne miejsce — względnie bezpieczne — a pozostali dwaj rozbitkowie popęzli z powrotem, szukając schronienia pod uskokiem rufówki. Fala załamała się z hukiem, rozległ się syk piany, woda rozbryzła się z głośnym chlupotem i wtedy znów podeszli do wraka. Trzeci rozbitek przygotował się do skoku, lecz źle obliczywszy czas, wpadł do morza i nikt go więcej nie zobaczył. Poszedł na dno jak kamień, zmarznięty i wyczerpany, ale nie było czasu na żal. Czwarty czekał na swoją szansę i skoczył od razu, lądując bezpiecznie na dziobie.

— Jeszcze ktoś? — zawołał Hornblower, a ten w odpowiedzi potrząsnął przecząco głową. Uratowali trzech ludzi, ryzykując życie ośmiu.

— Wracamy — rozkazał Hornblower, ale sternikowi nie trzeba było tego mówić.

Odczekał, aż wiatr odsunął łódkę od wraka, od skał — i od brzegu. Silne pociągnięcie wiosła od czasu do czasu wystarczyło, aby utrzymać ją dziobem zarówno do wiatru, jak i do fal. Hornblower patrzył na omdlałych rozbitków leżących na dnie łodzi, gdzie woda przelewała się nad nimi. Schylił

się i potrzęsnał nimi, aż wrócili do przytomności; wtedy wziął czerpaki i wsunął je w ich zdrętwiałe dłonie. Muszą coś zrobić, bo umrą. Spostrzegł ze zdziwieniem, że zapada już mrok, musieli natychmiast zdecydować, co dalej. Nie wyglądało na to, aby wioślarze mogli jeszcze długo pracować. Jeśli spróbują wrócić na piaszczystą plażę, skąd wypłynęli, może ich tam zaskoczyć noc i powali wyczerpanie, zanim przedostaną się przez zdradliwe głązy dzielące ich od brzegu. Hornblower siadł obok sternika, który lakonicznie wypowiedział swoje zdanie, czujnie obserwując płynące ku nim fale i patrząc w niebo.

— Robi się ciemno. Skały. Ludzie są zmęczeni.

— Nie powinniśmy wracać — rzekł Hornblower.

— Nie.

— Więc musimy wypłynąć na morze.

Lata służby w blokadzie i dryfowaniu po zawietrznej brzegu wyrobiły w Hornblowerze skłonność do szukania bezpieczeństwa na otwartym morzu.

— Tak — zgodził się sternik i dodał coś, czego Hornblower nie zrozumiał z powodu szumu wiatru i słabej znajomości języka. Wykrzyczał jeszcze raz to samo, popierając słowa wyrazistą mimiką i gestami jednej ręki, bo drugą trzymał wiosło sterowe.

— Dryfkotwa — pojął Hornblower — słusznie.

Spojrzał na znikający brzeg i ocenił kierunek wiatru. Wyglądało na to, że skręca nieco na południe; w tym miejscu brzeg odwracał się od nich. Mogli płynąć z dryfkotwą przez godziny ciemności bez ryzyka wyrzucenia ich na brzeg, jak długo będą się utrzymywały te same warunki atmosferyczne.

— Dobrze — powiedział głośno Hornblower. Podobnie jak przedtem sternik, teraz on odegrał małą pantomimę, a tamten rzucił mu spojrzenie aprobaty. Na jego okrzyk dwaj ludzie z dziobowej części łodzi wciągnęli wiosła i zaczęli przygotowywać dryfkotwę — z pary wiosel przymocowanych do długiego falenia wypuszczonego z dziobu. Przy wichurze dmącej z taką siłą jak teraz sam nacisk wiatru na łódź wystarczał, aby utrzymywać ją dziobem do fali. Hornblower obserwował, jak dryfkotwa trzyma się na wodzie.

— Dobrze — rzekł.

— Dobrze — powtórzył sternik, wciągając do łodzi wiosło sterowe.

Dopiero w tej chwili Hornblower uświadomił sobie, że przez długi czas stał na zimowym wietrze w ubraniu przemoczonym na wskroś. Zdrętwiał z zimna i nie mógł opanować dreszczy. U jego stóp jeden z rozbitków wraka leżał bez czucia; dwóm pozostałym udało się wyczerpać prawie wszystką wodę, a wysiłek przywrócił im czucie i przytomność. Zmóżeni trudem wioślarze siedzieli na ławkach. Sternik pochylił się nad leżącym bezwładnie rozbitkiem i uniósł go nieco w górę. Instynktownie wszyscy skupili się na dnie łódki, kryjąc się pod ławkami przed wyjąłym wichrem.

Noc zapadła nad nimi. Hornblower odczuwał przyjemność dotyku ciał innych ludzi. Poczuł, że ktoś obejmuje go ramieniem i sam objął kogoś. Resztki wody chlupotały na dnie; w górze wiatr wył i zawodził żałośnie. Fale przechodzące pod łodzią dźwigały w górę to jej dziób, to rufę, a w momencie przechodzenia przez grzbiet fali łódka podskakiwała gwałtownie, szarpana dryfkotwa. Co kilka sekund woda obryzgiwała ich skurczone ciała. Wkrótce zebrało się jej tyle, że musieli się rozłączyć i namacawszy w ciemności czerpaki zająć się jej wylewaniem, by potem znów schronić się pod ławkami.

W momencie gdy zbierali się do wyczerpywania wody po raz trzeci, Hornblower koszmarne zziębnięty i wyczerpany poczuł, że ciało, które obejmuje ramieniem, stało się nienaturalnie sztywne. Człowiek, którego sternik próbował ratować, zmarł leżąc między nim a Hornblowerem. W ciemności sternik przeciągnął ciało na rufę i noc upływała dalej na zimnym wietrze, pod bryzgami wody, wśród szarpnięć, podskoków, przechyłów, wstawania i wyczerpywania wody, wczółgiwania się pod ławki i dygotania z zimna. Było to straszne; Hornblower nie chciał wierzyć własnym oczom, gdy zobaczył, że niebo zaczyna się rozjaśniać. A potem szary świt ogarnął stopniowo sine morze i czas było zastanowić się, co robić dalej. Gdy się rozwidniło, sprawa rozwiązała się sama, bo jeden z rybaków, dźwignąwszy się na nogi, wydał ochryply okrzyk i wskazał na widnokrąg na północy, gdzie dojrzeli statek leżący w dryfie pod żaglami sztormowymi. Sternik rzucił na niego spojrzenie — musiał mieć doskonały wzrok — i rozpoznał go od razu.

— To fregata angielska — rzekł.

Dryfując musiała przesunąć się tyle samo na zawietrzną, co łódź na swojej dryfkotwie.

— Dajcie jej sygnał — rzekł Hornblower i nikt się nie sprzeciwił.

Jedyną białą rzeczą, jaką mieli, była koszula Hornblowera, zdjął więc ją, dygocąc z zimna, a oni przywiązali ją do wiosła, które wstawili w gniazdo masztu. Sternik widząc, że Hornblower wciąga na gołe ciało ociekający wodą płaszcz, zdarł z siebie w mgnieniu oka niebieski pulower i podał mu go.

— Nie, dziękuję — protestował Hornblower, ale sternik nalegał; z ponurym uśmiechem wskazał na trupa pod ławką rufową i oświadczył, że włoży na siebie coś z jego odzienia.

Spór przerwał okrzyk innego rybaka. Fregata przechodziła na ostry bejdewind; z fokżaglami i grotmarszlami zrefowanymi potrójnie szła ku nim niesiona słabnącą wichurą; Hornblower zobaczył, jak się zbliża; spojrzawszy w drugą stronę dostrzegł góry galicyjskie, majaczące na południu na widnokręgu — ciepło, wolność i towarzystwo przyjaciół z jednej strony, samotność i niewola z drugiej. Łódź tańczyła jak szalona pod zawietrzną burtą fregaty; z góry patrzyły na nich zaciekawione twarze. Byli przemarznięci i skostniali. Fregata opuściła łódkę i kilku zwinnych marynarzy wdarło się do łodzi. Z fregaty wyrzucono linę, opuszczono na pasach spodnie ratunkowe i marynarze angielscy pomogli kolejno Hiszpanom wsunąć się w nie i przytrzymywali ich w czasie wciągania na pokład fregaty.

— Ja idę ostatni — oświadczył Hornblower. — Jestem oficerem królewskiej marynarki wojennej.

— O rety! — zdziwili się marynarze.

— Zabierzcie to ciało też na pokład — rozkazał Hornblower. — Ma mieć przyzwoity pogrzeb.

Zesztywniałe ciało dyndało groteskowo, gdy je wciągano w górę. Galicyjski sternik próbował spierać się z Hornblowerem o to, kto pójdzie ostatni, lecz Hornblower nie ustąpił. Wreszcie marynarze pomogli mu wsunąć nogi w spodnie i obwiązali go liną w pasie. Podjechał w górę, kołysząc się w takt przechyłów okrętu; wciągnęli go na pokład, opuszczając i skracając linę, aż sześć silnych rąk pochwyciło go i ułożyło ostrożnie na pokładzie.

— No to jesteś tu, kolego, cały i zdrowy — rzeki brodaty marynarz.

— Jestem oficerem królewskiej marynarki — odrzekł Hornblower. — Gdzie jest oficer wachtowy?

Przebrany w cudownie suchą odzież Hornblower już wkrótce siedział pijąc gorący rum z wodą w kajucie kapitana George'a Crome'a z królewskiej fregaty „Syrtris”. Crome był szczupłym, bladym mężczyzną o przygnębionym wyrazie twarzy, lecz Hornblower wiedział, że to oficer pierwszej klasy.

— Z tych Galijczyków są doskonali marynarze — mówił Crome. — Nie chciałbym ich siłą wciągać do służby, ale może paru zgłosi się na ochotnika, zamiast iść do pływającego więzienia na hulku.

— Sir — zaczął Hornblower i zawahał się. Nie jest wskazane dla młodszego porucznika spierać się z dowódcą okrętu.

— Słucham?

— Ci ludzie wypłynęli na morze, by ratować innych. Nie powinni być brani do niewoli.

Zimne szare oczy Crome'a zlodowaciały — Hornblower miał rację przypuszczając, że nie jest dobrze, jeśli młodszy porucznik spiera się z dowódcą okrętu.

— Poucza mnie pan o mojej powinności? — spytał.

— Broń Boże, sir — odparł spieszenie Hornblower. — Czytałem Instrukcje Admiralicji bardzo dawno temu i pewnie mnie pamięć zawiodła.

— Instrukcje Admiralicji? — powtórzył Crome z nieznaczną zmianą tonu.

— Może się mylę, sir — mówił Hornblower — ale zdaje mi się, że stosują się one także do rozbitków, tych dwóch pozostałych przy życiu.

Nawet dowódca okrętu może się narazić działając wbrew Instrukcji Admiralicji.

— Rozważę tę sprawę — oświadczył Crome.

— Ciało zmarłego kazałem zabrać na pokład, sir — ciągnął Hornblower — w nadziei, że może zgodzi się pan wyprawić mu odpowiedni pogrzeb. Ci Galijczycy ryzykowali życie, aby go ocalić, sir, i sędzę, że byliby usatysfakcjonowani.

— Pogrzeb katolicki? Wydam rozkaz, żeby im zostawić wolną rękę.

— Dziękuję, sir — odpowiedział Hornblower.

— A teraz w sprawie pana. Twierdzi pan, że ma pan stanowisko porucznika dowodzącego. Może pan zostać na moim okręcie do chwili, aż spotkamy się znowu z admirałem. Wówczas on zdecyduje. Nie słyszałem, żeby „Indefatigable” zwalniała ludzi i może pan jest jeszcze na liście jej załogi.

Wtedy to właśnie, gdy Hornblower pociągał następny łyk rumu z wodą, diabeł zaczął go kusić. Radość z przebywania znowu na okręcie królewskim była tak wielka, aż niemal bolesna. Znow mieć w ustach smak solonej wołowiny i sucharów i już nigdy nie być zmuszonym do zjadania fasoli i garbanzos. Czuć pod stopami pokład, móc rozmawiać po angielsku. Być wolnym... wolnym! Ponowne dostanie się do niewoli hiszpańskiej było prawie niemożliwe. Hornblower przypomniał sobie z niezwykłą jasnością beznadziejną depresję towarzyszącą pobytowi w niewoli. Wytrzymać, nic nie mówiąc, przez dzień czy dwa. Ale diabeł kusił go tylko do następnego łyku rumu z wodą. Wtedy bowiem odepchnął go i napotkał spojrzenie Corne'a.

— Bardzo mi przykro — zaczął.

— Dlaczego?

— Jestem tu na słowo honoru. Dałem je przed opuszczeniem plaży.

— Ach tak? To zmienia postać rzeczy. Miał pan oczywiście prawo do tego.

Dawanie parolu przez przebywających w niewoli oficerów brytyjskich było rzeczą tak zwykłą, że nie wzbudzało żadnych komentarzy.

— Złożył je pan w zwyczajowej formie, jak przypuszczam — ciągnął Corne. — Że nie podejmuje pan próby ucieczki?

— Tak, sir.

— Wobec tego co pan postanawia?

Corne nie mógł oczywiście wywierać wpływu na decyzję dżentelmena w sprawie tak osobistej jak słowo honoru.

— Muszę wracać, sir — powiedział Hornblower — pierwszą nadarzającą się okazją.

Czuł drżenie okrętu, patrzył na przytulne wnętrze kabiny i serce mu się krajało.

— Może pan przynajmniej zjeść tu dziś obiad i przespać się — mówił Corne. — Nie będę

ryzykował podchodzenia do brzegu, zanim wiatr się trochę nie uspokoi. Wyśle pana do Coruni pod białą flagą, gdy tylko będę mógł. A pan niech sprawdzi, co Instrukcje mówią na temat jeńców.

Był słoneczny ranek, gdy wartownik z fortu San Antonio w porcie Coruña zwrócił uwagę przełożonego oficera na fakt, że brytyjski krążownik stanął w dryfie za cyplem, tuż za zasięgiem strzału z dział, i opuszcza na wodę łódź. Na tym kończyła się odpowiedzialność wartownika i mógł

Była już prawie wiosna, kiedy oficer hiszpańskiej milicji wszedł do baraków służących za oficerskie więzienie w Ferrol.

— Señor Hornblower? — zapytał. Hornblower domyślił się, że chodzi o niego. Przywykł do kaleczenia jego nazwiska przez Hiszpanów.

— Słucham? — rzekł, podnosząc się.

— Pozwoli pan ze mną? Komendant przysłał mnie po pana, sir.

Komendant przywitał go z uśmiechem. W rękę trzymał list.

— To, sir — oświadczył, powiewając listem przed nosem Hornblowera — jest osobisty rozkaz. Podcyfrowany przez księcia Fuentesauco, ministra marynarki wojennej, lecz podpisany przez premiera, Księcia Pokoju i hrabiego Alcludii.

— Tak, sir — powiedział Hornblower.

W tej chwili powinna się w nim była wzbudzić nadzieja, lecz w życiu jeńca przychodzi okres, gdy przestaje mieć nadzieję. Bardziej zainteresował go tytuł Księcia Pokoju, o którym zaczynało być głośno w Hiszpanii.

— Czytamy w nim: „My, Carlos Leonardo Luis Manuel de Godoy y Boegas, premier jego najbardziej katolickiej królewskiej mości, Książę Pokoju, książę Alcludii i grand pierwszej klasy, hrabia Alcludii, kawaler najświętszego Orderu Złotego Runa, kawaler Świętego Orderu Santiago, kawaler najznamienitszego Orderu Calatrava, generał-kapitan sił morskich i lądowych jego najbardziej katolickiej królewskiej mości, generał-pułkownik Guardia de Corps, admirał dwojga oceanów, generał kawalerii, piechoty i artylerii...” — w każdym razie, sir, jest to rozkaz dla mnie, aby podjąć natychmiastowe kroki w celu uwolnienia pana. Mam pana odesłać pod białą flagą do pańskich rodaków w uznaniu „pańskiej odwagi i poświęcenia w ratowaniu cudzego życia z narażeniem własnego”.

— Dziękuję, sir — odpowiedział Hornblower.

[1] Spithead — ogromne kotwiczowisko między wyspą Wight a lądem Anglii, często używane przez brytyjską marynarkę wojenną w czasie wojen w XVIII w., łączące się z kanałem prowadzącym do Portsmouth — bazy marynarki wojennej (przyp. tłum.).

[2] Or. midshipman. Wobec braku w owym czasie rodzimej floty i co za tym idzie, rodzimej terminologii zdecydowano się pozostawić angielską nazwę stopnia charakterystycznego dla angielskiej marynarki wojennej, zmieniając tylko jego pisownię na polską:

„midszypmen" (jak: džentelmen). W tym tomie Foreстера rażąco nietrafny byłby zarówno „kadet", stosowany w poprzednich tomach, jak i "podchorąży", występujący w przekładzie Petera Simple'a, Marryata tam, gdzie w angielskim tekście był midshipman. Midszypmen to kandydat na oficera, mieszkający na śródokręciu (midship), w odróżnieniu od prostych marynarzy na dziobie i oficerów wraz z kapitanem na rufie, pobierający na okręcie teoretyczną i praktyczną naukę zawodu. Rzecz przy tym charakterystyczna: prosty marynarz nie mógł znaleźć się wśród midszypmenów. Jeśli w drodze zasług wyjątkowo awansował, od razu do stopni oficerskich. Midszypmeni wywodzili się z tzw. dobrych rodzin i gdy zabrakło wybitnych zdolności czy protekcji, tkwili nieraz na tym stanowisku od wieku młodzieńczego do porządnie dojrzałego, nie dostępując wyższych szczebli kariery w marynarce wojennej. To historia. We współczesnej angielskiej marynarce wojennej nazwa stopnia midshipman nie ma wiele wspólnego z dawną treścią. Jego odpowiednikiem dzisiaj w naszej marynarce jest „podchorąży" (przyp. red.).

[3] Aye, aye — oficer! — w odpowiedzi na okrzyk: „Boat ahoy!" („Łódź, ahoy!") (przyp. red.).

[4] Angielska nazwa francuskiej wyspy Ouessant.

[5] Franc. Gironde.

[6] Wachta łamana — normalna 4-godzinna wachta podzielona na wachty 2-godzinne (przyp. red.).

[7] Żabojady — Francuzi; homary — Anglicy, żołnierze piechoty morskiej, przezwani tak od czerwonych mundurów (przyp. tłum.).

[8] Prawidłowo Boudicca — królowa brytyjska, która w roku 60 p. n. e. stanęła na czele buntu przeciwko panowaniu Rzymian (przyp. tłum.).

[9] Dosłownie: Czarna Dziura — więzienie wojskowe w Kalkucie o wymiarach 18 na 14 stóp(ok. 5. 15 na 3. 75 m). W XVIII w. Suraj ud-Daulah zaatakował i zdobył osiedle angielskie w Kalkucie, a w więzieniu umieścił 238 jeńców. Do następnego dnia żyło 23. Baron Robert Clive (1725 —1774), jeden z twórców potęgi brytyjskiej w Indiach, pomścił ten wyczyn (przyp. tłum.).

[10] „Dreadnought" znaczy właśnie „krążownik" (współczesny „pancernik") (przyp. red.).

[11] Drury Lane — ulica w Londynie, znana z teatrów (przyp. tłum.).

[12] Urywek z piosenki o arce Noego (przyp. tłum.).

[13] Tyburn — dawne miejsce straceń w Londynie (przyp. tłum.).

[14] Or. Valentine's day — 14 lutego, dzień zakochanych, którzy wysyłają do siebie specjalne kartki z wyznaniem („valentine cerds"). Zwyczaj ten wiąże się nie ze św. Walentynem, lecz z pogańskim świętem Lupercalia, które się odbywało w połowie lutego i w ogóle z wiosną (przyp. tłum.).